

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE
POD REDAKCJĄ DRA T. KURDYBACHY

tom

58

WŁ. ST. REYMONT

SPRAWIEDLIWIE

z wstępem

ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO



Ministerstwo Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego
Jerozolima 1944

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE
POD REDAKCJĄ ORA Ł. KURDYBACHY

tom
58

WŁ. ST. REYMONT

SPRAWIEDLIWIE

z wstępem

ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

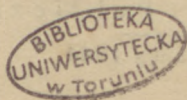


Ministerstwo Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego

Jerozolima 1944

Przedruk wydania Gebethnera i Wolffa

AE
1384057



105. St. Reymont.

Autor „Komediantki” w swoich latach młodzięcych miał być podobno przez kilka miesięcy aktorem. Nie popasał długo w tym zawodzie. Istotnie, dziwnym by się wydawał upór trwania na jakiejś scenie wędrownej człowieka, który w duszy swojej nosił możliwości takie, jak stworzenie „Fermentów”, „Sprawiedliwie”, „Ziemi obiecanej” i „Chłopów”. Czy jednak to zapędzenie się do teatru było zwyczajną eskapadą temperamentu, podobną do tylu innych ucieczek studenckich? Może być, że tak, choć możliwiej, że inne były, nieco głębsze motywy owego chwilowego aktorstwa.

Wydaje mi się, że w tym jego epizodzie życiowym było coś z szukania w sobie beletrysty, nieświadomie wyładowywanie swoich późniejszych sposobów twórczych. Reymont późniejszy, Reymont znakomity powieściopisarz pisze swoje postacie i charaktery tak, jakby je grał na scenie, gdyby miał genialny talent aktorski.

Reymont siedzi w każdej ze swoich figur.

Nie znaczy to, by twórczość jego była beletryzowaną liryką, by w każdej z postaci tkwiła opowieść o autorze, by nie znał innych ludzi, oprócz siebie, by był Byronem w „Manfredzie”; przeciwnie: bodaj ani jedna z przebogatej galerii figur nie jest Reymontem, żadnej z nich, jako psychiki nie nasycy swoimi uczuciami, swoją ideologią, każda z nich urodziła się poza nim niejako (o ile to możliwe), każda z nich wydobyta ze świata zewnętrznego. Ale gdy już raz ją podpatrzył w świecie, dopowiedział swoją fantazją, okroił lub oskrzydlił w proporcję należną, napuścił kolorytem, umocował rysunkiem, wówczas wchodzi w nią, czuje każdy jej ruch, gest, każde drgnienie mięśnia, każdy skurcz jej nerwu. Nie tylko czuje... Jakby ją „gra”.

Rzecz to jasna, że każdy żywy talent, choćby nie tak potężny, jak Reymont, widzi swoje figury, ba żywych ludzi, słyszy ich głos, wyczuwa ich ruchy. Stosunek Reymonta do świata swoich postaci idzie jednak o krok dalej. Nie tylko

je widzi, słyszy i fizjologicznie czuje, ale i rozkoszuje się wnikaniami w nie, wchodzeniem w ich skórę. Po kolei, a z niesłabnącą pasją, przywdziewa na siebie postać Orłowskich, Cabińskich, Grzesikiewiczów, Borynów, Jaśków, wciela się w każdą ze swych postaci tak, jak genialny artysta sceniczny wciela się w swą rolę, staje się starcem, gdy potrzeba, kaleką, gdy tego postać wymaga. Czytając jego utwory, ma się wrażenie, że Reymont przy tworzeniu ich odbywa w nerwach swoich całą trud ich życia, pracy, ucies i namiętności. I to nie w mózgu, jako pracowite wyobrażenie, lecz niejako we własnych mięśniach i w nakładzie własnego temperamentu. Wydaje mi się, że po opisach weseliśka, wstaje on od stołu zhlulany na umór, po opisach orki czuje ciężar pługa w rękach.

Ta właściwość tworzenia wywołuje niesłuchanie ważny efekt.

Nie mam tu na myśli faktu, że figury Reymonta nigdy nie rozpraszają się na pył nieuchwytnej abstrakcji, że nigdy nie gubią po drodze swoich rysów, swoich „znaków szczególnych”, że są mocno skonkretyzowane — bo tę cnotę tworzenia dzieli on ze wszystkimi prawdziwymi talentami powieściopisarskimi; mam natomiast na myśli tę prawdę, że figury jego są jakby fizycznie uchwyte, dotykalne. I nie tylko figury, nie tylko ludzie: tak samo ich czynności, ich gesty i ruchy. I nawet świat wewnętrzny tych ludzi. Każdy ich afekt, emocję, uczucie, przejmujemy niejako zmysłowo — tak właśnie, jak zmysłowo widzimy i słyszymy, widzieli i słyszeli duszę ludzką, gdy im ją pokazywali: Irving, Talma, Żółkowski, Duse. Można by powiedzieć, że na obrazach powieściowych Reymonta, na ludziach i ich działaniach osiada ta cała suma żywego fosforu, którą zatracca autor przy tworzeniu swoich dzieł, osiada w żywej postaci ten jego trud współpracy, współwysiłku w żmudach, uciesach i namiętnościach, o czym to mówiliśmy przed chwilą — i ta biologiczna cząstka, jak drobina radu, promieniuje z wnętrza jego kreacji.

Żadzy wnikanania w każdą swoją kreację nie zatrzymuje Reymont na świecie ludzi i na ich psychikach. To poddziera nie się pod skórę wszystkiego, co spod pióra jego wychodzi, odbywa się i wówczas, gdy w utwór wprowadza żywioł czy

przyrodę. Jego temperament piśarski pracuje za wiatr, który hu-
czy jesienią, za rodzajność ziemi, za dzwon, wydzwaniający
Anioł Pański. Może dlatego, tak logicznie, owe wichry w
„Chłopach” przyrównywane bywają do parobczaków, a jeśli
i nieprzyrównane, to odbywają swoją pracę jakby rękami i
barami; mocują się z przyciesiami chałup jak żywy człowiek.
W porównaniach, czy bez porównań, sprowadza Reymont ży-
wość natury do kształtów i funkcji człowieka, by bezpośrednio
odbyć za nich całą ich zaciekłość czy bujność, ich jęki i
skargi, ich śpiew i ich nurt mistyki, by się za nich umęczyć lub
nasyć szczęściem.

Monada sceniczności, zapładniająca twórczość Reymonta,
idzie i w dalsze szczegóły. Jak gra aktora, tak samo i pi-
sanie Reymonta obliczone jest, że tak powiem: na dystans.
Aktor, odsunięty od widza rampą i orkiestrą a chcący, by grę
jego widział człowiek i na krańcu sali siedzący powięk-
sza każdy swój gest, każdy skurcz twarzy, każdy ruch ręką,
patrzy nawet w chwilach ważniejszych z większym nate-
żeniem mięśni ocznych — inaczej gra jego wydałaby się
nikła i bezbarwna. Tak samo w powiększony sposób
zachowują się bohaterzy powieści Reymontowych. Ich afekty
są prawie zawsze gwałtowniejsze od afektów normalnych, ich
słowa mają podwojoną siłę, ich uczucia są wzmożone, nerwo-
wość zaostrzona. Czytelnik nie ma tu pola do dopowiadania
sobie o nich, nie ma rozgryzania niepewności psychologicznych.
Zewnętrzność i duchowość tych bohaterów stają przed nami,
jakby widziane przez lekko powiększające szkło.

Dalej:

Figury Reymonta mają taką wyrazistość, jaką mają wi-
zje poetów, wcielone na scenie. Każdy z nas czytając poematy
dramatyczne, tragedie lub komedie, widzi co prawda przed
sobą Rodryga lub Xymenę, Lillę Wenedę czy owego wójta
z Zalamei u Calderona, ale dopiero po ujrzaniu ich w teatrze
poprzednia mgławicowa obrazowość ich postaci nabiera kontu-
rów i trwałości plastycznej. Figury w powieściach Reymonta
mają od razu tę sceniczną wyrazistość. Każdy ich moment
psychiczny podkreślony jest jakimś gestem zewnętrznym, pra-
wie zawsze dostosowanym doskonale. Jest to metoda przeniesio-

na — może bezwiednie — z techniki aktorskiej. Technikę tę
miewali w swoim arsenale wszyscy wielcy malarze powieści.
Ileż jej sekretów posiadał np. Wiktor Hugo! Ale na epoce tego
dekoratywu w beletrystyce, na Wiktorze Hugo i poniekąd na
Dumasie starym, technika teatru w powieści, zdawało się
przeszła już do wspomnień. Następcy ich upodobali sobie ra-
czej metody przyrodnicze; mózg ich przypominał laboratoria
psychofizjologiczne, z całym zasobem środków naturalistycz-
nych, z kompleksem wag, miar, ergometrów i skalpeli. Dusze
ludzkie, od Flauberta, a nawet już od Stendhala począwszy,
zaprzytomniają znakomite wykłady prosekcyjne. I oto w po-
wieściach Reymonta odżywa na powrót stary — i niech mi wol-
no będzie powiedzieć: dobry duch powieści dekoracyjnej.
Nie znaczy to, by powieść jego była znowu romantyczna,
awanturniczą i jak u niektórych starych owych pisarzy — ba-
niałuczna, bynajmniej! — powieść Reymonta, w zakresie swe-
go sensu, jest zjawiskiem na wskroś nowoczesnym, ale w spo-
sobie postawienia rzeczy przed oczy czytelnika za-
chowuje wszystkie szczęśliwe zdobycze tych czasów, kiedy be-
letrystyka chciała być beletrystką, nie nauką.

Użyliśmy przed chwilą określenia: malarz powie-
ści. Analiza sceniczności w temperamencie Reymonta podpro-
wadza nas istotnie pod tę drugą, kardynalną cechę jego twór-
czości: bogactwo i siłę plastyki.

Jeden z najwybitniejszych poetów naszych opowiadał mi
raz co następuje:

„Przechodziłem kiedyś z Reymontem przez ulicę Kró-
lewską w Warszawie, koło placu Saskiego. Naraz Reymont
odzywa się do mnie: „zamknij na chwilę oczy i powiedz mi
co na placu widziałeś przed chwilą”. Poddałem się temu egza-
minowi, ale ponieważ okazało się, że nie wiele miałem do
powiedzenia i czułem się tym niejako zakłopotany, więc posta-
nowiłem poszukać odwetu. Zatrzymałem się umyślnie na miejscu
przez kilka minut, wciągnąłem Reymonta w temat jakiejś ży-
wej rozmowy, po czym naraz rzuciłem mu: „no a teraz ty

zamknij oczy i powiedz, coś widział przed chwilą". Przywarł powieki, odwrócił się tyłem do placu i zaczął recytować: „od strony ulicy Wierzbowej wjeżdżały przed chwilą na plac dwie dorożki: jedna z siwym koniem skręciła w ulicę Czystą, druga dwukonka, z gniadym i kasztanem, jedzie ku Mazowieckiej, w pierwszej siedzi jakaś starsza dama, w dwukonce dwaj oficerowie, ten po lewej stronie huzar, pałasz trzyma na założonych noga na nodze kolanach, drugi zdaje się sztabowiec sądząc po lampasie na czapce; na środku placu (było to przed postawieniem cerkwi) grupa trzech jegomościów żywo rozmawia, najstarszy z nich z siwą hiszpanką miał ręce założone w tył, macha w nich laseczką i rytmicznie się kiwa, coś przekładając dwu swoim towarzyszom. Od hotelu Europejskiego w skos przez plac idzie kobieta wiejska z dwoma koszykami; w prawej ręce ma koszyk, napełniony czymś znacznie cięższym, bo się przechyla ku prawej stronie. Naprzeciwko niej biegnie w podskokach i ze śmiechem dwu andrusów, mniejszy goni starszego". I tak ciągnął ku mojemu zdumieniu, przez zamknięte oczy rysując mi obraz placu, cytując szczegóły kolorystyczne kostiumów damskich, sposobów ruszania się przechodniów, pochyleń, ba! nawet w jednym wypadku gatunku materij na marynarce jakiegoś wykwińskiego przechodnia".

Zdaje mi się, że jesteśmy u źródła niepomierne ważnego sekretu twórczości Reymonta: jego obserwacji wzrokowej.

Zajęty żywą rozmową z towarzyszem tam wówczas na placu Saskim, nie przestaje ani na chwilę, odruchowo, nakazem swej natury, wpatrywać się w to, co się dzieje około niego. Jużcić, nie zadaje sobie programowego trudu zapamiętywania, jak siedzi w dorożce huzar grodzieńskiego pułku, gdzie spoczywa jego lśniąca szabla, jaki lampas ma jego towarzysz, lub na którą stronę schyla się od ciężaru baba, idąca z koszykami. Te wszystkie dane wpadają mu same w oko; takim się to oko urodziło; takiej nabrało wprawy przez gimnastykę obserwacji. Reymont widzi wszędzie znacznie więcej linii i barw niż przeciętny, obojętny obserwator. Ten zysk widzenia przenosi potem do literatury. W powieściach jego odbywa się nieustanny ruch i mieni się barwność. Jego opisy na-

tury i ludzi można nie tylko rysować, ale i malować, tak wiernie i z taką jasnością oddania są nam one przekazane.

Poznałem przed laty w Sorrento pewną noweliskę szwajcarską. Razu pewnego przed zachodem słońca zastałem ją na brzegu morza pilnie coś rysującą. Na kartce papieru kreśliła linie poziome, dzielące ową kartkę na pasy, a na każdym z nich wypisywała nazwę barw: *bleu, jaune, rouge*, etc. Gdy ją zapytałem, czy może mi powiedzieć, co oznacza ta pilna praca, odpowiedziała mi: „robię notatkę kolorystyczną o niebie i morzu przed zachodem słońca, gdyż właśnie w jednej ze swych nowel daję n a s t r ó j pory przedwieczornej nad morzem". Oto jest krańcowy przykład bezmalarzkości w instykcji pisarskim. Owa dama nie była zdolna zapamiętać najbardziej zasadniczych, najsilniej przykuwających kolorów; musiała je metodycznie notować. Autor „Chłopów” jest przeciwnym biegunem: nie tylko barwy i linie, ale nasilenie światła, odcienie i harmonię pamięta z doskonałością wprost fenomenalną. On jest malarzem w swych powieściach — i to malarzem, który równocześnie ma w sobie zaciekłość analityczną impresjonisty i rozmach kompozytora, jak Veronese w „Kanie Galilejskiej”, jak Matejko w „Grunwaldzie”. I to właśnie w „Grunwaldzie”, gdzie natężenie ruchu dochodzi do waru, do pienistości.

Zdarza się bowiem w literaturze powieściowej, zwłaszcza w beletrystyce ostatnich czasów, w nowelach, które zapewne mają mieć miano ekspresjonizmu, zdarza się spotykać imponującą nieraz zdolność odtwarzania słowami obserwacji malarzkich; mamy tu łyski na lakierkach, cienie fałd w sukniach kobiecych, gamę barw ścierniska, grymasy znużenia w licach etc. — ale wszystkie te spostrzeżenia są tylko sznurkiem niespojonych w jedną całość poszczególnych impresyj, prawie nigdy nie stwarzają pełnego obrazu. Ci autorzy nie mają d a r u k o m p o z y c j i. Inaczej u Reymonta. Szczegóły jego spostrzeżeń nie rozpylają nigdy całości, zawsze się koordynują z jakąś osią zasadniczą. U tamtych zdolność malarska stwarza malarskie notatki — u Reymonta: zakończone malowidło. Gdyby Reymont zechciał opisać to, co widział wówczas na placu Saskim, kiedy zdawał egzamin ze swej władzy obserwacyj-

nej, byłaby w tym opisie i baba z koszykami i jej ruch dzwigania, byłaby jej spódnica i jej zapaska, byłiby oficerowie i koń kasztanowaty i bat podcinający go do „jazdy kawalerskiej” i gromada panów z prezydującym siwym jegomością, ale ponad wszystko byłby uchwyt życia placu wielkomiejskiego w pewnej porze dnia i roku, a tego życia znakami stałyby się wszystkie owe szczegóły i momenty.

Nie tylko jednak kompozytorem malarskim jest Reymont w swoich obrazach. Każde jego malowidło, czy szkic, szuka psychologicznego sensu. Poza linią, kolorem, poza obrazem Reymonta mamy do czynienia z duszą rzeczy i istot. Na to nam jest pokazana zewnętrzność, na to nam jest pokazana z taką nieomylną nieraz wyrazistością, a często i z owym powiększeniem, o którym była mowa powyżej, byśmy przez nie mogli odcyfrować wnętrze człowieka i mistykę natury. Autor „Ziemi obiecanej” patrzy bystrzej od innych ludzi i nielitościwiej jakby. Jego wzroku nie ujdzie żaden odruch, choćby najnieznaczniejszy. Z tego odruchu, ruchu i gestu odgaduje, co się dzieje w myślach, uczuciach i pragnieniach człowieka. Ono jest poznawczą drogą jego psychologii.

Rzecz jasna, że cała ta bogata władza patrzenia i widzenia byłaby prywatną li tylko własnością pisarza, gdyby na usługi jej nie miał ekwiwalentu języka, który mu służy za pędzel i farby. Doskonałość Reymonta polega właśnie na tym, że swój niezwykły dar obserwacji i pamięci wzrokowej umie przeoblec w przedziwnie giętki zespół słów i zdań. Słowo jego jest kolorowe, czasem zaś jeden dźwięk w zdaniu przeleci jak błysk światła. Język ten przyszedł oczywiście wraz z człowiekiem na świat, ale nad językiem tym odbył to on uporczywą pracę artystyczną. Autor „Komediantki” pisze wolno i może być wzorem starannej uprawy pisania; waży i przeważa słowo, mimo, że pierwsza jego redakcja jest już szczęśliwa i mogłaby zaszczyt przynieść jemu i literaturze.

W takiej samej mierze jest on sumiennym pracownikiem, gdy idzie o budowę dzieła. Nie ma ani jednej noweli Reymonta i nie ma ani jednej powieści, która by była źle zbudowaną, której architektura wykazywałaby mylną harmonię szczegó-

łów wobec całości, źle umieszczony punkt ciężkości. Reymont nie siada do pisania dzieła, dopóki pomysł literacki nie usiedzi się w nim, jak w swoim prawowitym gnieździe.

Gdy ze świata zewnętrznego wyłowił już dostateczną ilość pierwowzorów, gdy ich sobie wykształcił i wyhodował na ludzi, jakich mu do sensu powieści potrzeba, wówczas zaczyna obcować z nimi, dochodzić do zażyłości takiej, że może już wleźć w skórę każdego z nich, odgrzywać ich przed sobą i dla siebie, powiedzieć sobie, co by Głogowski, papa Orłowski, Borynia czy jakiś *businessman* z „Ziemi obiecanej” powiedział w takim a takim wypadku, jakby postąpił, jakby się cieszył lub cierpiał. I wtedy — znowu w myślach swoich — zasadza ich do tej najciekawszej z partyj, jaką to partią jest życie, zaczyna patrzeć jak grają, gdy takie a takie karty, to jest szanse życiowe, mają w rękach. Gdy tę partię skończą, gdy już ich widział w tańcu namiętności, egoizmu i cnót, wówczas ten świat jego kreacyj przestaje być dlań światem fikcji: przysiągłby, że widział gdzieś tych ludzi i znał tę historię, którą im kazał przeżyć. Wówczas to dopiero siada do pisania z pasją historyka, który chce dać świadectwo prawdzie, ze smukłostwem pamiętnikarza, opisującego, co widział i przeżył.

II

Wiem, że autor „Sprawiedliwie” nie lubi, gdy go się nazywa realistą. Ale nic na to nie poradzę, muszę powiedzieć, że jest on realistą najczystszej krwi. Nie jest naturalistą — i zgodnie ze swym usposobieniem wyśmiewa w „Fermentach” postać domorosłej powieściopisarki-naturalistki. Ma on w sobie bowiem poczucie miary, a przy tym wie, że pogoń za bezwzględną „prawdą życiową” gubi często prawdę artystyczną, ale za to siedzi w nim, jak rzadko, w kimkolwiek innym z pisarzy, poczucie rzeczywistości. Jego fantazja oparta jest mocno o realizm życia i jest dalszym jego ciągiem. Nie ma w jego twórczości ludzi wymyślonych, sytuacji

fantastycznych, każdą z tych postaci można by na świecie spotkać, gdyby się umiało tak śledczo patrzeć wokół, jak patrzy Reymont. Nie ma też w tej twórczości rozegzaltowania. Nie ma wyszukanych sytuacji, przeciwnie: to, co się dzieje, jest dziwnie proste, i całe mistrzostwo autora polega na tym, że z tej codzienności umie on wysnuć dzieło sztuki. Nie ma abstrakcji, jako podstawy do symboliki. Jest życie. Życie! ten przemożny czar, ta niewyczerpana tajemnica, te miliardowe odmiany kilku ubogich namiętności, ten niezmierny ocean ruchu i siły — oto co pociąga twórczość Reymonta.

Nie ma w jego powieściach na ogół ucieczek do metafizyki, nie ma rusztowań pod zadumy i kontemplacje: samo życie, to powszechnie znane, życie dnia, krwi i mięśni, życie zabiegów i zawodów — ono najzupełniej starczyło mu do stworzenia dzieł i arcydzieł. To życie, ta rzeczywistość, chwytana przede wszystkim zmysłami, ma w nim fanatycznego entuzjastę i umie mu się za ten entuzjazm odpłacać: staje przed nim w uległości, daje mu się ująć, jak niewielu innym pisarzom świata i mówi przezeń, jak przez medium, o swoich bogactwach.

Nakaz realistycznego ujmowania zjawisk działa w Reymontcie z taką mocą, że gdy nawet sięgnął raz do tematu z czwartego wymiaru, gdy zapragnął napisać powieść o zjawiskach spirytystycznych, to i wówczas siły z tamtego świata nabrały pod jego ręką soczystej substancji, powstała nie tylko materializacja ciał astralnych, ale jakieś przemieszczenie ich czynów i działań. Świat pozagrobowy w „Wampirze” nie zachowuje się abstrakcyjnie, niż naczelnik stacji Orłowski, albo ów niezapomniany maszynista z tejże stacji, tłukący swego psa po każdym niepowodzeniu życiowym. Ta sama glina żywotna, ten sam rozpęd mięśni i ten sam puls fizyczny.

Autor „Wampira” nie tylko jest doskonałym obserwatorem, ale i organizacją, do zapamiętania rozkochaną w tym, co się dzieje. Jak jego chłopci w stosunku do ornego gruntu, tak jego umysł w stosunku do wszelakości zjawisk wykazuje chciwość, chciwość poznania. Z czymkolwiek się ten umysł zetknie, w tej chwili chce to posiadać na swą intelektualną własność. Czy to jest okręt, czy fabryka, czy zagadnienie techniczne, czy prawo ekonomiczne, czy wiadomość

historyczna, fenomen psychologiczny, czy nowa rasa ludzi, wynalazek, czy nieznany kraj: — Reymont, jak młody chłopak, rzuca się w poznanie tej rzeczy, w zrozumienie jej. Nie przejdzie obojętny wobec żadnej sprawy i wobec żadnego zjawiska. Tak go olśniewa rzeczywistość.

Było by czymś anormalnym, gdyby taka organizacja w twórczości swej przeistaczała się w jakiś symbolizm lub mistycyzm, gdyby wnioskom swoim podsuwała jakieś drugie, tajne dno, skoro dno zwykłej rzeczywistości, widzialnego życia, mieści w sobie tyle dziwów i cudów, skoro daje tyle wzruszeń i zachwyty!

Jako twórca postaci ludzkich nie ma też skłonności do innych indywidualności, jak tylko do takich, przez które przepływa mocny, wartki strumień rzeczywistości, w których biologia nie usunęła się na skryty plan, w których uczucia i myśli działają energicznie, jakby na sprężynach mięśni. I nie tylko takim jest świat chłopski Reymonta. Wszystkie jego postaci, od „Komediantki” począwszy, mają w sobie rozmach pierwotności, zdrowia. Jeśli kochają, to szalenie; jeśli cierpią, to skały gryzą, rzekłbyś — i nie ze smutku, lecz z pasji. Nawet ci, których przedstawia, jako niedołęgów, zachowują się tak, że widać w nich jakąś specyficzną, negatywną energię w kulturowaniu tego niedołęstwa. Podniety i czyny tych ludzi są również skrojone na jakąś centauryczną miarę. Przypomnijmy sobie ową jazdę sankami do Miechowa i z powrotem Janki z „Fermentów”. A „Ziemia obiecana”! Dusza Łodzi z jakąż wspaniałą realistyką jest uchwycona i odtworzona! I jaki w tym uchwyt mocarności!

Zastrzegając sobie prawo powrócenia do tematu owej mocarności, chcę teraz zwrócić uwagę na kilka innych krawędzi tego wielkiego talentu.

Więc przede wszystkim, ku któremu biegunowi polaryzuje realizm Reymonta? Bo wszelki realizm, jako instynkt, jest pośrednim szczeblem między poezją a naturalizmem. Nie zapomnijmy, że takie „Szachy” Kochanowskiego, „Pan Tadeusz” lub „Złota czaszka” nie przestając być poezją, wkracza

ją równocześnie na teren twórczości realistycznej. Z drugiej zaś strony nie na każdej karcie Zoli da się przeprowadzić granica między naturalizmem, a realizmem; u powieściopisarzy rosyjskich naturalizm wkracza nieraz bezpośrednio w mistycyzm i metafizykę.

Więc od razu należy powiedzieć, że realizm Reymonta ma naturalne ciężenia ku poezji. Czy ku liryzmowi więc? Nie, raczej ku p a t o s o w i. Obserwacja i wyładowanie tej obserwacji a więc podstawy twórcze są u niego zawsze realistyczne, ale synteza zjawisk prowadzi czytelnika ku jakiemuś piedestałowi, na którym ten realista ustawia ideę swego utworu. Jakby właśnie ku większemu uwielbieniu cudu, któremu imię: *z y c i e*. Im późniejsze utwory Reymonta, tym wyraźniejsza skłonność do stawiania tego piedestału, tym wyraźniejsze i bardziej świadome przemienienie rzeczywistości w hymn. Aż nareszcie przychodzą „Chłopi”, których akcja już celowo i w pełni zamiaru przeistacza się w epopeję.

Nie łatwą to jest rzeczą napisać epopeję, budzącą podziw we wszystkich literaturach Europy, jeśli się nie jest urodzonym epikiem. Skłonność epicka u Reymonta dawała się odczuć już znacznie wcześniej przed „Chłopami”. Jego opisowość, szerokim prowadzona pędzlem, jego skłonność do podciągania wzwyż i wszereź uczuć, pewna gromkość ich mowy — to wszystko już były zadatki tonu epickiego. Jak u Homera pewna stałość atrybutów, kojarzona z ludźmi i bogami, tak tu znowu zamiłowanie do niezmiennych rysów, po których poznawaliśmy bohaterów: maniactwo starego Orłowskiego, jak gromowładność Zeusa, pies owego maszynisty z „Fermentów”, jak trójząb Neptuna, pijaństwo starego Grzesikiewicza, jak wielomówność Nestora, hipochondria telegrafisty z tychże „Fermentów”, jak przecherstwo Odyssa. Każdy z tych szczegółów, z tych znaków szczególnych wchodzi na kartę utworu, za każdym razem z postacią, jak przymiotnik lub hieratyczny znak w pieśniach „Iliady” wchodzi wraz ze śmiertelnymi i mieszkańcami Olimpu. Ten refren „znaków szczególnych” u figur Reymontowych spełnia często zadanie satyryczne, ale równocześnie kładzie akcent na postaciach utralając je w jakiś rytm typu. Dorzucmy tutaj i owo zamiłowanie do personifikacji sił nie-

mych, żywiołów, jakby z prastarej, aoidowej tradycji poetyckiej zaczerpnięte, owe wichry poczynające sobie, jak pijane parobczaki, — ileż w tym jest skłonności do sposobu epickiego...

To wszystko jednak dopiero zagadnienia formy, a raczej stylu. Z tego nie powstanie tworywo epickie, jeśli w autorze nie ma wewnętrzznego tchu na wyrzucenie ze siebie skali, godnej epopei. Tego tchu nie brakowało nigdy autorowi „Chłopów”. Z obserwacji realistycznej powstałe, dzieła jego dawały zawsze jakąś o g r o m n o ś ć r z e c z y. Nie odrywając się od rzeczywistości i nie fałszując proporcji rzeczywistych życia, w jestestwie namiętności, woli i uczuć, bohaterzy jego powieści należeli do plemienia wielkoludów, gdzieś w drzewie genealogicznym mają filiację z Waligorą i Wyrwidębem. Ze światem zewnętrznym i ze światem przeszkod wewnątrznych mocują się wcale nie podlej, niż Hektor mocuje się z Achilesem. Ciszej, prościej, nowożytniej — ale nie z mniejszą intensywnością. Upory ludzi Reymontowych mają coś z posępną zaciekłości, ich nerwowość, jeśli się rozpęta, to dochodzi do furii, ich wola idzie poprzez ziemię, jak nieczuły świder artezyjski; śmierć nawet niebłagana dobrze się musi natrudzić, zanim się upora z człowiekiem, którego na świat wyda twórczość Reymonta. Człowiek taki nie daje się śmierci, bierze się z nią za bary, krwawi się, ale i jej głową wali o mur swojej wytrzymałości. Czasem się wydaje, że nie wiadomo na czym stanie. Ta energia, ten pęd do stawiania psychiki ponadludzkiej — oto jest już zapęd wyraźnie epicki.

A teraz zapęd drugi, druga skłonność.

We wszystkich reprezentatywnych dziełach tego pisarza, we wszystkich powieściach, a nawet nowelach, po których się w przyszłości będzie poznawać Reymonta, — człowiek, wyprowadzony tam jako bohater, nie jest wyodrębnioną jednostką, lecz jest częścią swojej zbiorowości, za nim stoi zawsze psychika zawodu, stanu, klasy lub rasy — i on się o tę psychikę mocno plecami opiera. A klasa, profesja, stan — to jakby plemiona nowożytnego społeczeństwa, jak u Homera plemiona Ilionu i Achajów. Więc znowu spełnienie postulatów epickiego. Plemię chłopskie w „Sprawiedliwie” i w „Chłopach” podane jest w całej swej zbiorowej obyczajowości, w

instynktach i nawet fatalizmach, w patosie i tragiczności wypływającej z m u s u takiego a nie innego sposobu bytowania, ze swoją stanową etyką, swoim własnym podziałem świata moralnego na zło i dobro, ze swoim chłopskim, masowym poglądem na świat. Ale nie tylko „Chłopi” i „Sprawiedliwie”. Weźmy to plemionko aktorów w „Komediantce” i „Lilli”: na każdym człowieku tego rodzaju spoczywa i w każdym się wżarła umysłowość i duchowość profesji; połową duszy przynajmniej nie sobą jest, lecz teatrem, za trzy ćwierci jego poczynań i jego myśli odpowiada w a r s t w a; jak w świecie antycznym patriarcha rodu, tak tu filozofia bytu aktorskiego staje się bezapelacyjnym prawodawcą opinii i sędzią postępów. Tu tak samo, jak w „Chłopach”, myśli się zbiorowością, czuje się sposobem socjalnym, nie jednostkowym. Ileż tej solidarności uczuć, patrzania na świat i zakresu dążeń odnajdziemy w klanie kolejarskim „Fermentów” i „Marzyciele”? A cóż dopiero mówić o „Ziemii obiecanej”? Jakaż tu epickość zbiorowości, jak masą, nie jednostkami toczy się akcja, a potworny moloch przemysłu ciąży nad człowiekiem, rzekłbyś fatum, rozgniewani bogowie Homera.

Jednym z pierwiastków epickości jest wysuwanie zbiorowości na czoło akcji. Tym się epos różnił — między innymi odmianami — od liryki i od dramatu. Ten pierwiastek mamy u Reymonta. U podstaw utworów powieściowych, zwyczajna beletrystyka — w rozwoju akcji staje się albo zarysem eposu, jak było w młodszych jego dziełach, albo eposem bez zastrzeżeń, jak to się stało w „Chłopach”.

Należy przypuszczać, że ta zdolność do wysnuwania linii epickiej nie miała przyczyniła się do zachwytów krytyki europejskiej nad „Chłopami” i „Ziemią obiecana”. Epos wydawał się już skalą zamarłą. Realizm tworzenia wyparł w Europie zupełnie nawet samą możliwość stworzenia czegoś, co by miało w sobie posmak iliadowy. I oto zjawia się talent, który łączy w sobie siłę realistyki z tchem epickim, stwarza epepeję nowoczesną do ostatniego fibru i na nowoczesnych zdobyczych rodzaju opartą!

Figury ludzkie, postawione z klasycznym obiektywizmem i z klasyczną wyrazistością, a przepojone nerwowym tempera-

mentem, ogarnięte nowoczesnym tempem życia. Ścisłość obserwacji, bystrość i to przenikanie w głąb duchowości do s z c z e g ó ł ó w uczucia i zakamarków emocji, które zna dopiero literatura XIX wieku, a poprzez tę analityczność — płynąca fala spójna, fala wiążąca te cząsteczki docieklowości w całość monumentalną, w wyniosłość wprost patetyczną. Zgiełkowość psychiczna w ludziach, w bohaterach a dorycki spokój, obrzędowość solenna w kompozycji; ziemiska prawda w charakterach a idealizm, poezja u stropu idei, konkretność konturów w każdej z poszczególnych figur a szerokość i spoistość tej szerokości, powiązanie jednostek w ród wspólny, stan, plemię, naród. Oto jest ta nowoczesna epepeja, ten nowy rodzaj, to odkrycie artystyczne, które literaturze europejskiej dał Reymont, jako owoc skończony w „Chłopach”, a które przygotowywał, zbierał od początku swojej twórczości, od „Ziemii obiecanej”.

Zastrzegłem sobie był prawo powrócenia do tematu mocarności figur Reymontowych. Zresztą, pokazało się, że nie sposób odstępować od tego tematu, czy gdy się mówi o ż y c i u, jako o jestestwie jego twórczości, czy gdy się mówi o jego tchu epickim. Owa mocarność jest bowiem jakby motoryczną siłą unoszącą mechanizm jego wypowiedzania się. Mocarność ta, którą obdarza swe kreacje, — w pierwszych utworach Reymonta rozsiadała się po ludziach jako natężenie bądź rozpacz ich życiowej, bądź temperamentu, bądź wreszcie dziwactwa, na furiacką modłę działającego. Wyrwidębowe prawniki z chałup chłopskich waliły po karczmach obertasy, aż ściany w drzazgę leciały; piły na umór, jakby w sobie jakiegoś mitycznego jaszczura zalać chciały, grzmociły widłami w rządów, jak w niedźwiedzia, wyły z tęsknoty za wsią w „kremińskich”, ważyły się na śmierć w ucieczkach z więzienia, by ujrzeć skrawek wsi rodzinnej, paliły z rozpaczycie tę wieś, gdy poczuli zdradę. Uczucia ich i namiętności miały się jak tajfun; zda się ziemi całej od krańca globu po kraniec za mało im było, za ciasno; prężyły się do nieba i piekła. Gdy plemię Wyrwidębowe wyszło u Reymonta z pierwotności chałupnej, gdy im wybrał dolę „inteligenta”, czy to aktora, czy urzędni-

ka, kolejarza, dozorca fabrycznego, mieszcza, wówczas nie stawało pola dla wolnej namiętności, na której nawet i zbrodnia działa jak na swoim prawowitym gospodarstwie; ramy przymusu, rygoru i konwencji społecznej pętały tę przyrodzoną żądzę mocarności; pętały ją, ale nie tępiły. Żądza umęczenia się w jakiejś walce, w jakimś trudzie, którego by nikt inny nie pokonał, nurtowała tych biednych skazańców. Albo więc pili znów na umór po prowincjonalnych stacyjkach, albo szaleli bezprzedmiotowo. Większość z nich, po okresie fermentów w wewnętrznych, po okresie burzy i buntu, wpadała w jakiś ostry stan owego dziwactwa, o którym była mowa. I w dziwactwie ich, w furii, jest zawsze jakiś posmak ubijania samego siebie. Demonstrują je przed nami z nakładem energii konia parowego. Aż wreszcie przychodzi „Ziemia obiecana”, owo arcydzieło, w którym ludzie mogą już być przyciszeni (poniekąd) i normalni (pozornie), bo funkcję mocarności sprawuje za nich potwór o sile tysięcy i dziesiątków tysięcy koni parowych: Łódź, potwór fabryczny, smok, którego zwalcza talent Reymonta przez dotarcie do najgłębszych tajemnic jego potęgi i jego słabości.

Cała beletrystyka Reymonta, powstająca przed „Ziemią obiecana”, była odtworzeniem mocarności, działającej jako cel sam w sobie. Młodzieńczego pisarza upaja żywioł siły, zaklęty w życie, w człowieka naturę. I on i jego bohaterzy nie pytają ku jakiemu pożytkowi skierować ten przyrodzony nadmiar biologiczny. Młodzieńcza literatura Reymonta pokazuje, że ten nadmiar istnieje i to dla idei utworu wystarcza, ale ponieważ dla sensu artystycznego trzeba z nim coś zrobić, więc autor kieruje zazwyczaj swoich bohaterów ku jakiejś katastrofie, ku jakiemuś krachowi życiowemu, lub pcha go w drogę bez wyjścia. (Janka w „Fermentach”). Było w tych konkluzjach może coś z nakazu ówczesnych smaków estetycznych, było coś może z prawdy stosunków ówczesnych, zamykających u nas wszelaki rozpęd energii tak indywidualnej, jak i zbiorowej — ale nade wszystko bodaj w tych pesymistycznych konkluzjach działała młodość, niedojrzałość samego autora, niedoznanie jeszcze w sobie samego siebie.

Przejęciową formą do prawdziwego Reymonta staje się „Ziemia obiecana”. Tu mamy wprawdzie również pogrom ludzkich szczęść, zmiżdżenie woli, zmiżdżenie zapędów; na każdym kroku widać, jak tryby i transmisje tego bawelnianego potwora, Łodzi, zjadają rasę wielkoludów; na grobach ich temperamentu, jak na kamiennym fundamencie wyrasta demoniczne laboratorium energii, zakłęte w huk maszyn, w pomruki kotłów, w szaleńcze tempo pracy. Autor nie zdobywa się jeszcze na wyraźne powiedzenie sobie: „mimo wszystko to wielka rzecz — ten smok i to piekło”, ale między wierszami dzieła czytelnik czuje już podświadome uwielbienie dla zjawiska. Wydaje mi się, że wcale nie przypadkową jest sympatia, z jaką Reymont kreśli postać owego staruszka, zakochanego w Łodzi, patriotę zadymionych ulic, dygocących od huku machin ścian fabrycznych, beznadziejnie monotonnego kolorytu miasta. Ta figura jest bodaj utajonym sensem powieści: trzeba coś poświęcić, by móc patrzeć na wielkość siły.

Aż wreszcie przychodzą „Chłopi”.

Utwór, w którym apoteoza energii a więc to, co stanowi Reymonta, jako myśliciela, dochodzi nareszcie do pełni świadomego wypowiedzenia się.

Po twórczości początkowej, po „Ziemi obiecanej” wreszcie, staje przed autorem „Fermentów” łańcuch pytań i odpowiedzi: czy ta energia, ta mocarność, jaką czuję w istocie życia i jaką czuję w narodzie moim, jest czymś pozytywnym, jako jestestwo samo w sobie? — Nie, bo jeśli nie stworzą sobie punktu oparcia, przystani, to będzie ta Łódź na morzu, wszystko jedno, jak mocno zbudowana, z a w s z e s ł a b s z a o d ży w i o ł u, od tego żywiołu, który zna ciszę, ale wolen jest przemienić się i w burzę, co zniesie wszelkie dźwigi ludzkie. A więc dzieło ludzkie, doprowadzone do możliwych granic potęgi? I tak i nie. Oczywiście na to żyje tu na świecie człowiek cywilizowany, by po sobie pozostawiał dzieła, by żył z wiarą i nadzieją, że nareszcie to jego dzieło, trudem woli i inteligencji stworzone, oprze się wszelakim burzom i nawałnicom. Ale czy każdy człowiek może stworzyć dzieło? Czy można dzieło stworzyć samym temperamentem? Choćby legendarnie bujnym? Lub odwrotnie: czy można dzieło stwo-

ka, kolejarza, dozorczy fabrycznego, mieszcza, wówczas nie stawało pola dla wolnej namiętności, na której nawet i zbrodnia działa jak na swoim prawowitym gospodarstwie; ramy przymusu, rygoru i konwencji społecznej pętały tę przyrodzoną żądzę mocarności; pętały ją, ale nie tępiły. Żądza umęczenia się w jakiejś walce, w jakimś trudzie, którego by nikt inny nie pokonał, nurtowała tych biednych skazańców. Albo więc pili znów na umór po prowincjonalnych stacyjkach, albo szaleli bezprzedmiotowo. Większość z nich, po okresie fermentów w wewnętrznych, po okresie burzy i buntu, wpadała w jakiś ostry stan owego dziwactwa, o którym była mowa. I w dziwactwie ich, w furii, jest zawsze jakiś posmak ubijania samego siebie. Demonstrują je przed nami z nakładem energii konia parowego. Aż wreszcie przychodzi „Ziemia obiecana”, owo arcydzieło, w którym ludzie mogą już być przyciszeni (poniekąd) i normalni (pozornie), bo funkcję mocarności sprawuje za nich potwór o sile tysięcy i dziesiątków tysięcy koni parowych: Łódź, potwór fabryczny, smok, którego zwalcza talent Reymonta przez dotarcie do najgłębszych tajemnic jego potęgi i jego słabości.

Cała beletrystyka Reymonta, powstająca przed „Ziemią obiecana”, była odtworzeniem mocarności, działającej jako cel sam w sobie. Młodzieńczego pisarza upaja żywioł siły, zaklęty w życie, w człowieka naturę. I on i jego bohaterzy nie pytają ku jakiemu pożytkowi skierować ten przyrodzony nadmiar biologiczny. Młodzieńcza literatura Reymonta pokazuje, że ten nadmiar istnieje i to dla idei utworu wystarcza, ale ponieważ dla sensu artystycznego trzeba z nim coś zrobić, więc autor kieruje zazwyczaj swoich bohaterów ku jakiejś katastrofie, ku jakiemuś krachowi życiowemu, lub pcha go w drogę bez wyjścia. (Janka w „Fermentach”). Było w tych konkluzjach może coś z nakazu ówczesnych smaków estetycznych, było coś może z prawdy stosunków ówczesnych, zamykających u nas wszelaki rozpęd energii tak indywidualnej, jak i zbiorowej — ale nade wszystko bodaj w tych pesymistycznych konkluzjach działała młodość, niedojrzałość samego autora, niedoznanie jeszcze w sobie samego siebie.

Przejęciową formą do prawdziwego Reymonta staje się „Ziemia obiecana”. Tu mamy wprawdzie również pogrom ludzkich szczęść, zmiżdżenie woli, zmiżdżenie zapędów; na każdym kroku widać, jak tryby i transmisje tego bawelnianego potwora, Łodzi, zjadają rasę wielkoludów; na grobach ich temperamentu, jak na kamiennym fundamencie wyrasta demoniczne laboratorium energii, zaklęte w huk maszyn, w pomruki kotłów, w szaleńcze tempo pracy. Autor nie zdobywa się jeszcze na wyraźne powiedzenie sobie: „mimo wszystko to wielka rzecz — ten smok i to piekło”, ale między wierszami dzieła czytelnik czuje już podświadome uwielbienie dla zjawiska. Wydaje mi się, że wcale nie przypadkową jest sympatia, z jaką Reymont kreśli postać owego staruszka, zakochanego w Łodzi, patriotę zadymionych ulic, dygocących od huku machin ścian fabrycznych, beznadziejnie monotonnego kolorytu miasta. Ta figura jest bodaj utajonym sensem powieści: trzeba coś poświęcić, by móc patrzeć na wielkość siły.

Aż wreszcie przychodzi „Chłopi”.

Utwór, w którym apoteoza energii a więc to, co stanowi Reymonta, jako myśliciela, dochodzi nareszcie do pełni świadomego wypowiedzenia się.

Po twórczości początkowej, po „Ziemi obiecanej” wreszcie, staje przed autorem „Fermentów” łańcuch pytań i odpowiadzi: czy ta energia, ta mocarność, jaką czuję w istocie życia i jaką czuję w narodzie moim, jest czymś pozytywnym, jako jestestwo samo w sobie? — Nie, bo jeśli nie stworzą sobie punktu oparcia, przystani, to będzie ta Łódź na morzu, wszystko jedno, jak mocno zbudowana, z a w s z e s ł a b s z a o d ż y w i o ł u, od tego żywiołu, który zna ciszę, ale wolen jest przemienić się i w burzę, co zniesie wszelkie dzieło ludzkie. A więc dzieło ludzkie, doprowadzone do możliwych granic potęgi? I tak i nie. Oczywiście na to żyje tu na świecie człowiek cywilizowany, by po sobie pozostawiał dzieła, by żył z wiarą i nadzieją, że nareszcie to jego dzieło, trudem woli i inteligencji stworzone, oprze się wszelakim burzom i nawałnicom. Ale czy każdy człowiek może stworzyć dzieło? Czy można dzieło stworzyć samym temperamentem? Choćby legendarnie bujnym? Lub odwrotnie: czy można dzieło stwo-

żyć samą inteligencją, oderwaną od temperamentu, od siły, od tego, co właściwie jest samorodnym życiem? Nie stworzysz dzieła nagim temperamentem — odpowiada Reymontowi doświadczenie jego własnych bohaterów; nie stworzysz dzieła samą inteligencją — mówi mu jego instynkt, mówi mu cały skład jego odczuwania, mówi mu jego kult życia z rzeczywistości, w której przemożna przygniatająca część działa poza prawami intelektu. Stworzyć dzieło może dopiero **ch a r a k t e r**, taki psychobiologiczny składnik człowieka, w którym siła mięśnia i pęd temperamentu przeistoczą się bez reszty w wolę, w świadomość, w upór czynnego ukochania życia, natury, istnienia, trwania w swoich pokoleniach, bytowania w szczęściu synów i wnuków. Dla tego trwania i bytowania we krwi swojej, krążącej w żyłach przyszłości, dla tej wiary w swoje szczęście, wypuszczone w dzierzawę swoim następcom, dla tego **b e z - i n t e r e s o w n e g o e g o i z m u** pokonać wszystkie doczesne przeszkody i zawady, nieszczęścia i katastrofy — i tę moc walczenia, tę moc uczuwania się zwycięzcą nawet w godzinach klęski — przekazać w spadku swoim spadkobiercom krwi: — oto jest charakter i najgłębszy sens energii. Można ludziom wystawić tysiąc dzieł, można im sprowadzić do kraju tysiąc **z i e m o b i e c a n y c h**, ale jeśli się te dzieła rozrzuci między ludzi, pozbawionych woli, wytrzymałości, charakteru, to ludzie ci cały impet swego temperamentu obrócą na zniszczenie tego, co im przedwcześnie podarowano. I odwrotnie, nie ma takiego kataklizmu, nie ma takiego zniszczenia, których by **ch a r a k t e r** ludzki, żądza tworzenia, na mocarności swych sił oparta, nie odbudowała na nowo; z nawiązką, jeśli trzeba. A czymże jest w tym wszystkim inteligencja? umysłowość ludzka? — powraca natrętnie pierwotne pytanie. Umysłowość jest produktem charakteru — odpowiada instynkt Reymonta. Jest automatycznym wytowem, jak skrzydła u tego przeobrażenia gąsienicy, które się nazywa motylem. Jest tym, czym koła, osie, piasty, rozwozy, dyszle i orczyki u wozu. Są one w całości wozem, narzędziem, które wszelako ruszy niedaleko, dopóki weń nie wprzągniemy konia, tego zespołu znakomitej siły i wytrzymania. Nie powstał wynalazek wozu, dopóki człowiek nie dorósł do świadomości, że jest w ręku jego siła, która ten

wóz przeniesie na dalekie przestrzenie. Każdy wynalazek, każde genialne odkrycie na dnie swoim ma żądzę ludzką trwania w sobie i w swoim gatunku. Pierwszy ogień, jaki człowiek wywołał z tarcia, dlatego nie zagaśł, że ten człowiek przy ogniu chciał **d ł u ż e j i l e p i e j** żyć.

Charakter człowieka tedy jest ocementowaną na moc przystanią w oceanie, zwiączym się życiem. Charakter jest pozytywną, zagospodarowaną, skupioną postacią owej energii, mocarności, kosmicznego rozpędu, których czcicielem jest twórczość Reymonta. Należy więc napisać hymn na cześć charakteru ludzkiego. Wierny swojemu powołaniu realisty, wierny nakazowi szukania tematu w bezpośredniej rzeczywistości, nie sięga po temat w żadną przeszłość, która jak czub kwitnącej jabłoni zawsze jest oczom różowa, bo doświadczenie już nie sprawdzi, ile i w niej było deprymujących gniazd robactwa, lecz postanawia ten hymn wydobyć ze swoich czasów i ze swego społeczeństwa.

Gdzie sięgnąć, w jaką sferę — po ten hymn energii pozytywnej? Nie widzi jej w klasie inteligencji, bo tę najbardziej przeżarło zło niewoli: bezpośrednio, w świadomości patriotycznej, doprowadzającej do smutku, do beznadziejności nawet — i pośrednio, przez wszystkie unerwienia socjalne, ekonomiczne, jakie wpływały ze stanu podległości cudzym historycznym planom i zamiarom. Nie widział tej pozytywnej energii w mieszczaństwie, bo skład tej klasy jest wówczas prawie na wskróś obcy. Natomiast dostrzega, że doskonałość charakteru, dostosowanego do swego stopnia bytowania, działa w całej warstwie chłopskiej. Na swoje potrzeby i na swoją jakość walki o byt, chłop polski wyrobił siebie jedyny w narzędzie **ch a r a k t e r**, wolę trwania i przetrwania. Więc powstaje dzieło o chłopie, to dzieło, które rozrosło się w epos i zaimponowało czytelnikom i literaturom całego świata cywilizowanego.

O dziele tym, jako o zjawisku literackim i ideologicznym będzie mowa w jednym z rozdziałów następnych. Na razie godzi się streścić szereg wyłuszczonych spostrzeżeń:

Przebieg myślowy po utworach Reymonta wykazuje jasno, że autor ten jest przede wszystkim **p i s a r z e m e n e r**

g i i. Twórczość jego wyczerpała wszystkie odmiany energii, od pierwotnego temperamentu aż po charakter, jako najwyższy jej typ. Z każdym odcieniem tej mocarności żyje w ślubie entuzjazmu, każdy jest drogą częstką jego jaźni. Nie jest to liryczne uwielbienie energii, jakiej przykład dały ostatnie tomy Verhaerena. U poety belgijskiego ukochanie energii zjawilo się, jako lek na znużenie, przyszło z namysłu i dobrowolnego wyboru. U Reymonta to roztopienie się w mocarność życia było władzą przyrodzoną, jego cnotą pierworodną. Nie z przesytu powstało, lecz z dosytu zdrowych sił. Wprost wydobywa się jakby z fizjologicznego składu mózgu. Kult energii Reymonta powstaje z pełni sił, z poczucia pobratymstwa z tą energią, nie z poczucia kontrastu. I jest on w nim jakąś odmianą panteizmu. Wszystko co istnieje, na to jest, by zeń pozostał czyn!

Twórczość, tej żywiłowej filozofii stawiająca ołtarze, zajaśniała w Polsce, kiedy całe pokolenie hołdowało konwensowski melancholii. Kto chciał szukać ochoty i wiary, ten odwracał się wstecz od ówczesnej teraźniejszości i w dziejach ojczyzny niepodległej szukał pokarmu dla wiary i nadziei. Kto z pisarzy dotykał współczesności, ten nią, tą współczesnością, jak narzędziem inkwizycyjnym, torturował siebie i rodaków. Powstał nieomal jakiś dogmat beznadziejności i coś w rodzaju perwersyjnego upodobania sobie beziści.

Na takim tle, wśród takich warunków wyrasta naraz odosobniony pisarz, który mocą niepospolitego talentu rzuca się w szukanie energii i wyławianie jej. Zrazu — w epoce poddawania się ciśnieniu okólnemu — i on stara się być pesymistą. Pesymizm ten wyrasta jednak i li tylko jak chwast wiatrem naniesiony, nie zaś z logiki soków, wezbranych w jego dziele, krążących tam na chwałę zdrowego ziarna. Później nadchodzi samowiedza i powstają dzieła, które są koroną w tym obrzędzie radosnym wyśpiewywania *Te Deum* na cześć życia.

Że taki talent zjawił się w epoce na wskroś nieprzychylniej wewnętrzny jego nakazom, że przebił się przez gąszcz konwencji smutków, że zapanował nad umysłami, to już niezbity dowód samodzielności, niezależności i tężyzny. Talent ten ratuje honor społeczeństwa z końca XIX i początków XX

wieku. Gdyby w przyszłości ktoś z miłośników literatury zechciał z pism naszych odcyfrować siłę psychiczną ostatniego niewolnego pokolenia a nie poznał Reymonta, ten nabrałby o nas wyobrażenia, że byliśmy miniaturą Grecji upadającej: wspaniałe talenty, jakimś cudem wyrosłe z próchna zbiorowego i ze wspomnień o dumnej dawnej przeszłości. Dopiero lektura Reymonta odwraca to wyobrażenie i pokazuje, że popod cienką warstwą zrozumiałego zniechęcenia w żyłach narodu tętniło jurne życie.

III

Chcę teraz wskazać dwa znamienne przykłady, jak w twórczości Reymonta przemożnym jest to poszukiwanie energii, apoteozowania życia.

Pierwszym z tych przykładów będzie jego trylogia: „Rok 1794”. Po raz pierwszy sięga tematu historycznego i bierze epokę najboleńszą, przeddzień upadku Rzeczypospolitej, epokę, w której zdawało się sam Bóg zeszedł nałożyć wieko na trumnę narodu naszego, epokę, o której mówi Mickiewicz, że oniemiła z bólu pisarzy, tak, że nie było nawet pieśni żałobnej, która by szła za pogrzebem ojczyzny. Taka oto epoka dostaje się do rąk Reymonta. W co się w jego temperamentcie przeobraża? Oto przede wszystkim na czoło idei wysuwają się dwa momenty: serce narodu, zawarte w okrzyku Kołłątaja: *nil desperandum* i postać Kościuszki. Te dwa momenty, jak nadludzka praca ramion, wydobywają się z grzęzawiska upodlenia, z bagna bezwoli, z wilczych dołów zdrady, z huraganu obcej przemocy, zaciskającej pętlę na szyi Polski Stanisławowskiej. Około tych dwu światła skupia się i mobilizuje bezimienny, nieznanym dziejopisarstwu tłum szlachty szaraczkowej, mieszczaństwa, ludu, żołnierzy. Ani powiedziane kołłątajowskie, ani świetlistość Kościuszki, nie powstają w akcji modłą *ex machina*, nie są to dwa skrzydła archanielskie, rozpięte łaską niebios nad grzechem narodu, lecz mocą instynktu autorskiego:

dwa słupy ogniste, obrosłe cierniami i oblepione błotem niemal po kapitel, ale za to nieskalanie duchowe w sobie i tkwiące w ziemi rodzajnej, w najprzedniejszym czarnoziemiu, który tylko czeka na rękę, chcącą ją zorać pod zasiew. Mocą organizacji Reymontowej, epoka sejmu grodzieńskiego i Maciejowic mówi do nas nie o tym, jak Polska upadała, lecz jakie już wówczas były zadatki na odrodzenie, na Legiony, na Mazurek Dąbrowskiego, na Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe, na moc stuletniego wreszcie wytrwania mimo Sybiry, Kufsteiny, Wrześnie i wywłaszczenia.

Nie dziwne więc, że to właśnie dzieło wywołało takie uznanie u krytyki, umiejącej patrzeć głębiej i u czytającego ogółu, który bezwiednie odczuł, że najciemniejszy tom jego dzieł nabiera dziwnego blasku w świetle płomienia rasowego, idącego od ludzi, w tych księgach stworzonych i od autora, który ich do życia powołał.

Można iść nawet dalej w śledzeniu tego fenomenu, jakim jest zetknięcie się śmierci narodu z instynktem życia u Reymonta. Oto nie udaje mu się wprost wywołać sugestii marazmu w tych indywidualiach i w tych środowiskach, które ku wywołaniu takiego wrażenia służyć by miały u innego pisarza. Ci zdraycy, zaprzańcy, utracjusze, kukły zniewieściałe, zcyniczniałe organizacje, cała ta rozpacz epoki, która w wyobrażeniu innych badaczy epoki, ma być obrazem trupa, — ci wszyscy zgniłkowie pod piórem Reymonta nabierają niepożytego wigoru. Nie z bierności, nie z apatii wpadają w zło, lecz przeciwnie, przez spółkę z biesem sarmackim, który ich opętał i raczej dodaje im sił, tylko kieruje siłę na drogę występku. Wydaje się, że tylko przepędzić znanym sposobem egzorcyzmów owego diabła z dusz, a każdy z nich stanie się sługą ojczyzny, wiernym jej synem. Tyle w tych bawidamkach utajonej tęsknoty za bohaterstwem, tyle fizycznego mięśnia w cynikach, tyle paliwa w niedołęgach, tyle nagromadzonej tradycji majestatu w przedawczykach, tyle niezmarnowanej rasy w karciarzach; taka jeszcze moc w nich Polski, mimo utracjuszostwo dusz i serc!

I czyż potrzeba tu dopowiadać, że w takim postawieniu rzeczy na pewno tkwił głębszy u Reymonta namysł, głęboko

wbita w grunt epoki idea. Bo czyż inaczej się stało po rozbiarach? Na głos legiońskiej pobudki, zasłyszanej w kraju aż z „ziemi auzońskiej”, czyż nie ci sami lalusie, galanci i szulerzy, pobiegli stanąć pod sztandarem narodu? Czyż nie synowie targowiczian śmierć pod Raszymem brali radosną, jak odkupienie? Skądże, jeśli nie z tego samego pokotu straceńców powstała nieśmiertelność, sformowana w armię Dąbrowskiego i armię Księstwa Warszawskiego? Kto, jeśli nie ci ekscynicy pędzili na czele szwadronów, w które się wparła owa tęga masa, dostrzeżona wnikliwie przez Reymonta w szaraczkach, w ludzie, w tykach, w bezimiennym zdrowiu narodu — dostrzeżona przezeń już za dni sejmu grodzieńskiego? I czy zaprawdę nie egzorcyzmowym zabiegiem, było wbiecie ostatniego gwoźdźcia w trumnę Rzeczypospolitej, zabiegiem, który precz przegnał biesa z dusz sarmackich? Coś niewymownie polskiego i przez zgodę z prawdą historii i przez sposób spojrzenia na istotę Polaka, tkwi w tej psychologii, jaką Reymont roztoczył nad rokiem 1794 naszych dzieł, by jeszcze raz zaświadczyć, że ukochanie życia umie przewycięzać nawet śmierci tematy.

A teraz przykład drugi. Jego książka, zbiór nowel: „Za frontem”. Cała od początku do końca osnuta na tle ostatniej wojny i podczas wojny, podczas wpatrywania się w niszczenie, w śmierć milionów, w pożogi i w zgłiszczca, pisana. Wydawało by się, że w takim nastroju nie stanie już w pisarzu miejsca na pieśń nadziei, otuchy, energii. Albo że będzie ona czymś sztucznym, czymś na zimno programowym.

A jednak!...

Poza jedną, jedyną nowelką, w tomie tym zawartą, wszystkie inne mówią właściwie o triumfie energii ludzkiej. We wszystkich pieni się nadprodukcja wspaniałych notat o ruinach, zgłiszczach, wywracaniu na nice zabiegów ludzkich, ale w każdym też z tych utworów — z rumowisk i popielisk wystrzela pieśń, tętniąca niepożytą wołą. Wszystkie one pokazują zwaliska, jako rzeczy przemijające, a człowieka i twórczość życia, jako sprawę wiekuistą.

Więc np. taki rapsod jak: „I wynieśli...” Mowa tu o kapłanie wiejskim i gromadzie wiernych, którym granaty rozwa-

lają kościół w chwili sprawowania mszy; mowa o tym, jak ksiądz z odwagą rycerza kończy obrządek religijny i dopiero skończywszy go, wynosi Najświętszy Sakrament z płonącej świątyni, jak idzie wraz ze swą owczarnią het precz, ostrzeliwany kulami — a oni idą, idą, przemienieni już w ekstazę. „Szli zwarci jedną wiarą i pragnieniem i jednym uniesieniem śpiewający. I chociaż śmierć zaczęła ich kosić, nikt się nie cofnął. Kto padł, pozostawał na białej drodze, a żywi parli się naprzód strzegąc świętego skarbu nad skarby. Na jakimś wzgórzu, bardziej wystawionym na strzały, ksiądz się zachwiał i niby ktoś podcięty, leciał na ziemię, ale nim padł, już kielich ujęły inne dłonie, wyniosły go w górę i poprowadziły rozśpiewane rzesze — — Co chwila robiły się szczyrby, co chwila ktoś padał zabity, kielich przechodził z rąk do rąk. Niósł go jakiś szlachcic. Niosła dama w żałobie. Niosło pacholę z chabrowymi oczyma. Niósł jakiś ranny żołnierz. Niósł, kto był pierwszy z brzegu. Aż w końcu przeszedł w spracowane, chłopskie dłonie”. I tak w odmęcie piekielnym bitwy, z ofiarami, ze śmiercią towarzyszy — ale kielich wynieśli w bezpieczne miejsce, bo postanowili, że to ich o b o w i ą z k i e m.

A potem ta krótka ale wymowna „Orka”. Historia rodziny, ojca, matki, syna i córki, którym nieszczęście wojny zabrało wszystko: chałupę, chleb, konia, sprzęt. Zostały ruiny i głód. Nic, tylko się powiesić w beznadziei. A jednak rodzina ta na rumowisku i na beznadziei rozpoczyna życie na nowo. Rozpoczyna od tego, co jest zawsze progiem wysiłku chłopskiego co roku: od orki. Ale nie mają konia i nie mają za co kupić. Nic to! Przed wiekami chłop nie miał konia, zaprzęgał rodzinę swoją do pług i w dzieci krajał skiby. I ludzie ci odszukują w sobie zaciekłość woli swoich zamierzchłych praociców. Matka więc, syn i córka, ciągną pług a ojciec nimi orze. Ostatniego tchu dobywają, pot z nich ciecze, postronki krwawią ciało a oni ciągną pług — bo zorać ziemię trzeba. „Mus pogania. Choćby z pół morgi pod ziemniaki zorać. Kto nie posieje, nie zbierze. Cóż to, z głodu mamy zdychać, czy ze swojego we świat iść po żebranym chlebie? Niedoczekanie wasze, ścierwy! Niedoczekanie!”

Oto jest Reymontowski, mistrzowski skrót w pokazaniu

charakteru chłopskiego. Oto jest, z żyłastych ścięgien pierwotnego oporu utkana aureola, którą rozciąga nad elementem energii. Oto triumf człowieka nad losem.

Nie kończy na tym. W jednej z następnych nowel idzie o krok dalej, pokazuje, jak ta sama najprostsza energia, ta wola przetrwania zła może dorosnąć do skali heroizmu. To owa pierwsza część tryptyku, noszącego tytuł: „Za frontem”. Opowieść o wsi, ostrzeliwanej całymi tygodniami z obu walczących stron. Ludzie i zwierzęta pochowani pod ziemią. Zaczyna się już wytwarzać rodzaj przyzwyczajenia do nowych warunków bytu. Aż nareszcie przychodzi wiosna. „Z jam i rumowisk wypelzali ludzie; wylekłe, spalone łzami niedoli oczy ze zdumieniem widziały słońce; wargi się uśmiechały i nadzieje wstępowały w udręczone serca”. „Michał Kozioł chodził jak pijany. Coś się w nim wyrabiało niewypowiedzianego. Jakże, trzydzieści jego morgów czekało — trzydzieści morgów wołało do niego słodkim, nakazującym głosem”. Odwieczna orna natura chłopska ciągnie go na zagon, do pług. A tu na pola jego bez przestanku padają kule. „Dobrze wiedział, ile co dnia wynoszą rannych, ile pod lasem przybywa mogił i krzyżów”. A jednak nie wytrzymał. Któregoś ranka o świtaniu przykazał Jaškowi zakładać konie do pług. Nie pomógł opór wystraszonej żony, jej płacz, protesty, lamenty. Wyruszył z chłopakiem w pole i jął się orki. „Orał zawzięcie, z lubością wpięrając bose nogi w wilgotną, chłodną ziemię, radośnie patrzył na lśniące, tłuste skiby. Rzeźwy, a ostry zapach ziemi upajał go, niby kadzielne dymy w czas podniesienia”.

— „Tatulu, strzylają — wołał niekiedy Jasiak, trwoniąc zezując na strony.

— „Nowinę rzekł. Niech strzylają! Co nam do tego. Weźno krócej kobyłę, bo się jeszcze stracha.

„Już piąty zagon doorywał, kiedy przyleciał z krzykiem jakiś oficer:

— „Człowieku, czyś ty rozum stracił? Uciekaj, bo cię zabiją!

— „Ii!... przecie nie do mnie strzylają. Komu straszno, niech se ucieka, mnie pilna orka wypadła. J a t a n a s w o i m s i e d z ę — dodał z naciskiem.

„I orał dalej!”

ledwo Zorał, zrobił swoje. Jął się siewu. Pod kulami, pod gradem odłamków szrapnelowych siał — a Jasiak bronował. Nie zważał na nic. Praca tak go pochłoneła, że nawet nie wiedział, kiedy ugodziła go kula. Nie wiedział, że go ugodziła. Straszliwy tylko ból w piersiach, że ledwo miał siły zawołać Jaska, oddać mu płachtę ze zbożem i powiedzieć:

— „Dosiej, synu... jakoś me zamroczyło... wytchnę ździebko”.

„Jasiak posłusznie zastąpił rodzica i siał tym samym ru-chem siewców całego świata, tak samo, jak ojciec kolebiąc się ze strony na stronę, siał równo, akuratanie, cierpliwie i spokojnie. Michał Kozioł tymczasem zamierał. Naraz sprostował się, coś zabełkotał, rozkrzyżował ręce i padł twarzą w czarną spulchnioną ziemię, jakby w matczyne objęcia. A Jasiak siał niestrudzenie”.

Pamiętamy w „Chłopach” majestatyczną scenę, kiedy nieprzytomny z gorączki stary Boryna wychodzi na wiosnę między pola siać jęczmień czy owies — i tu w czasie tej lunatycznej siejby śmierć znajduje. Tak samo padał, podcięty śmiercią w zagony ojczyste, tak samo na pole wywiódł go odwieczny instykt oracza. Tylko inny jest rodzaj poezji owego instyktu u Boryny, a inny u Michała Kozła. Instykt Boryny działa w bezopornej substancji jego sennych wizji, które go na pole zawiodły. Instykt Michała Kozła przeszedł przez twardą świadomość zrozumiałego obowiązku i działa w obliczu okrutnego niebezpieczeństwa. Staje się przez to bohaterskim. Z tego samego tworzywa uczyniony jest duch Michała Kozła, z którego rodzi się żołnierz i wszelkie serce waleczne, wszelkie serce wojennie ofiarne. Człowiek w tej noweli jest niepospolity, tęgi, mocny i szczytny — i tym szczytniejszy, że ta wysoka miara jego psychiczna nie wie o samej sobie, że działa po prostu, bez autodekoracji. A jak prowadzi Reymont tę swoją opowieść o siewcy-bohaterze! Jak idealnie dobrana jest prostota słów, które w usta jego wkłada! Jak umyślnie codzienne, powszednie są rozmowy jego z Jaskiem! I jak ta klasyczna powszedniość podnosi się w górę, podkłada się w sposób postumentu pod ten monument heroicznego instyktu i nieustraszonej żądzy obowiązku. I nic tu linii monumentalnej nie

potrafi zmienić ta okoliczność, iż Michał Kozioł spełnia obowiązki, przetkany egoizmem, że pod gradem kul orze i obsiewa swój własny zagon, że obsługuje warsztat, z którego będzie jadł, z którego będzie żył, z którego coś nawet może odłożyć. Przede wszystkim bowiem zarobek i nadzieja zysku nie są niczym zdrożnym; społeczeństwa nowożytnie wciągnęły już od dawna ideę chleba powszedniego w rubrykę powinności zaszczytnych człowieka. Następnie zaś: gdyby ktokolwiek (oczywiście nie taki artysta, jak Reymont) wpadł na pomysł idealizowania Michała Kozła, gdyby mu np. kazał z takim samym poświęceniem orać pański zagon, dałby coś w rodzaju heroizmu niewoli, może heroizmu świętości — ale obniżyłby siłę prawdy. Autor pragnął pokazać chłopca polskiego z krwi i kości, a nie ideał. Ten sam Michał Kozioł, w innych okazjach, może by wcale sumiennie rozgrabił pozostawiony Boskiej opiece dwór dziedzicowy, nie pozostawałby w tyle przy niszczeniu lasu, spełniać będzie on w ogóle wszelkie obowiązki mazurskie, ale gdy idzie o ziemię, o swoją ziemię, o swój zagon — a zagon chłopu to nie tylko warsztat, ale i honor — wówczas stać go na wszystko, aż po bohaterstwo włącznie. To o chłopie polskim przez figurę Michała Kozła chciał powiedzieć Reymont — i to powiedział, jak to on tylko umie, z pazurem a klasycznie.

W zestawieniu z bohaterstwem Kozła wydobywa się w całej pełni tragizm drugiej części tego obrazu „Za frontem”, gdzie mamy opowiedziane dalsze losy zasiewów Kozłowych. Gdy wszystko już wyrosło wspaniale, dojrzało, wyzłociło się, jakby wdzięcznością za ofiarną krew siewcy, przychodzi ów pamiętny etap wojny: odwrót armii rosyjskiej, a wraz z nim barbarzyński rozkaz ewakuowania wsi i miast, palenia domostw, niszczenia zasiewów. Wszystko z dymem idzie na przepaść. Oto nowe, lucyferyczne oblicze wojny. „Wieś z dała przybieła kształt grobli ognistej; z zapadających się chałup wychlustywały fontanny iskier, kłęby dymów wisały czarnym baldachimem, a krwawe brzaski oświetlały stratowane, pocięte zboża. Jeszcze jeden okropny krzyk, jeszcze jeden ostatni pożegnany płacz na wzgórkach pod figurą, jeszcze jedno spojrzenie na ziemię rodzoną i pochód przepadł w ciemnościach”.

Ale od światła idącego z pierwszej części noweli, ogrzewa się jakąś otuchą ta kalwaria przymusowego pochodzenia w nieznanym dale rosyjskim. Nie przepadną i nie dadzą się losowi. Kto z nich nie zamrze, ten wróci, rękami choćby zacznie grzebać swój zagon na nowo, w jamie przetrwa swoją niedolę, aż się wydobędzie na wierzch i doczeka nowych kwitnień, bujności i urodzajów — na nieśmiertelną chwałę swojego Waligórowiców plemienia.

Jakby na przypomnienie, czym ma być ziemia polska kiedyś w odrodzonej, odbudowanej przyszłości, kreśli Reymont w pierwszej noweli („Na Niemca”) obraz dosytu i szczęścia, — obraz wsi w miesiącach letnich 1914 roku:

„Kraj był cudny, rozległy, owiany tchnieniem głębokiego spokoju i uroczystej pracy żniw oddany. Jakby bowiem msza odprawowała się na tych nieobjętych polach od rana do wieczora; przydzwaniały jej kosy, celebrowało słońce, a służył wszystkim naród w znojmym, radosnym trudzie. Rok był wyjątkowo urodzajny i pogody sprzyjały żniwom. Przednówek się skończył, troski odeszły na bory i lasy, naród radośnie podnosił uciemiężone głowy, radość promieniała w oczach i serca rozpieęta poczucie dosytu i szczęsnego spokoju”. Przypomnijmy sobie: wszakże to tak istotnie wyglądał nasz kraj, taki naprawdę był wyjątkowy i w krasie i bogactwie ów rok, taki egipski był urodzaj, taka legendarna świeciła zbiorom pogoda, zanim na to wszystko naszła wojna, zdeptała, stratowała ludzi, zniweczyła pracę kilkunastu pokoleń. Taką ma być, taką będzie — głosi wiara Reymonta: bo na poranionej ziemi, na zgłiszczach i pożogach pozostał człowiek i jego żądny czynu — charakter!

Wnio Twardy optymizm autora „Za frontem” może budzić przypuszczenie, że przed wrażliwością jego umyka się — mimo wszystko — zgroza wojny, że nie chce wiedzieć on o tym, co w wojnie jest nieludzkiego i antyludzkiego, że od wyobrażenia o wojnie idzie wprost do pocieszającej syntezy.

Jakby w odpowiedzi na podobne podejrzenie wstawił między swoje malowidła energii krótki fragment: „Dola”, w którym okropność przeżycia wojennego doszła do wyrazu ja-

kiejs poczwarności. Opowieść wprost przejmująca o psie, który wygnany ze wsi wraz z ludźmi, odbił się od nich i na pół obłąkany pędzi milami szukając pana. Dopadł nareszcie tych miejsc, na których stała ich wieś. Stała, bo dzisiaj na jej miejscu sterczą niekształtne rumowiska. „Oblatywał każdą osadę z osobna, węszył, naszczekiwał, szukał w rumowiskach, w każdym obejściu, w każdym dole, za każdym ludzkim śladem leciał i nie potrafił nawet odszukać miejsca, gdzie stał dom jego gospodarza. Jakby trzęsienie ziemi przewróciło całą wieś na nice. Wszędzie ciągnęły się głębokie rowy, sieci kolczastych drutów, zwały belek, stopy cegieł, kupy przegniłej słomy, szeregi mogił, nastroszonych niskimi białymi krzyżami, wygasie dawno ogniska, jakieś okropne, przekrwawione strzępy szmat i żelaza. Coś, jakby obłądny strach, nim zatargało. Zgiął się w pałąk, zjeżył, ogon podwinął pod siebie i zawył. Wyl długo, rozpaczliwie i okropnie. Padał w błoto, darł pazurami ziemię i skowycząc żałośnie, tarzał się w jakiejś straszliwej, niepojętej męce. Kilka wron, mających go na uwadze, gdy wreszcie wyzbyły z sił leżał jak nieżywy, spłynęło z drzew i ostrząc dzioby, jęło zmierzać ku niemu krzywymi podskokami”. I mamy opisane dalej, jak zwierzę w panice ucieka przed okrutnym ptactwem — ucieka, mimo iż głód skręca mu wnętrzności. Aż nareszcie ujrzał wybawienie... Oto ogień rozniecony, a wokół ognia ludzie... „Na barłogu tuliło się kilkoro dzieci, parę kobiet siedziało zapatrzonych w ogień, a jakiś stary człowiek żelaznym prętem wygrzebywał z ogniska kartofle, rzucał je dzieciom i sam jadł z wilczą żarłocznością. Pieś przyczołgawszy się do ogniska, zaskomlał cichutko. „Poszedł precz!” — warknął człowiek grożąc pogrzebaczem. — I tu rozpoczyna się scena straszna w swoim napięciu złowrogiego uczucia. Oto ów człowiek, który przed chwilą odegnał psa, uprzytamnia sobie, że jednak mięso tego zwierzęcia jest też przecie pożywieniem... A on i rodzina jego, pędzone pożogą wojny tak samo bez wytchnienia, bez snu, bez jada, jak pędzone jest to oszalałe psisko, rodzina nędzarska, doszła do tego, że zamarł już w niej wstręt, zamarły ludzkie uczucia... I oto budzi się w człowieku tym instynkt podstępny, instynkt zwierza, drapieżnika... Próbuje przynęcić psa,

by nagłym uderzeniem zadać mu śmierć. „Naści, piesku! Nie bój się, głupi!” Rozpoczyna się walka między zwierzem a zwierzem-człowiekiem, walka nieufności z podstępem. „Pies, jakby rozumiejąc drapieżne spojrzenia człowieka, zaczął się ostrożnie wycofywać od ognia”. „...piana szła mu z pyska, szczekał zębami, dygotał, lecz miał się na ostrożności. Wszystkie oczy wpijały się w niego żarłocznie i wszystkie ręce zdążyły się wyciągać do jego gardzieli. Trwało to krótką chwilę, aż człowiek trzasnął go zniecka prętem żelaznym przez grzbiet, lecz nim zdążył cios powtórzyć, pies pognał w świat ze straszliwym skowitem bólu. Stado wron poleciało za nim i obsiadło ciernie pod krzyżem, gdzie się był zaszył i zdychał w męczarniach”.

Talent Tołstoja i talent Zoli nie potrafiłby skrupulatniej wynurzyć na jaw całej naturalistyki tego momentu. I niewiele innych syntetycznych talentów zdołałoby w tak krótkim obrazie zestrzelić refleksję nad tym, czym jest wojna; do jakich upadków doprowadza ducha, do jakiego zdziczenia instynktów zmusić może człowieka. Z wyrazistości tej sceny wydobywa się okrutne przeświadczenie, że jeszcze kilka szczebli niżej w tym pochodzie niedoli, a z dzisiejszego oprawcy wyrośnie ludożerca. „A z głębin niewiadomych biły armaty głucho, nieustannie, — jakby młoty nieubłagane zabijające trumnę wszystkiego żywota”; takim potężnym uderzeniem mistyki nieszczęścia kończy się ten utwór. Rzekłbyś, że grobowce cmentarne kamiennym swoim bytem śpiewają: „Dies irae”.

Wie więc Reymont, co to jest wojna i co wojny upodlenie. Tylko że wierny swojej naturze, nawet w gruzach i spaleniskach szuka zadatków życia — i dlatego ta książka jego: „Za frontem” jest najwymowniejszym dokumentem tej jego właściwości i tego rylca, którym dzieła jego wpisują się w historię literatury.

IV.

Jak Sienkiewicz jest przede wszystkim powieściopisarzem historycznym, mimo „Bez dogmatu” i „Rodziny Połanieckich”, jak Weyssenhoff jest powieściopisarzem ziemiaństwa, mimo nawet Warszulkę z „Sobola i panny”, jak Żeromski pomimo „Popiołów” i „Dumę o hetmanie” pozostanie nade wszystko pisarzem inteligencji miejskiej, tak znowu Reymont mimo „Komediantki” i „Fermentów”, mimo nawet „Ziemi obiecanej”, jest i będzie przede wszystkim powieściopisarzem chłopskim. (Rzecz jasna, że gdy dla krótkości wypisywałem tu: pisarz ziemiaństwa, inteligencji miejskiej, chłopów — to miałem na myśli nie sferę czytelników, lecz sferę tematu, w której ci pisarze najśladniej się obracają).

Reymont rozpoczął — jeśli się nie mylę — od tematów chłopskich, jakby idąc nieomylnie za tym, w czym zawsze będzie mistrzem; wszystkie poszczególne wierzchołki jego twórczenia biorą sobie chłopca za temat: „Sprawiedliwie”, „Chłopi” i zapewne niejedna jeszcze powieść o niepożytości piastowej, a więc spodziewani „Unicy” i nie mniej oczekiwana: „Ameryka”.

Rzecz jasna, że pisarz tej miary, co on, z każdej postaci, którą chwyci w swoje beletrystyczne sieci, wydobędzie charakter, jakiego by mu wielu innych pisarzy pozazdrościć mogło, ale dopiero element chałupy i roli, wsi i chłopca dochodzi u Reymonta do skali naprawdę wielkiej i czasem nieporównanej. A następnie: przypatrzmy się tym wszystkim typom, które wyprowadził z innych sfer, stanów i klas. Czy nie spostrzegacie, że gdzieś w zakamarkach ich usposobienia czai się wieś i chałupa? Czują i zachowują się tak, jakby zataili przed autorem, iż są chłopskimi synami, co najmniej wnukami. Niezależnie od stopnia swojej zmysłowości, w nerwach swoich mają jakąś zdrową pierwotność. Któryż z galerii Reymontowych kolejarzy wolny jest od tej jakiejś drapieżności, którą morduje siebie lub bliźnich? A potem ta masowa neurastenja, tak znamienna dla pierwszych pokoleń, wyrwanych z chałupy, wypędzonych na zesłanie między inteligencję! Jakaś nostalgia, jakaś

tułaczka uczuć, czczość, topiona w kieliszku, uginanie się pod ciężarem pracy umysłowej, zanadto zniecka spadłej na rasę, przywykłą przez stulecia do pług, a jeśli do myślenia, to do dokumentnego, ale wolnego. Świat ziemiański rzadko wprowadza Reymont na swą scenę, przeważnie przesłizguje się po nim. Głębiej wciśniętego w treść dzieła pamiętam tylko jednego, owego Witowskiego w „Fermentach”. Ma on połyski jakiejś demoniczności, ale pod tą maską działa wcale tęga brutalność, brutalność epoki, kiedy szlachcic konny i zbrojny przywykł brać branki na siodło i nie pytać czyją jest żoną czy narzeczoną; w Witowskim zostało coś z gestu owych średniowiecznych, może Masławowych czasów, a nie zapominajmy, że były to czasy, kiedy rycerz-ziemianin do cna przypominał chłop.

Gdy więc w niejednej powieści ludzie Reymonta są chłopami bezwiednymi, a w powieściach chłopskich są arcytworami, nie dziwne, że jest on pisarzem chłopskim, że jest w stopniu takim, jak żaden przedtem pisarz polski — i że przez to znowu, jak przez kult energii, staje on się oryginalną i samą ze siebie wybudowaną kartą w historii powieści polskiej.

Dlatego też nie od rzeczy będzie sięgnąć wstecz poza Reymonta, przypomnieć, jak wyglądała przed nim literatura mówiąca o chłopie — i co dodał do niej on, autor „Sprawiedliwie” i „Chłopów”.

Chłop, jako figura w literaturze, występuje już u naszych pisarzy XVI wieku. Mamy go często w nagłówku owych dialogów „między panem, plebanem i wójtem”, od których to dialogów roilo się wówczas, czy to w broszurach politycznych, czy w polemikach wyznaniowych. Poza nazwą wójta, nic jednak chłopskiego w argumentacji owego wójta nie znajdziemy a i samo pojęcie wójta wówczas nie było takim jak jest dziś. Jest on tu pozorem retorycznym. Moglibyśmy element chłopski znaleźć w sielankach Szymonowicza, gdyby nie to, że te sielanki są przeciw rzymskie z pochodzenia i przedstawiają sztuczne, wymyślone figury pastusze, jak na rzymskim gruncie. Nie warto zagłębiać się w trud szukania. Od Olbrachta czasów, chłop stał się częścią folwarku, jak pług,

zasek w śpichrzu lub ziarno, na siew przeznaczone; był przedmiotem, nie osobnikiem. Mimo protesty moralne i polityczne umysłów takich, jak Frycz-Modrzewski, ten do chłopstwa stosunek obywatela-Polaka, tj. szlachcica, nie przybrał innej formy: chłop niczym był na przestrzeni życia socjalnego; jako nieistniejący, nie zainteresował też niczyjego natchnienia. I pod tym względem nie zmieniło się nic nawet w wieku XVIII literatury. Nawet w „Panu podstolim”, tej powieści, na której znać i rozum, tak niecodzienny Krasickiego i horyzonty nie tylko sarmackie. Przypomnijmy sobie, jak w dobrach pana podstolego gość zdumiony oglądać może czworaki, stawiane z myślą o tym, by były zdrowe, jasne i przewiewne. Już, już ima nas nadzieja, że oto znaleźliśmy nowy ton piśmiennictwa, że popłynię ku nam jakaś teza humanitaryzmu demokratycznego. Po kilku wierszach pierzcha nasza nadzieja: czworaki postawiono zdrowotne dlatego, że nowożytnie doświadczenie uczy, iż człowiek zdrowo mieszkający więcej ze siebie pracy wydać może. Nie wychodzimy tedy poza postulat fizjokratyczny: chłop dalej jest martwą częścią ekonomiki dworskiej, myśli się o nim nie z większym nakładem reformatorstwa, niż przy projektach płodozmianu, który ma wyrugować antyczną trzechpolówkę.

Chłop, jako idea powieściowa, występuje poraz pierwszy w literaturze polskiej w powieści księdza Franciszka Salezego Jezierskiego: „Rzepicha matka królów”. Ksiądz Jezierski należał do czeladników kuźni Kołłątajowskiej, pracował gorliwie nad wprowadzeniem w czyn liberalistykę ustawy majowej i powieść jego nie była też niczym innym, jak środkiem agitacyjnym demokratów sejmu czteroletniego. Statystyci postępu wiedzieli, że nie ma mowy o takich reformach, jak uwłaszczenie chłopów; to więc, co musiał poświęcić dla ocalenia reszty projektu konstytucji, a więc sprawę włościańską przekazał swojej powieści, jako testament marzeń i ukochań. Pokazuje tedy w powieści i przypomina, że dynastia Piastów wyszła z „chaty” i że przeto stan włościański jest jakby naznaczony bierzmem królewskości.

Przesunięcie tematu w przeszłość zamierzchną stawia chłopskich bohaterów powieści poza wszelką realistyką, daje

im szczebel symbolu. Tak więc w beletrystyce polskiej chłop z nicości dorósł od razu do symbolu, który w pewnych wypadkach nie jest niczym innym, jak tylko nicością *in plus*, czyli abstrakcją.

Nie przestał być abstrakcją i w następnym etapie: w „Wiesławie” Brodzińskiego. Cała akcja poematu toczy się w sferze chłopskiej, na bogatej ziemi proszowskokrakowskiej i wszystko tu ma być ludowe. Ale któż z nas nie wyczuje, że ta chłopskość, ludowość, a nawet wiejskość jest przeinaczonym na polski rytm — Watteau? Takimi Wiesławami i jego bohdaniami bywali już za Stanisława Augusta panicze i hrabianki przywdziewający na kulig krakowskie gorsety i białe sukmanki. Jeśli chodzi o ludowość, to „Wiesław” jest balem kostiumowym, ujrzanym przez łzy rozrzewnienia. Oczywiście, że tę łzę cisnął spod powiek swoim palcem Jan Jakub Rousseau i jego kult pierwotności. Tej pierwotności poetyckiej a raczej dekoracyjnej szukał miły i zacny, szlachetny Brodziński.

Można by też przypuścić, że u progu tego świata, który pokazuje autor „Wiesława”, spoczywał kostium teatralny. Lud występuje już w epoce stanisławowskiej, w komediach, w typach wszystkich owych Pustaków i Świstaków, w lokajach i subretach. Oczywiście jest on molierowski, konwencjonalny, gdy go się z pewnej jeszcze bądź co bądź prawdy francuskiej przesadziło na grunt polski. Dużo natomiast tego „ludowego” elementu widzieć musiano w komediooperach, w repertuarze Bogusławskiego; mamy go w „Cudzie”, pokazuje go też i prolog do „Powrotu pośła” na rocznicę premiery Niemcewiczowskiego utworu przez tegoż Bogusławskiego napisany. Mamy w tym prologu Kasprów, Wojtków i wieś i błogie szczęście chłopców, widziane ze stołecznego oddalenia, — i ani jednego słowa, które by zadrgało prawdziwym chłopem. To jest *chór*, doskonała sposobność do pokazania malowniczego stroju ludowego, pasów z brzękadłami, żupanów krakowskich, kierezyj, wstążek i gorsetów, tego wszystkiego, co ekspaz biskupa Sołtyka, Wojciech Bogusławski, mógł z okien pałacu księcia biskupa widzieć na rynku krakowskim. Oczywiście — w myśl ówczesnego gustu — *chór* ten odziany był w ślicznie stylizowany kostium atlasowy, w baletowy krój, w

całą kokieterię żywych figurynek porcelanowych. Na takim ludzie kształciła się epoka, która później zaciężyła na „Wiesławie”.

I czy potem chłopca umyśli sobie Książnin, czy kto inny — będzie to zawsze *fête champêtre*.

Niewiele się właściwie zmieniło pod tym względem w poezji romantycznej. Mickiewicz i cała szkoła podjęła z zarem niezrealizowane tęsknoty konstytucji majowej i sprawy ludu wprowadza do literatury nie od strony już malowniczości, ale od strony demokratyzmu. Jest dużo sympatii w tym stosunku, dużo nawet przecenienia przyrodzonych cnót umysłowych chłopca, mało natomiast istotnych konturów rzeczywistości. Mimo całe programowe umiłowanie ludu, czuć w romantyzmie, że lud ten opisują panicze ze dworów, mile wsłuchujący się w piosenki żniwiarzy, w bajeczki nianiek, przetresowanych na służbie dworskiej, ale trzymający się od zapoconego, niemytego chłopca na „dystans powonienia”. Nie zapominajmy wreszcie, że lud w literaturze romantycznej, przez pewien paradoks dziejowy, powstał przede wszystkim u poetów pochodzenia kresowego, u Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego; nimesmy poznali Mazura, Krakusa i Kujawiaka, pokazano nam przez różowe szybki liryzm Białorusina i Kozaka, którzy — bezwiednym kojarzeniem pojęć — spełniali nie tylko demokratyczny nakaz epoki, ale i kanony egzotyzmu, jak Gruzin spełnia je u Lermontowa. Może przypadkowo, a może i przez pewną logikę faktów, jedyny, w większym stylu, romantyk z ziem rdzennie polskich, Krasiński, już bez egzotycznych kredytów patrzy na lud, na chłopca; nie tylko w „Psalmach”, ale kilkanaście lat przedtem w „Nieboskiej” — wcale nie idyllicznymi kolorami odziewa „kmiotka” i „chłopca”.

Bohdanem Zaleskim mazowieckiej gleby staje się dopiero Lenartowicz i we wtórnej fali romantyzmu wypełnia tę lukę czekającą na zapełnienie się podniosłym bezkrytycyzmem, stosowanym do ludu, mówiącego po polsku.

Chłopca pełno jest i już nie bezwzględnie romantycznego w powieści polskiej XIX wieku, jaka się pojawiła po „Janie z Tęczyna” po Mostowskiej i po Skarbkę. Galerię chłopską, bogatą manij u Kraszewskiego, mamy u Kaczkow-

skiego i u Korzeniowskiego, u Zachariasiewicza, wreszcie u Orzeszkowej, którą uważać należy za ostatnie ogniwo poprzedników pozytywizmu. Jakimż jest chłop w tej beletrystyce? Oczywiście nie jest już sielankowy ani balladowy, jak w poezji romantyków, jest już czasem bliski prawdy, to znów podchlebiony, jak u Sewera, jest już zawsze prawie człowiekiem, ale że na ogół powstaje on z programów demokratyzmu, poczętego w sercach szlacheckich, więc ciągnie za sobą ciężar obu tych teoretyczności. Jest on bezprzedmiotowo nieszczęśliwym, gdy powieść wychodziła spod pióra zwolenników uwłaszczenia i bezosobowo ogólnikowym, ponieważ tego chłopca oglądało się nie w chałupie, nie za pan brata z jego bytem, lecz z tych kilku stopni ganku dworskiego, z którego reszta świata zawsze trochę na dole jest położona — i w przyzwoitej odległości... Chłop w tych powieściach występuje, nie jako model psychologiczny, lecz jako część tezy i część akcji. (Jedynym wyjątkiem będzie tu może „Cham” Orzeszkowej).

Ten stan rzeczy zmienia się naraz i radykalnie wraz z rozkwitem pozytywizmu. Dzieje się to jednak nie za sprawą „Szkieł węgla”, nawet nie za sprawą tego arcydzieła, jakim jest „Placówka”, — lecz dzieje się to za sprawą Dygasińskiego.

Trudną by było rzeczą i bezpłodną dociekać, jakby wyglądał chłop w literaturze takiego demokraty, jakim był autor „Wilków, psów i ludzi”, gdyby literatura ta powstawała przed datą zniesienia pańszczyzny na ziemiach polskich. Być może, że i on nie uchroniłby się od nacisku pewnej czułości. Ale wiemy natomiast, że chłopskie typy Dygasińskiego wyszły na świat wówczas, kiedy wolność obywatelska włościństwa miała już za sobą kilkanaście co najmniej lat swych dziejów. Autor „Gorzalki” nie miał już obowiązku stosować do swej analizy miary pobłażania. Mógł przystąpić od sądu nad pełnoletnimi. Sąd wypadł twardy. Chłop polski Dygasińskiego przesuwają się czasem przez smugę poetyckiego rozrzwinięcia, jak np. w tej cudnej opowieści o Margieli i Margielce, ale na ogół nie wygląda liryczniej niż chłop francuski u Zoli i Maupassanta, gdzie, jak wiadomo, niewiele z nich arcyłudzkie-

go pozostaje. Dygasiński przystąpił do chłopca z bezwzględnością przyrodnika. Gdy inni powieściopisarze nasi, jego poprzednicy i rówieśnicy wiedzieli, że chłop jest ciemny, może drapieżny, podobno dziki etc., ale ponadto i przede wszystkim demonstrowali, że wszystkie te wady są wypływem pańszczyzny, niewoli, analfabetyzmu; gdy o stanie faktycznym psychiki chłopskiej mówili krótko i przez woal a rozwodzili się o przyczynach zła i o okolicznościach łagodzących — Dygasiński na odwrót — co nieco chce wiedzieć o minionej pańszczyźnie i innych pociechach zjawiska, natomiast pełnym głosem mówi, że z tych czy innych przyczyn, chłop nasz jest istotą ciemną, okrutną, chytrą, pierwotną, jak z tych czy innych przyczyn wilk jest wilkiem, nie azorkiem.

Na Dygasińskim tedy zakończyła się ta droga, która wyszła z religijnego na poły symbolizmu, przeszła przez wszelką sielankowość i wszelaki optymizm, by zakończyć się absolutnym pesymizmem i wiwisekcją. Stało się więc w literaturze o chłopie to samo, co w dziejopisarstwie dzieje się z poglądem na naród i jego wartość: od klechdy idzie się szczeblami do skrajnego krytycyzmu, od Gallusa — do Bobrzyńskiego... Wiemy jednak, że historiografia nie kończy się nigdy na krytycyzmie; po etapie tym zawsze powstaje w nauce żądza pogodzenia obu sprzecznych biegunów patrzenia: prawdy z legendą; zawsze się dochodzi do przekonania, że i w legendzie jest coś z prawdy, czego nie dostrzegli historiozofowie-prokuratorzy, że trzeba więc stworzyć jakąś syntezę. Na taką samą syntezę w literaturze pięknej czekał chłop po Dygasińskim.

Syntezę tę daje Reymont w „Chłopach”.

Nie ma tu co prawda w przedstawieniu ludu tej nagiej naturalistyki, którą spotykamy u Dygasińskiego, ale sposobem realizmu powiedziane jest o chłopie niemal wszystko — to samo, co dostrzegał Dygasiński. Z lżejszym akcentem, ale stwierdzone są: pierwotność, drapieżność, egoizm, przewrotność — i wszystkie wady, jakie jego są. Tylko różnica jedna: po ukazaniu zła, Reymont nie stawia kropki, lecz natychmiast i z całą siłą przekonania zabiera się do rejestrowania zalet chłopca. I następuje ich poczet, zaprawdę imponujący:

Obok pierwotności — energia pierwotna, bez której nie

masz zwycięstwa; obok drapieżności — zaciekłość na ziemię, która u nas, w naszych historycznych warunkach jest siłą narodową; obok egoizmu — idea rodowa, skupianie życia i natury dla swoich spadkobierców; obok przecherstwa — rozum samozachowawczy, umiejętność przetrwania we wszelkich warunkach i pod ciosami wszelkich dopustów. Gdy inne warstwy narodu dają ze siebie widowisko rozpierchłości, kłótności, utajonej anarchii — chłop u Reymonta jest stworzeniem gromadzkim, zachowuje, jak żołnierz w szeregu, czucie ramienia o ramię. Gdy imię sarmaty — niewytrwałość, chłop jest streszczeniem i uosobieniem twardości, wytrzymania. Nie masz klęski, która by go pokonała: przyjdzie posucha albo potopy letnie, przepadną mu jego zbiory do cna, uratuje tyle, ile na siew potrzeba i tego nie tknie, choćby mu rodzina z głodu konała. Nie uratuje i na siew — to ukradnie, a musi zasiać, bo to ziarno, w ziemię rzucone, to idea jego bytu, na to się urodził i na to żyje. Nie zna innych obowiązków i powołań, ale ten obowiązek, który zna, wypełnia jak przykazanie najwyższe. Spali mu się chałupa — w jamie mieszkać będzie i nie przyjdzie mu do głowy melancholizować nad losem. Padnie mu koń — w babę zagon zorze. Nie ma pluga po pożarze — to bodaj pazurami ziemię pod zasiew rozgrzebać — a posieje. Chce trwać!

Polak nie wykazuje zmysłu gospodarności. Zdolność organizowania zastępuje poświęceniem, entuzjazmem, improwizacją, genialnością, impetem, wszystkim, co chcecie, tylko nie gospodarnością. Reymont i na tym punkcie widzi w chłopie przeciwstawienie innym warstwom. Chłop jego we krwi ma poczucie gospodarności. Do tej naczelnej zasady dostraja życie swoje i życie swoich. Leń i psuj na cudzym, na swoim jest skrzętny, oszczędny i pracowity. By ustrój gospodarstwa działał, twardo stoi przy instynkcie hierarchii. Gospodarz na zagrodzie jest władzą we wszystkim; nie tylko w ekonomicznej machinie, ale i we wszelkich sprawach dnia codziennego i w rozstrzyganiu zawilności etycznych. Berłem jest mu jego twarda ręka. Ona zastępuje perswazję, napomnienia i moralizatorstwo. Dać w łeb podwładnemu i wziąć w łeb od chlebobdawcy — to pewnego rodzaju umowa społecz-

na. Nie inaczej postępuje się z dziećmi własnymi. Pierze je się do żywa, by skóra na nich stwardła: przyda się to zgrubienie na przyszłe, ciężkie borykanie się z losem. Dziecko musi wiele wziąć kijów, by bez żalu oddawało je swojemu potomstwu i swoim parobkom. Bez bicia zaś, bez ruchliwej, w tym kierunku ręki, wiadomo, gospodarka nie pójdzie.

Wszystko więc w chałupie, od układu mięśni, do układu socjalnego — do hierarchii, tak jest sprzęgnięte w celową całość, by zadość się stało idei organizacji. Dla niej istnieje i swoisty kodeks zagrody trwający tu niezmiennie od Piasta i Rzepichy, do niej przystosowuje się tradycja i filozofia przyzby chłopskiej. Gospodarka jest duchem domowym chłopca. Przed nią ustąpić musi Amor, przed nią kapituluje myśl o szczęściu osobistym. Nic dziwnego więc, że gdy historia innych klas w Polsce była historią strat lub roztrwonień, dzieje chłopca były dziejami skupienia siły i posiadania.

Chłop jest obcy wszelkiej doktrynie. Teoria sływa po nim jak woda po tłuszczu. Nie ma sposobu, by przedostała się doń. Z natury swego losu jest on racjonalistą i utylitarystą. Nie z wyrozumowania, lecz ze zmysłu samozachowawczego. Jest też posybilistą. Nieubłagany i nieustępliwy w sprawach swojego biologicznego nakazu: „trwać!” — we wszystkim innym strzeże się programowości; czuciem życia wybiera drogę postępowania i po tej pójdzie, na której mu się większy „profit” uśmiecha. Można powiedzieć, że jest to pragmatyzm stanu jaskiniowego, aleć zawždy pragmatyzm, gdy inteligencję miejską ogarnia wszechwładnie — teoretyzm.

Z całej lechickiej rzeszy — chłop jeden umie milczeć. Mądrze w sobie zamknięty; wewnątrz jego ja odbywają się burze i rozlewy namiętności, zwłaszcza chciwości, żądź odwetu, nienawiści — ale na zewnątrz spokój i milczenie. Od namysłu wprost do czynu, bez pośredniego procesu gadania. Kto chłopca nie znał, temu dziwnym wydał się rok 1846. Kto chłopca zna, ten zawsze powinien w nim domyślać się utajonych piorunów, mimo spokojną ciszę twarzy i dyplomatyczne milczenie. Chłop jest polityk. Przyświadczy każdemu, odpowie pytyjską wieloznacznością słowa — ale zrobi swoje. Oto jego kontrast z liryczną wybuchowością i powodzią retoryki u „starszych braci”.

Wszystkie te zalety, jak i wszystkie wady tak w jego charakterze przystają do siebie, jak kamień do cementu. Powstaje z nich człowiek-mur, który ma tylko jedno żywotne postanowienie: posiąść ziemię. Zbrodnie i cnoty, przecherstwo i instynkt ładu, politykę i namietność, ideę rodową i zmysł spójności, pracowitość i zdzierstwo, zapobiegliwość i okrucieństwo — wszystko w sobie przetapia w chemiczny skład ziemi. Ona jest jego warsztatem i bezwiedną poezją. Ile znaczyła i znaczy ziemia w problemacie narodowym Polski — tyle znaczy chłop. Oto jest stanowisko Reymonta. Oto jest jego etap w literaturze pięknej mówiącej o chłopie.

Jesteśmy więc dalecy od monarchicznych pretensyj „Rzepichy matki królów”, dalecy od malowniczości Wiesława, od szlacheckiego dystansu wszystkich powieści aż do Sewera. Chłop Reymonta nie staje też przed nami, jako preparat g a t u n k u, przeprowadzony przez Dygasińskiego. Staje przed nami jako żadna rozpatrzenia siła narodowa. Nie abstrakcyjnie demokratyczna, lecz nawskroś realna, rozłożona na pierwiastki i bezwzględnie, z całą ścisłością rachunku obliczona.

I z rachunku tego wynikło jedno: chłop Reymonta jest nowy, jako podmiot literatury. Ma swoje własne oblicze, sobie tylko i autorowi za życie wdzięczne, a równocześnie w chłopie tym zeszyły się po niewoli wszystkie poprzednie stadia patrzenia na lud:

Jest ten chłop pierwotnym, jak u Dygasińskiego, jest i malowniczym, nie na kredyt, jak u romantyków, ale malowniczym w sensie malarstwa realistycznego; jest poetycznym, nie sielankowo, jak w „Wiesławie”, ale poetycznym, jako idea warstwy i sentyment ziemi, którą autor „Sprawiedliwie” pokazuje jako tautologię chłopca. Nie jest potomkiem koronowanej Rzepichy, jak u księdza Jezierskiego, ale jest prawym spadkobiercą Piasta-oracza. Gdy się czyta „Chłopów”, uderza ów akcent, jaki autor stawia nad tą jakąś zamierzoną, archaiczną obyczajowością, która w rytm swój ujmuje wszystkie cnoty i wszystkie przywary chałupy. Każda czynność chłopca ma coś z obrzędu, nad każdą czujesz dłoń jakiegoś boga *genii loci* świetlic i komór, stodół i zagonów. On jeden spośród wszystkich warstw zachował wagę ceremoniału w uczynkach powszednich,

przez co jest zaiste — znowu — potomkiem Piastów.

Nie można pominąć wrażenia, że wieś w „Chłopach” przedstawiona jest w pochodzie wszystkich powszednich zajęć i zatrudnień, a mimo to chłop tej powieści staje przed nami, po zamknięciu książki, jakbyśmy go nawet przy robocie oglądali w odświętnej szacie i godności. To ten piedestał epicki, o którym była mowa w rozdziałach poprzednich, ale i ta ukryta teza, którą autor chce z dzieła wydobyć.

Gdy chłop romantyków politycznych i romantyków poetyckich jest zjawiskiem stwarzanej *ad hoc* legendy, gdy chłop Dygasińskiego jest zjawiskiem przeszłości i terażniejszości, — chłop Reymonta jest zjawiskiem przyszłości. Wszystkie jego zalety i wszystką jego siłę warstwową Reymont kroił na wyrost. Na początku XX wieku powstały utwór przedstawiał chłopca niedokładnie takiego, jaki był przeciętnym przekrojem ludu polskiego, lecz takiego, jakim może się stać za niepodległości. W „Chłopach” ukazano prawdę i możliwości. Ukazano realne zadatki przyszłego obywatela.

Ten chłop zna na razie tylko ziemię i do niej przywarł doskonale zharmonizowaną sumą swojej psychiki. Jeśli układ narodowy pozwoli mu tak przekształcić tę psychikę, by nic nie uronił z jej siły a wyszlachetnił jej wyraz — wówczas na chłopie, jak na fundamencie budować będzie Polska swoją nowoczesność.

Oto jest filozofia chłopskich powieści Reymonta.

V

Autor „Chłopów” wyszedł z tego zespołu literackiego, który po bliższej lub dalszej elipsie krążył wokół „Głosu” warszawskiego, a dla którego prawodawcami i w zakresie ideologii politycznej i w kanonach artystycznych byli owi dwaj naprawdę wybitni ludzie: I. K. Potocki i Jan Popławski.

„Głos” był poprawką pozytywizmu warszawskiego i ko-

rekturą socjalizmu. Powstał, jako wstrząs sumienia narodowego, zastraszonego o zbyt bliski związek z rusycyzmem, jaki groził wspólnocie socjalizmu polskiego i rosyjskiego. Powstał też jako odruch rzeczywistości przeciwko doktrynie, która stawała się coraz większym synonimem pozytywizmu. Na dnie programu tych nawróconych socjalistów spoczywała **plemienność polska**. Ją uratować w społeczeństwie, na niej budować i z niej budować siłę wytrwania — oto, o co chodziło tym wszystkim ówczesnym, którzy dziś siwieją, lub siwieć już lada dzień będą.

Te kilka zdań przypomnienia o „Głosie” przytaczam dlatego, że ideologia „Głosu” wydaje mi się jedynym momentem wpływu, jaki by można wyszukać, jako parantelę twórczości Reymontowej. Poza tym na próżno by szukać innych oddziaływań, czy to w literaturze naszej własnej, czy w obcych. Nie ma na nim nacisku romantyków, ani pozytywistów. Sienkiewicz był mu może zachętą, ale nie wzorem. Rosyjski realizm, który zaimponował niejednemu z jego rówieśników, spłynął po jego organizacji uczuciowej, nie zostawiwszy ani jednego wyłobienia. Nie doszukać się podobieństwa czy to z Balzakiem czy Dumasem, tym bardziej z powieścią niemiecką. Żadna **książka** nie była w ogóle jego zapłodnieniem. Talent ten powstał sam z siebie.

To natomiast, co jest struną obywatelską w człowieku, a co, z rozmysłem, czy po niewoli, przedostaje się do dzieła sztuki, — to powstało z atmosfery „Głosu”.

Jeden z założycieli i kregosłupów „Głosu”, Jan Popławski, pisał przed laty, z powodu czyjejś książki o tzw. „prawie pierwszego pomiotu”. Rozpoczyna od postrzeżeń z dziedziny zoologii, hodowli psów... Przytacza ów znany fenomen, że suka bardzo często każdemu ze swych pomiotów przekazuje właściwości rasowego swego **pierwszego samca**. Jeśli to był jamnik, to choć ojcem następnych pomiotów będzie czy to wyżeł, czy kundel, czy foksterier, zawsze w ich potomstwie odezwie się coś z jamnika. Z tego, nieco drastycznego przykładu, wyprowadza analogię z twórczością autorów; twierdzi, że klimat duchowy, w jakim pisarz spędził lata swoich pierwszych poczynąń twórczych, jest jakby pierwszym, najsilniejszym jego

pomiotem. Choćby potem odszedł od swoich wier młodzieńczych, choćby się stał wyznawcą innych obozów, zawsze w dziełach jego odezwie się, choćby w jakimś szczególe, to ojcowstwo pierwotne. Można by powiedzieć, że teza Popławskiego jest nieco ludowym przekładem definicji Krasińskiego: „**młodość** nasza jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot **cały**”. Program, temperatura ideowa i owo jakieś zaprzysiężenie się duszne tej gromady, tworzącej „Głos”, było rzeźbiarką myślowego żywota Reymonta.

Ideologia „Głosu” z natury rzeczy musiała zwrócić się do „sprawy chłopskiej”. Nie był to już ów demokratyzm przedpowstaniowy, lecz przeciwnie, jakieś mniej lub więcej głuche przecucie polityczne, że kto chce z tradycjonalizmu narodowego wyciągać budowę przyszłości, ten musi umieć cenić **zachowawczość** warstwy ludowej: Tak czy owak, **chłop i ziemia** stały się substancją, namaszczonej tę młodzieńczą partię na drogę życia. Nie wiem, czy inne odgałęzienia programu Głosowego odpowiadały Reymontowi, nie wiem też, czy głowa jego, głowa artysty i twórcy zbyttno się frasowała tą strukturą historio-konstruktywną, nad którą żmudził się Popławski, Dmowski, I. K. Potocki, czy słowem owa „reszta” nie była przypadkiem obcą autorowi „Spotkania” — natomiast rzeczą pewną jest, że hasło: **chłop i ziemia** — to było coś jakby żywcem wyrwanego z jego najtajniejszych wołań.

Oczywiście, hasło to w innej tonacji brzmiało u nowelisty Reymonta, — w innej u statystów przyszłej narodowej demokracji. Dla nich było ono plastycznym logarytmem w wielkiej formule dynamiki społecznej — dla niego stawało się od razu konkretnym obrazem figur i przestrzeni, wyrazistych rysów, spóistych powiedzeń chłopskich, zdecydowanej akcji czynów i zapachu zboża na zagonach.

I to właśnie było jego szczęściem, ta niezależność, to przezorne, zaszycie się w swój własny kąt na obszarze bujnych programów socjalnych i politycznych całej gminy „Głosu”. Dzięki temu „bezp politycznemu” akcentowi jego nowel chłopskich, pozostały one dziełami sztuki. Siedzi w nich, jak i w wielu jego nie chłopskich tematach — ów „pomiot” narodowy,

wypracowywany w kuźni „Głosu”, ale siedzi, jak fundament, w ziemi, niewidzialny dla oka. To, co na powierzchni — aż po kalenicę utworu — stawiane już jest ani nie dla „programów”, ani dla „prądów” — lecz dla tej jakiejś choćby nieświadomionej w sobie melodii, która wołaniem swoim, urodzonego artystę zaprowadzi zawsze do dzieła sztuki.

Twórczość Reymonta jest nieuczona.

Co to znaczy?

Rzecz jasna, że nikogo nie można „nauczyć talentu”, a tym bardziej geniuszu. Ale większość pisarzy, choćby najbardziej utalentowanych, podnieć do tworzenia bierze z literatury. Droga zachwytu nad poznawanymi utworami, lub przez żądę rywalizacji z nimi. Latami odbywa się proces otrząsywania z siebie tych zaczynów literackich, docierania do ducha rzeczy. I tak samo ma się sprawa z wyborem swojej formy. Wybór ten bywa wytworem niejako zbiorowym tego młodzieńczego środowiska, w którym się przyszły autor obraca. Zanurzenie się owego środowiska w tę lub ową dziedzinę kultury, w filozofię lub sztukę, w poezję lub naturalizm, w Kanta i Niemców, czy w Rzym i Włochów, Słowackiego czy Dostojewskiego — naprowadza kielkujące pragnienie twórcze na jakąś doktrynę rodzaju pisarskiego. Dla tej doktryny i dla swojego zbiorowiska tworzy się pierwsze dzieła, które tym sposobem stają się owocem edukacji.

Plazma pisarska Reymonta — wydaje mi się — nie na drukach i nie na cudzej duchowości rosła, lecz na wżeraniu się w życie. Szkoła, podręczniki, biblioteka, nie były bodaj nigdy istotną zawartością jego, jako chłopaka. Czytanką tego talentu było pole, koń, odpust, jarmark, dziwo mechanizmu w młynie, jakiś sąsiad ojcowy, jakiś dziad proszalny, jakieś zasłyszane słowo, jakaś niezrozumiała troska starszych w jakiejś sprawie życiowej. Chłopak bawił się nie zabawką, lecz tym samym, co dla starszych było pracą i techniką. Nie pędźmy tutaj do łatwego uogólnienia: „życie dziecka wiejskiego”. Dziecko wiejskie tak samo może mieć skłonność do abstrakcji, jak i dziecko miejskie. To nie wiejskość, nie byt sielski pchały go na taką drogę edukacji: to ten przyszły Reymont, autor „Chłopów”, podsuwał chłopięcej duszy — rzeczywistość.

Później zaczął pracować i zarobkować. Wcześniej, niż inni inteligenci, jego rówieśnicy. Gdy jego koledzy wchłaniali w siebie cudze wysiłki, zamknięte w księgach, on musiał wyrabiać w sobie technikę pokonywania trudności swego zawodu (kolejnictwo). Jego koledzy wiedzieli dobrze to, co inni wiedzą, — on wiedział, to co sam zdobył; nie w dziedzinie humanistyki, lecz w dziedzinie bezpośredniego poznania życia. Gdy inni wiedzieli, jak wygląda człowiek w powieściach, on już znakomicie poznał człowieka żywego, człowieka, z którego by można zrobić bohatera powieści.

Wówczas to twórczość literacka zawołała nań. I równocześnie ogarnęła go atmosfera „Głosu”. Znowu nie literacka, nie filozoficzna i nie estetyzująca, lecz raczej polityczna, jakby logiczne uzupełnienie całego dotychczasowego wykształcenia, w której książka nie była składnikiem istotnym. To samo życie, ta sama rzeczywistość, na której się urabiał jego mózg, — krzyknęła mu, jak z krza gorejącego głos: „Mów o mnie!”

I runęła na świat ta twórczość, ani chcąc wiedzieć o żadnej innej literaturze, wydobyta wprost ze siebie, a cudem jakimś, nie pędząca na manowce, nie też reformatorska, lecz właśnie klasyczna, w duchu polskich tradycji poczęta. Klasyczna jak — który z jego poprzedników? — klasyczna, jak urodzaj na polach, jak wiosna w gaju dębowym, jak wiara plemienna obyczajów. Z tych rytmów powstała, tym rytmem jest wierna.

Twórczość Reymonta jest samorodna, jak samorodną jest jakaś twórczość zbiorowa. Nikt narodu nie uczy przysłowia, a ono z narodu powstaje i zostaje. W organizacji Reymonta odbyło się na przestrzeni jednego umysłu to, co zbiorowość wypracowywa w szeregu pokoleń; ale tą samą drogą i tą samą niejako techniką.

Oto co miałem na myśli, gdym mówił, że twórczość ta jest nieuczona.

Uczony, czytany, wykształcony, może być sam Reymont, ale to są jakby jego prywatne zdobycze. Gdy siada do tworzenia, nie one, nie te zdobycze działają, lecz sposób i kiel samorodności.

Tu bym chciał zwrócić uwagę na różnicę, jaka zachodzi

między pojęciem samouctwa a samorodnością. W pojęciu samouctwa tkwi współzawodnictwo z odbieraniem nauki od kogoś; to tylko inna droga erudycji szkolnej, dalsza może powolniejsza; powierzchowniejsza czy właśnie grunto-wniejsza, albo powiedzmy: uporniejsza, jak to bywa u ge-nialnych autodyktów (Witkiewicz) — ale zawsze jest tą s p r a w a w i e d z y. Samorodność natomiast jest sprawą ta-lentu. Samorodnym talentem może być zarówno erudyta, jak i nowicjusz nauki. Samorodność to nic innego, jak stosunek jednostki do nagromadzonych magazynów kultury. Są talenty, które muszą się zanurzyć w tym śpichlerzu dorobku poprzedni-ków, tym dorobkiem żyją; skorzystawszy zeń, albo wydobywa-ją się ponad linię nasypu kulturalnego, albo znowu toną w nim z głową. Inne zaś talenty, — do takich należy Reymont — nie wiedzą, co to zapasy gospodarcze kultury, karmią się wprost ziemią i żywym sokiem plemiennego urodzaju.

Powiedzmy tutaj od razu, że w dziejach twórczości li-terackiej w Polsce ten typ samorodności przeważał stale. Mi-kołaj Rey mu patronuje, Jan Chryzostom Pasek daje dowody, że nawet karabelą da się wypisać książkę, jeśli Bóg kogo stworzy Polakiem; Fredro zaś przy wysokiej swej kulturze oso-bistej — nie czym innym, tylko samorodnością talentu zdoby-wa sobie nieśmiertelność. Dodajmy do tego cały ogrom ga-węd y polskiej, tego rodzaju, który podkrada się w twórczość nawet symbolistów naszych — a stanie przed nami bogactwo nie tylko ilościowe narodowej skłonności piśmiennictwa, tak krąćcowo pod tym względem różnego od literatur romańskich.

Można by tedy powiedzieć, że literatura Reymonta pow-stawała taką samą modłą, jak całe nasze piśmiennictwo zie-miańskie: z ducha świętego i z wolnego czasu. Można by tak powiedzieć, gdyby dodatek: „z wolnego czasu” — nie był zaprzeczeniem charakteru twórczości Reymontowej. Jest to bo-wiem pierwsza literatura, która nie przestając być ziemiańską — nie jest już szlachecką. Nie jest to piśmiennictwo „spod li-py”, ani też piśmiennictwo z dworu pańskiego. U przyciesi tego tworzenia znać już formacje demokratyzmu. W starej, szlacheckiej literaturze świat jest wesoły, smutek roztapia się w dykte-ryjce; znać, że ta ręka, która kreśli obrazy, we krwi ma jeden

jedyny trud mięśni: szablę, ale poza tym innej pracy, nie zna i nie domyśla się żadnej innej pracy, nie zna też wszystkich wewnętrznych wyłobień duszy, które powstają z walki o byt, z przymusu zdobywania życia.

Inaczej się ma rzecz u Reymonta.

Jego świat jest poważny. Znikła w nim lekkomyślność i bezstroska. I wszystko jedno, czy będą to utwory jego mło-dzieńcze, podciągnięte ku dramatyzującej konkluzji, czy póź-niejsze, dojrzałe, w których wiara i ufność stają się sensem wewnętrznym — wszędzie znać już ten świat nowy odczuwa-nia, świat, który zaznał pracy, zmagania się z życiem, świat, który wie, co to jest nędza, zarobek, wydzieranie losowi swo-jego bytu. W świecie tym nie ma miejsca na naiwne, z czasów naszego pozytywizmu, upajanie się walką o byt, apoteozowa-nie jej i strojenie w blaski. Walka o byt nie ma w Reymoncie pióropusza, nie przychodzi się do powieści, jako tendencja, mó-ralizatorstwo, lecz staje się składową częścią uczuć, myśli, woli i afektów. Nie mówi się o niej — a ona przecież jest w ner-wach i losach ludzi Reymontowych. Spójrzmy naokół po na-szej literaturze: czym żyją bohaterowie polskich powieści? Ide-ałami, patriotyzmem, erotyką, ekstazą przeszłości, weśnieniem się w przyszłość, wreszcie entuzjazmem dla zagadnień oderwa-nych. W powieści Reymonta, w nowelach Reymonta — dzień powszedni i jego sprawy są najistot-niejszym bohaterem. Do niego dostrajają się ludzie i wydarze-nia. Albo zmagają się z tą rzeczywistością, jak Janka w „Fer-mentach”, albo służą jej lojalnie, autorowi pozostawiając za-danie pokazania, jak tę wierność obowiązkowi uczynić sprawą dostojną. I rzecz to znamienna, że w młodych swych utworach Reymont, próbujący *Fermentom* dać jakieś znamię waż-ności, nie umiał wydobyć ze siebie akcentów szczerości: Jan-ka Orłowska miota się przez dwa tomy, cierpi, szaleje — a nie przekonywa nas ani razu. Nie potrafimy z nią współczuć. Bo w instynkcie autora brakło tego współczucia, bo w młodym już Reymoncie piszącym „Fermenty”, tkwił przyszły Reymont, autor „Chłopów”, któremu bole i rozpacz Janki wydać się musiały fanaberią, jak Borynie znowu fanaberią wydałyby się może rozpacz nad tym, że w roku 1620 stała się Cecora, a

w roku 1920 któryś z bohaterów jakiejś powieści palnął sobie w łeb z miłości.

W tym demokratycznym, nowoczesnym świecie, który podsunął się Reymontowi, nie ma wiele miejsca na uczucia a raczej na proces hodowania swoich uczuć, poświęcenia im czasu i psychiki swojej. Takie sztuczne kultywowanie uczuć bywa produktem warstwy, mającej dużo wolnego czasu, czerpiącej ten czas z pracy bliźnich. W świecie Reymonta uczucie zastąpione bywa przez skrócony tryb: przez namiętność. Jego ludzie nie tyle kochają się, ile pragną, pożądają. Gdy nienawidzą, to pragną się wroga pozbyć ze świata. Afekt zdąża do decyzji, nie do analizy. Tak musi być w świecie, na którego nie pracuje nikt najęty ku temu, którego nie stać na rozkoszowanie się swym uczuciem. Był doczesny jest najwyższym z zainteresowaniem jego bohaterów.

Dorzućmy do tego wszystkiego zjawisko przypadkowe: obcość jasnego humoru w talencie Reymonta — a stanie przed nami w pełni obraz tego świata. Łan życia, powstałego z gliny twardej, z gliny, do której przymieszano pot trudu i udręki, by z niej wyrzeźbić człowieka.

Rzecz jasna, że ta strona twórczości Reymonta czyni z jego utworów powieść pozytywistyczną. I to pierwszą powieść pozytywistyczną w literaturze polskiej. Powieść bowiem pozytywistów była mimo wszystko powieścią romantyczną. Bohaterowie tej powieści bywali idealistami lub utopistami. W życie wstępowali z ideą zbawiania ojczyzny przez trzeźwość, jak ich ojcowie zbawiali ojczyznę przez szablę lub przez męczeństwo. Bohaterowie epoki pozytywistycznej zakładali fabryki nie dla siebie, lecz dla Polski. Najwyższy zaś arcytwór powieści tych czasów i tego prądu: „Lalka” Prusa pokazuje, z pełnią świadomości, walkę romantyzmu z pozytywizmem w duszy pokolenia i przyznaje, że romantyzm jest struną dźwięczniejszą w rasie tego pokolenia. Dopiero w powieściach Reymonta wydobywa się właściwa warstwa pracy organicznej, pracy u podstaw, dopiero w tych utworach ludzie po raz pierwszy znają przede wszystkim dziedzinę swoich własnych interesów. Autor umie i w tym powtarzaniu życia dopatrzeć się sensu narodowego, ale bohaterzy jego o sensie owym

nie myślą, ich zadaniem jest zrealizowanie własnego bytu.

Oto znowu zdobycz i odrębność historycznoliteracka Reymonta, jego własna i nowa karta.

Dobiegłem do końca tych szkicowych uwag o talencie i twórczości Reymonta.

Twórczość samorodna, niezależna w swoim powstawaniu niemal od nikogo, a przynajmniej niezależna od nikogo w swoich cechach decydujących. Talent bujny od natury, organizacja plastyczna i przepojona zdolnością ożywiania figur aż do poczucia ich dotykalności. Zmysł rzeczywistości, realistyka artystyczna i realistyka ideowa. Talent zanurzania się w codzienność bytu i talent podprowadzania tej codzienności do znamion niemal poetyckich. Wrodzony żywioł tworzenia; obserwacja zaostrzona swoistym rozciekawieniem się i żądzą poznawania. Jakaś fizyczna niemal władza rozprężania zjawisk i ludzi, która stworzonym ludziom i utworom daje rozmiary, widne z daleka; która dusze i ciała postaci wyposaża w zdrowy pierwotny rytm siły. Dech epicki wciśnięty w realizm dostrzegania. Rozkochanie się w energii życia i postawienie tej energii, jako swojego pionu ideologicznego. Stworzenie z tych pierwiastków powieści dnia powszedniego i syntezy chłopca, jako najprawdziwszego typu energii i najprawdziwszego bytu dnia powszedniego. Doprowadzenie wreszcie typu chłopca prawdziwego do wymiarów monumentalnych. Wypowiedzenie tego wszystkiego sposobem mistrzowskim.

Oto Reymont.

Adam Grzymała-Siedlecki.

SPRAWIEDLIWIE

I

Noc była przedwiosenna — marcowa, noc pełna deszczów, zimna i wichrów.

Lasy stały pokurczone i odrętwiałe, przemoknięte do szpiku; chwilami wstrząsał nimi dreszcz lodowaty, bo się trzęsły febrycznie i jakby trwogą ogarnięte rozwijały gałęzie, otrząsały się z wody, szumiały ponuro, zaczynały sieć ciemności i oszalałe bólem marznięcia — wyły dziką pieśń katowanych bezlitośnie.

Chwilami polatywał mokry śnieg i jakby przyciskał wszystko i mroził, że lasy milkły i opuszczały się bezwładnie i cichły — tylko wskrós mroków, wskrós puszczy, wskrós tych pni potężnych, oniemiałych nagle, włókl się jakiś cichy a bolesny jęk, lub zrywał się ostry, przerażający krzyk marznącego ptaka i suchy trzask spadającego po gałęziach ciała.

To znów przychodził wiatr, miłczkiem czołgał się w ciemnościach i rzucał z furją na lasy, wilgotnymi kłami wżerał się w głębie, topił śniegi, obrywał gałązki, łamał gęste podszycia i z wyciem triumfu tarzał się po polanach i miotał borem, jakby kępą trzciny wiotkich — a wtedy z głębin nocy, z tych przerażających pustek przestrzeni, wyczołgiwały się ogromne, brudne chmury, podobne do rozwichrzonych a przegniłych stogów siana, opadały na lasy, czepiały się wyniosłości, okręcały podartymi strzępami drzewa, dusiły je w ohydny uścisku i mżyły zimnym, nieustannym deszczem, przenikającym nawet kamienie.

Noc była straszna; drogi puste i zalane błotem, pomieszany z resztkami śniegów; wsie ciche, jakby wymarłe, pola martwe, sady bezlistne i pokurczone, rzeki w kajdanach lodów — nigdzie człowieka, nigdzie głosu życia — jeno ogromne królowanie nocy.

W jednej tylko karczmie Przyłęckiej błyskało małe światełko.

Karczma stała wśród lasów, na rozdrożu; poza nią, na zboczu góry, majaczyło kilka chałup, a dookoła stał potężny, czarny bór.

Jasiek Winciorek wysunął się ostrożnie z gąszczów na drogę i dojrawszy migocące światełko, chyłkiem podszedł do okna. Długo stał bezradnie, rozglądał się po wnętrzu karczmy, nasłuchiwał, to rzucał strwożone spojrzenia dokoła, nie wiedział, co począć; — bał się wszystkiego tak, że się już cofnął od okien, już zrobił kilka kroków ku lasom, ale zawiął wiatr i takim zimnem przejął, iż chłopak zaczął się trząść w sobie, więc się zawrócił, przeżegnał i wszedł do karczmy.

Karczma była wielka; czarny pułap wisiał nad glinianą podłogą i przyciskał pokrzywione ściany odarte z wapna, przecięte dwoma okienkami na wpół osłepłymi, zapchanymi słomą.

Na wprost okien, za grubą drewnianą kratą stał szynkwas, bokiem przyparty do wielkich beczek, na których kopciła się czerwono lampka naftowa. Izbę zalegał gęsty mrok, rozświetlany błyskami ognia, dogasającego na wielkim, staroświeckim kominie, przy którym rozłożyła się jakaś para dziadowska. W drugim kącie, prawie ciemnym, majaczyło kilkanaście osób, zbitych w kupę i coś tajemniczo szepczących. Przed szynkwasem stało dwóch chłopów; jeden ścisnął butelkę w garści, a drugi podstawił kieliszek, przepijali gęsto do siebie i kiwali się sennie.

Tłusta, czerwona dziewczka chrapała za kratami, oparta o beczki.

Zapach wódki, pomieszany z zapachem rozmiękłej gliny i przemokniętych szmat, rozwłóczył się po karczmie.

Chwilami taka cisza opadała na izbę, że słyhać było szum lasu, brzęczenie deszczu po szybach i trzask świerkowych gałązek w kominie, a wtedy niskie drzwi, ukryte za kratami, otwierały się ze skrzypem i wyglądała w nich stara, siwa głowa Żyda, ubranego w modlitewne szaty i śpiewającego półgłosem; a za nim jaśniała oświetlona świeczkami izba, z której, razem z szabasowymi zapachami, buchał przyciszony odgłos monottonnych, smutnych śpiewów.

Jasiek wypił kilka kieliszków jeden po drugim i gryzł zapamiętale suche, zapleśniałe bułki, ciągnące się w zębach jak rzemień, przegryzając je śledziem i pilnie bacząc na drzwi, to na okno, a jeszcze pilniej łowiąc wszystkie szemrzące w karczmie głosy.

— Żenić, nie psiekurki, żenił się nie będę! — krzyknął naraz chłop, trzasnął butelką o szynkwias i splunął aż na plecy dziada, siedzącego przy kominie.

— A żenić się musisz, abo pieniądze oddać! — szepnął drugi.

— Loboga, tyła pinindzy! Jewka, kwaterkę śpritu, ja płacę!

— Pieniądz wielga rzec — baba większa...

— Nie, psiekurki, żenił się nie będę, wyprzedam się, zapożyczę, pieniądze oddom, a żenił się nie będę z tą zapowietrzoną.

— Napij no się do mnie, Antek, coć rzeknę...

— Już wycie nie ocyganicie. Pedziałem nie, to nie, a jak co — to ucieknie choćby do Brezylji, ano, z tymi ludźmi, na kraj świata...

— Głupiś! Napij no się do mnie, Antek, coć rzeknę...

Przepili do siebie po razy kilka i zaczęli całować się na przemian i zmiłkli, bo dziecko zapłakało w drugim kącie a pomiędzy cicho i trwożnie siedzącą gromadą ruch się jakiś zrobił.

Wysoki, suchy chłop wynurzył się z ciemności i wyszedł z karczmy.

Jasiek przysunął się do ognia, bo ziaęb go przejmował do kości, śledzia nadział na patyk i zaczął go przypiekać na węglach.

— Odsuńcie no się ździebko — szepnął do dziada, który bosc nogi trzymał na torbach, a choć był całkiem ślepy, suszył przy ogniu przemoknięte onuce i wciąż po cichu rozmawiał z babą, zajętą przygotowaniem jadła i dokładaniem gałązek pod denarek, na którym stał garnek.

Jaśkowi cieplej się zrobiło, a z jego kapoty szła para jakby z cebra z gorącą wodą.

— Niezgorzyśta zmiłkli! — szepnął dziad pociągając nosem.

— Przecie — szepnął i drgnął gwałtownie; drzwi skrzypnęły, ale to wszedł ten chudy chłop i zaczął coś półgłosem opowiadać gromadzie, kupiącej się do niego.

— Nie wiecie, kto to? — szepnął Jasiek trącając dziada w rękę.

— Tamte! a kto? Głupie, jadą do Brazylji — odrzekł spluwając.

Jasiek już się nie odezwał, suszył się i raz po raz wodził oczami po karczmie, po ludziach, którzy, targani jakimś niepokojem, to mówili coraz głośniejsze, to milkli nagle i co chwila ktoś z nich wychodził z karczmy i powracał natychmiast.

Z alkierza szerzyły się coraz monotonniej głosy śpiewów, aż jakiś wychudzony pies wypełznął skądś do ognia i zaczął warczeć na dziadów. Dostał kijem, aż zaskowyczał z bólu, położył się na środku izby i żalosnym, głodnym wzrokiem patrzył na parę unoszącą się nad garnkiem.

Jaśkowi było coraz cieplej, zjadł śledzia i resztę bułek, ale równocześnie poczuł, że jeść chce mu się teraz jeszcze srożej. Obmacał kieszenie drobiazgowo i nie znalazłszy ani grosza, skulił się tylko i bezmyślnie zapatrzył w garnek i w czerwone płomyki ognia.

— Chce się wam jeść, co? — zagadnęła baba po chwili.

— I... ździebko mi ta w brzuchu kruczy...

— Kto to? — zapytał dziad po cichu kobiety.

— Nie bój się, nie da ci złotówki, abo i grosika... — mruknęła złośliwie...

— Gospodarz?

— Taki, jak i ty, ze świata! — szepnęła zdejmując garnek z denarka.

Ino ludzie dobre są ze świata... zwierz, abo druga świnia ze chliwa... He?... — szturgnął Jaśka kijem.

— Prawda, prawda — odpowiedział chłopak bezmyślnie.

— Coś macie na wątpiach, tak miarkuję... — szepnął dziad po chwili.

— A bogac tam nie mam...

— Pan Jezus zawždy mawiał: jakieś głodny — jedz; jakieś spragniony — napij się, a jakieś cierpiący — nie gadaj!

Jasiek podniósł znękane, pełne łez oczy na dziada.

— Zjedzcie ździebko, dziadowska to potrawa, ale wam pundzie na zdrowie, zjedzcie... — prosiła baba, nalewając mu sporą porcję na jakąś skorupę. Wyciągnęła z torby kawał razowego chleba i podsunęła nieznacznie, a potem, gdy się do jadła przysunął bliżej, kiedy ujrzała jego twarz strasznie wynędzniałą, szarą i jakby odartą z ciała, tknęła ją taka litość, że wydobyla kawał kielbasy i położyła mu na chlebie.

Jasiek oprzeć się głodowi nie mógł, ani zaproszeniem, więc jadł łapczywie, rzucając od czasu do czasu jakąś kość psu, który się przyczołgał do niego i patrzył prosząco.

Dziad słuchał długo a potem, gdy i jemu baba wetknęła w garść garnek, podniósł łyżkę do góry i rzekł uroczyście:

— Jedzcie, człowieku, Pan Jezus powiedział: dasz biednemu grosz, to ci drugi odda dziesiątką... Jedzcie z Bogiem, człowieku...

Jedli w milczeniu.

A w przestanku dziad otarł rękawem usta i powiedział:

— Trzech rzeczy potrzeba, żeby jadło poszło na zdrowie: gorzałka, sól i chleb; — daj, babo, gorzałki!

Napili się wszyscy troje i jedli dalej.

Jasiek prawie zapomniał o niebezpieczeństwie, nie rzucał już trwoźnych spojrzeń na karczmę, ani na okna i drzwi. Jadł tylko, nasyczał się ciepłem, nasyczał z wolna ten czterodniowy głód, jaki mu żarł wnętrzności, uspokajał się tą ciszą, jaka zapanowała w izbie.

Chłopi sprzed szynkwasu poszli, a gromada w kącie, porozkładana na ławach i mokrej podłodze, z głowami na tobołkach, drzemała cicho. Z alkierza tylko dochodził coraz senniejszy szmer śpiewów.

A deszcz padał wciąż i przeciekał przez dach, bo w kilku miejscach kapało z pułapu i na glinianym toku tworzyły się okrągłe, grzaskie i lśniące place błota. Czasem wiatr zatrzęsł karczmą, huczał w kominie, rozrzucał ogień i wypychał dym na izbę.

— Naści i tobie, obieżyświacie — szepnęła, dając resztki jadła psu, który kręcił się koło nich i żebrał oczami.

— Jak se człek w brzuchu co włoży, to mu i w piekle

niezgorzej — powiedział dziad, odstawiając próżny garnek.

— Bóg wam zapłać za pożywienie. — Ścisnął dziada za rękę, ale ten nie puścił mu jej zaraz, tylko obmacywał delikatnie.

— Bez parę roków niceście rękami nie robili — mruknął.

Jasiek zerwał się trwoźnie.

— Siadaj, nie bój się. Pan Jezus powiedział: wszystkie są sprawiedliwe, które się boją Boga i wspomagają biedne sieroty. Nie bój się, człowieku. Nie Judasz ci ja, ani Żyd, ino chrześcijan sprawiedliwy i biedna sierota...

Zamyślił się chwilę, a potem przyciszonym głosem mówił:

— Na trzy rzeczy bacz: byś kochał Pana Jezusa, nie był głodny i dawał biedniejszemu — a reszta, to samo nic, paskudny wymysł ludzki... Mądre mu potrzeba o tym wiedzieć, aby się nie frasował po próżnicy... Wie się i to i tamto, i niejedno... Hę! co mówicie?...

Nastawił uszów i czekał, ale Jasiek nie odrzekł nic, milczał uparcie, bał się zdradzić, więc dziad wydobyl tabakierkę łubianą, trzepnął w nią palcem, zażył, kichnął i podał chłopakowi a nachyliwszy do ognia swoją ogromną, osleptą twarz, zaczął mówić cichym, monotonnym głosem:

— Nie jest sprawiedliwie na świecie, nie. Po faryzejsku ino wszędy a na urwisa, kto kogo przódy przeprze, kto kogo prędy ocygani, kto kogo prędy zakłyżni. Nie tego Pan Jezus chciał na świecie, nie tego. Hale! przyjdiesz do jakiego dworu i czapkę zdejmiesz i śpiwasz, jaże gardziel pęka i o Jezusie, i o Marii, i o Wszystkich Świętych, czekasz — nic; dołożysz pare paciery do Przemienienia Pańskiego, czekasz — a oto ino pieski ochotnie piszczą do twoich torbów i dziewczki gzą się za płotami; dodajesz jeszcze litanie — wynoszą ci dwa grosze, abo spleśniałą kromkę chleba! Abyśta juchy poslepy i same jeszcze dziadów prosiły o wspomóżenie. A to po takim modleniu, to me samego gorzałka kosztuje więcej, co by se gardziel przepłukać!... — Splunął ze złości.

— A bo to drugim lepiej, co? — ciągnął znów po zacyciu tabaki. — Jantek Kulik, a no ten z Dębów... wzion dworskiego prosiaka... myślisz, że użył? a juści... chudo jucha

była, kiej pies dworski... całą tłustość można było wytopić do kwarty gorzalki... To za to go wzięny i zasądziły na pół roku siedzieć... I za co? Za marnego prosiaka! Jakby to swyniak nie był też Boskim stworzeniem... i jakby to jedni mieli mrzeć z głodu, kiej drugie mają wszyckiego po grdykę... A przecież Pan Jezus powiedział: — Co weźmie biedny, to jakbyś dał dla mnie samego. Amen! — Napijesz się, co?

— Bóg zapłać, kiej me już rozebrało ździebko.

— Głupiś! I Pan Jezus pił na godach. Pić, to nie grzech: — grzech ino schlać się, kiej swynia, nie wypić Bożego daru do dna i siedzieć nie mówiący, kiej dobrzy ludzie gadają...

— Przypijcie do mnie! — szepnął z determinacją.

Dziad przepił butelkę, aż mu długo bulgotało w gardle a podając Jaśkowi, rzekł wesoło:

— Pij, sieroto! Na trzy rzeczy ino bacz: byś robił cały tydzień, pacierz mówił w niedzielę i dawał biednemu — a zbawienie duszy miał będziesz. Człowieku, mówię ci, nie możesz pić kusztyczkem, to napij się kwartą...

A potem zamilkli wszyscy.

Baba spała z głową zwisłą przy ogniu przygasłym, dziad wytrzeszczał zasze bielmem oczy na czerwone węgielki i raz po raz kiwał się zawzięcie; głosy i szepty w kącie pomilkły, tylko wiatr coraz silniej uderzał w szyby i wstrząsał drzwiami, a z alkierza zrywały się głosy śpiewów przepojonych jakby żalem i rozpaczą...

Jasiek był już zupełnie zmorzony ciepłem i wódką, czuł się tak sennym, że wyciągnął nogi przy ogniu i miał nieprzepartą chęć położenia się... Bronił się jeszcze odruchami świadomości, odruchami strachu, ale już co chwila zapadał w stan zupełnego odrętwienia, że nie pamiętał o niczym. Tuman rozkoszny, pełen ciepła, blasków ognia, jakichś słów dobrych, spokoju i ciszy omraczał go zupełnie i przejmował głębokim uczuciem zadowolenia i bezpieczeństwa.

A czasem się budził nagle, nie wiadomo dlaczego, obrzucał wzrokiem karczmę i słuchał przez chwilę dziada, który drzemiąc, mruczał:

— Za wszystkie duszyczki w czyścju zostające — Zdrowaś Maria, łaskiś...

— Człowieku, mówię ci, że dobry dziad mieć powinien: kij z żeżem, głęboką torbę i długi pacierz... — Rozbudził się i czując Jaśka oczy na sobie, mówił już przytomnie.

— Słuchasz, co mówi stary — to mówię ci, napij się do mnie... i słuchaj jeszcze. Człowieku, mówię ci: bądź mądrym, ino tego nikomu w oczy nie ciep. Obacz wszycko, ale na wszycko bądź ślepym... Żyjesz z głupim — bądź od niego głupszym... z kulawym — nie miej wcale kulasów; z chorym — umieraj za niego. Dadząc grosz... dziękuj, jakby za złotówkę... Wyszczują cię psami... ochfiaruj to Panu Jezusowi... Zleją kijem... zmów pacierz...

Człowieku, mówię ci: rób coć radzę, a torby miał będziesz pełne, brzuch kiej kłodę a cały świat poprowadzisz na postroneczku, kiej głupiego bydlaka... He! he! he! nie dajesz się człowiek, nie; wie się i to, i tamto, i drugie!... Kto ma pomiarkowanie, jak to świat jest, temu źle nie będzie. We dworzce pomstuj na chłopów — pewny grosz i ochłap z obiadu; u księdza: na chłopów i na dwory — pewne dwa i rozgrzeszenie; w chałupach na wszystkich — a będziesz jadł jakby ze słoniną i pił wódkę z tłustością... Człowieku, mówię ci... Za duszę Juliny. Zdrowaś Maria!... — zaczął bezwiednie sennym głosem chwiejąc się na ławce...

— Łaskiś pełna... Wspomóżta biednego kalekę... — zaczęła trzepać baba podnosząc przez sen głowę z komina.

— Cicho, głupia! — krzyknął, budząc się nagle, bo drzwi wchodowe głośno zatrzęszczały i wsunął się nimi wysoki, rudy Żyd.

— W drogę, już czas! — zawołał głucho i natychmiast cała gromada drzemiących zerwała się na nogi; zaczęli się obładowywać tobołami i ubierać, kupić, to wysuwać na środek izby, to cofać, bezładnie. Gwar przyciszony, trwożny, pełen akcentów, skarg, czy żalów zerwał się ze wszystkich piersi. Słowa krzyżowały się gorączkowo; nawoływania, szepty, przekleństwa, tupania, to znów początki pacierzy mówionych półgłosem, rumor, płacz dzieci — wszystko to przyciszone, jakby siłą powstrzymywane, napełniało ponurą, czarną izbę dziwną grozą i strachem.

— Jasiek przebudził się zupełnie i przyciśnięty plecami do

boków stygnącego komina, przyglądał się ludziom ciekawie, to ile można było widzieć ich kontury w ciemnościach.

— Gdzie oni idą — zapytał dziada.

— Do Brazylii.

— Daleko?

— Ho! Ho!... Na kraj świata, za dziesiąte morze.

— Laczego. Po co? — rzucił jeszcze ciszej.

— Raz, że są głupie a drugie, że są biedne...

— A znają to drogę? — zapytał znów zdumiony ogromnie.

Ale dziad już nie odpowiedział, szturchnął babę kijem, wysunął się ku środkowi izby, ukląkł i zaczął płacziwym, śpiewnym głosem:

— Za morze idzieta, za góry, za lasy... na kraj świata, to niech wam Pan Jezus błogosławi, sieroty! Niech was za Częstochowska Panienka trzyma, niech waju wszyscy święci wspomagają, za ten grosz, co go dacie biednemu kalece... Do Przemienienia Pańskiego Zdrowaś Maria...

— ...Łaskiś pełna, Pan z Tobą... — trzepała baba klękając obok.

— ...Błogosławionaś Ty między niewiastami — odpowiedziała gromada wysuwając się na środek.

Wszyscy poklękli, zerwały się ciche płacze, głowy się pochylały a serca z największą wiarą i pokorą oddawały się modlitwie. Gorący wiew ufności rozpalil przygasłe oczy i wy-nędźniałe szare twarze ludzi, prostował przygięte ramiona i tak wzmacniał, że wstawali od pacierza silni, niezmożeni...

— Herszlik! Herszlik! — wołali na Żyda, który znikł w alkierzu.

Było im pilno iść w ten świat nieznany, tak straszny przez to, a tak pociągający.

Było im pilno brać się za bary z nową dolą, a uciekać od starej.

Herszlik wyszedł, uzbrojony w ślepa latarkę, porachował ludzi, kazał się im ustawić w pary, otworzył drzwi i ruszył — jak widmowy zastęp nędzy, jak sznur cieniów, okrytych w łańchmany, przygarbionych ciężarem tego jutra, do którego szli z mocą nadziei...

Przepadli zaraz w ciemnościach i deszczu.

Tylko w mrokach nocy i rozkołysanych drzew błysnęło na chwilę światło przewodnika a z szumem lasów, z poświstem wicherów, z ciemności tej nocy strasznej dobiegł jęklivy, przełzawiony trwogą śpiew: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”

I rwał się w wichurze, jak przesmutny jęk umierających...

— Chudziaki! Sieroty! — szepnął Jasiek, patrząc za nimi i jakiś dziki żal ścisnął mu duszę obolałą.

Powrócił jednak do karczmy już ciemnej i oniemiałej, bo dziewczka zgasiła światło i poszła spać, w alkierzu pomilkły śpiewy, tylko dziad nie spał, obliczał z babą jałmużnę.

— Chuda fara! Dwa złote i dwadzieścia pięć groszy całej parady... Hm!... niech im ta tego Pan Jezus nie pamięta, a wspomaga...

Gadał jeszcze, ale Jasiek już nie słyszał. Przytulił się do wygasłego komina, okrył się jak mógł w przeschniętą nieco kaptotę i zapadł w kamienny sen...

Dobrze po północy obudziło go mocne szarpnięcie i światło skierowane prosto w oczy.

— Hej! brat! Wstawaj! Kto ty taki?... Paszport u ciebie jest?...

Oprzytomniał natychmiast; dwóch strażników stało przed nim...

— Paszport u ciebie jest? — zapytał po raz drugi strażnik potrząsając nim jak snopem.

Ale za odpowiedź Jasiek zerwał się na równe nogi i trzasnął go pięścią między oczy, aż strażnik puścił latarnię zwałił się w tył, a Jasiek runął w drzwi i wybiegł... Pognał za nim drugi strażnik i nie mogąc już chwycić, strzelił.

Jasiek zachwiał się nieco... krzyknął i upadł w błoto, ale zerwał się natychmiast i zginął w mrokach lasu.

Jasiek uciekał jak oszalały, rozbijał się o drzewa, kłębił o krzaki, padał, podnosił się i biegł gnany strachem, bo mu się wydawało, że pogoń jest tuż, że czuje już ręce chwytające go za ramiona, że słyszy krótkie, urywane oddechy z sobą... więc dwoił siły i gnał jak wicher, aż śmiertelnie zmęczony upadł w jakieś krzaki i leżał długi czas nieprzytomny prawie...

Rozbudził go straszny ból, jaki nagle poczuł w boku — uniósł się nieco i oczami pełnymi strachu, oczami gonionego zwierzęcia rozglądał się w ciemnościach. Nie zobaczył nikogo i nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje; dokoła chwiała się i szumiała ponury bór, podszyty gęstymi krzakami.

Przyczołgał się do jakiegoś drzewa i opadł na ziemię zaskowytem — bok zabolał go strasznie. Skulił się we dwoje tak siedział, jęcząc przez zaciśnięte zęby. Ból się pastwił nad nim, od rany w boku rozchodził się koncentrycznie, promieniował i w każdy centr, w każdy nerw wbijał mu ostre, nieskończone długie i strasznie piekące igły... Udarł garść mchu i zatykał sobie ranę, zatamowywał krew, która ciepłym strumieniem oblewała mu bok, czuł ją już w butach nawet.

A co chwila robiło mu się tak słabo, tak dziwnie, że siedział omdlały, nie wiedząc o tym, budził się jednak z tej drzemki śmiertelnej, patrzył przygasłym wzrokiem w noc i szepotał przez łyż:

— Jezus! O Jezus Maria!... O Jezus!

A potem nie czuł już żadnego bólu, dętwiał z wolna zamrażał go przenikliwy chłód i ten dreszcz mżący nieustannie.

Las wciąż szemrał surowym, straszonym szeptem mroku.

A noc wlokła się wolno... wolno... strasznie wolno...

Jasiek, wychowany w lasach, znał się z nimi dobrze i nie bał się ich dawniej, ale teraz, na pół żywy, patrzył z przerażeniem na olbrzymie majaki drzew. Zwolna dusza napęła niała mu się grozą, pełną zamętu nieopowiedzianego i cichości okropnej.

Lęk pełen rozpaczony ścisnął mu serce takim bólem, że

umierał, siedział bez ruchu, bał się poruszyć powiekami, bał się zmienić kierunek spojrzenia, bał się szepnąć to zbawcze imię: Jezus. Bo czuł strach i tajemnicę dokoła, czuł, że ta ciemnota straszną przenika przez niego, zalewa mu duszę, niszczy ją... A ten bór ciągle coś mówił z sobą... jęczał... czasem krzychał żałośnie... pochylał się nad nim... patrzył jakby... prostował się groźnie... pochylał znów niżej... niżej... tak nisko... że czuł jakiś lodowaty oddech na twarzy... czuł, że gałęzie ostre dębów, gałęzie podobne do szponów poskręcanych wyciągają się ku niemu z ciemności... że szukają go... że go zaraz rozerwą pomiędzy siebie...

Wtedy ze straszonym, niemyym krzykiem trwogi zapadał w omdlenie. I rozpalony gorączką mózg snuł rozprężone, porwane obrazy wspomnień więzienia... Włócił się więziennym korytarzem... Tak, to więzienie z powrotem. Oglądał się i widział szereg głów postrzyżonych, pochylonych nad warsztatami, które klekotały nieustannie.

— Jasiek! Jasiek! — Drgnął, któryś go wołał cicho, ale nie mógł poznać który, bo wszyscy, z obawy przed strażnikami stojącymi przy drzwiach, trzymały głowy nisko. Nie, musiał się przesłyszeć.

Zapatrzył się przez szerokie okno na czubki drzew... na nieobjęty obszar nieba... na dalekie, dalekie kontury wzgórz!... Drgnął znów... A to dzwon na obiad! Dzwon na kolację, dzwon na spoczynek!... Szczęk kajdan... Ostre twarze dozorców z błyszczącymi bagnetami... Drżał na ich widok... Komenda jakaś... nie dosłyszał...

Ach! A te noce, te straszne noce w ogromnej sali dawnego refektarza... te noce, w które przychodziła tęsknota i wysysała z niego wszystką krew, wszystkie siły, wszystkie łyż... te noce zimowe, mroźne i białe od księżycy, w które nie mogąc spać, modlił się cicho do tych świętych twarzy, tak wyraźnych jeszcze na sklepieniach... Przerwał się logiczny ciąg marzeń. Czuł teraz, że ucieka z więzienia... to czterodniowe tułanie się po lasach, po nocach... karczma Przyłęcka... dziad... ludzie, idący do Brazylii... strażnicy... strzał...

Ocknął się z omdlenia. Bólu nie czuł, tylko było mu strasznie zimno, zawiąnął się w sobie, przyparł do drzewa i cze-

kał tak świtu, a tęsknota wsadziła mu swój kolczasty łeb do wnętrzości i gryzła niemilosiernie.

Do domu uciekał... do wsi swojej... do wolności...

To wszystko było tam... tam... za tym lasem, co jak zły obląkał go i odgrodził — tam jest chałupa, matka, życie spokojne i ciche — tam ta ogromna szczęśliwość — którą zrozumiał dopiero za kratami więzienia.

— Tam! tam!... — krzyczała w nim tęsknota tak głośno, tak potężnie, że podniósł się, aby iść... Usiadł z powrotem, bo nie wiedział, gdzie jest, zbłąkał się tą szaloną ucieczką, musiał czekać dnia.

A nie pomyślał nawet przez mgnienie, że i z domu, od matki mogą go zabrać i wtrącić z powrotem do więzienia. Wiedział tylko, że w tej wsi swojej jest jego szczęście i tam powracał, pomimo wszystkich przeszkód. Zdawało mu się, że jak się tam dostanie, wszystkie nędze i utrapienia skończą się na zawsze. Nie czuł się przecież winnym niczego. W więzieniu nie widział korzącego prawa, lecz tylko osobistą a potężną zemstę rządcy, którego trochę dziobnął widłami!

— Dokończę ja cię, ty frybro jangielska, dorychtuję cię, nie bój się!... — myślał nienawistnie przypominając sobie prześladowcę.

I snuły mu się tysiączne pomysły zemsty, ale nikły co chwila, bo coraz częściej zapadał w drzemkę, bronił się jak mógł, aż w końcu już przed świtaniem zasnął śmiertelnie.

Spał pomimo deszczu, który go przemaczał do skóry i mimo chłodu surowego marcowej nocy; wcisnął się między wystające korzenie dębu, przytulił głowę do olbrzymiego pnia i spał.

Las, jak zwykle przed świtaniem, przycichnął, pochylił się nad śpiącym i stał jakby na czujnej, bardzo straży osłaniając go sobą od deszczu.

Ciemności zwolna rzedły, bladły... rozjaśniały się.

Po mrokach rozlewała się świtowa szarość.

Las usypiając, budził ptaki i zwierzęta.

Stado wron wyrwało się cicho spod konarów jodeł olbrzymich: kołowały chwilę wysoko i poszybowały na żer, do wiosek.

W lesie było jeszcze ciemno, od wschodu białało nieco, przecierał się świt i na tym mętnym jeszcze, widmowym tle brzaśku, kontury czubów drzew rysowały się jak profile gór; na dole pod drzewami leżał gęsty mrok.

Wiatr ustał zupełnie, drzewa stały cichą, skłębioną masą; opuszczały przemarznięte, przemoczone gałęzie, pochyłały konary bezwładnie w jakimś znużeniu ogromnym, zapadały w głęboki sen... przerażający majestat usypiającej potęgi rozlewał się dokoła...

Czasami tylko gałąź jakaś drgała przez sen, otrząsała się z deszczu, podnosiła się ku świtom i zapadała w ciche omdlenie...

Czasem tylko pień jakiś olbrzymi, jakby kurczył się w sobie od zimna, drgnął niepochwytne, rozprostował gałęzie, przechylił się koroną ku dalekiemu jeszcze słońcu — i pogrążał się w słodkie odpocznienie.

Czasem tylko jakiś głos przejmujący, coś jakby westchnienie głębokie, jakby jęk śpiącego lasu, jakby krzyk majaceń sennych — drgał wskroś i przepadał w coraz bielszym świecie...

Tylko niskie, chude, mizerne krze leszczyn, osik, brzołek i grabin tulących się do pni olbrzymów śpiących, drżały ledwie dostrzegalnie, jakby z trwogą, tuliły się do siebie i szeptały cicho... drżąc...

Jedne jałowce stały nieruchomo i hardo; pokryte pancerzem twardych, zielonych igieł, po których spływał deszcz, nie cierpiały tyle. Ale gęste, długie pędy malin dzikich, poskręcane chaotycznie, czepiały się kolcami drzew, darły się na kamienie, oplatały mrowiska, jakby uciekały we wszystkie strony z rozpaczą, bo deszcz przenikał ich delikatne pokrycia i po cienkich ciałach spływał wielkimi kroplami, aż do korzeni, aż do wnętrzości...

Sosny drgały nerwowo, a świerki stały, jakby bez zucia, okryte potężnym wachlarzem gałęzi.

Szare spojżenia świtu coraz niżej, coraz głębiej opadały i wypłakany, zielonawym światłem przenikały wskroś lasów. Las zadrgał pod tym dotknięciem, ale spał jeszcze.

Cizba przeogromna kolumn, niby w pragotyckiej świą-

tyni, zaczynała wylaniać się ze zmroków, majaczyła tłumnie dokoła, a przez konary olbrzymów, niby przez gotyckie okna zasnutę pajęczyną, przedzierały się brzaski dnia coraz jaśniejsze i różowsze; pełzały po szarych kolumnach drzew, migotały w kropkach deszczu i osuwały się na ziemię, na mchy zrudziałe, na liście zeszlenczone, na krze drżące i ledwie dostrzegalną jasnością wydobywały na wierzch twarz Jaśka, który spał, przyściśnięty do korzeni dębu.

Trzask rozległ się w ciszy i po chwili z gęstwiny krzaków wynurzyły się ogromne korpusy jeleni; szły ostrożnie, z wyciągniętymi łbami przystając co chwila i wężąc na wszystkie strony. Poczuly Jaśka, zbiły się w kupę, krótki bek się rozległ, stanęły nieruchomo i obwąchiwały śpiącego... odskoczyły nagle, bo Jaśki coś mówił przez sen, położyły na grzbietach rogi i pomknęły w las.

I z wolna budziło się życie w głębiach leśnych; sroki kłóciły się zapamiętale na modrzewiach, wisiały przyczepione do giętkich gałązek, bujały się z nimi i tak wciąż a nieustannie krzyczały, że las cały rozbrzmiewał, a przebudzony zając wyłaził spod krzaków, stawał słupka, obcierał oczy łapkami i kicał w głąb z całych sił; to lis pomykał chyłkiem, kitę spuścił, nos wystawił wietrząc na wszystkie strony i migał jak cień złowrogi i straszny, bo ptaki z krzykiem uciekały na drzewa; to znów wiewiórka tańczyła zapamiętale po szczytach, po gałęziach, po sękach — była wszędzie i nie była nigdzie, tylko jej delikatny szarorudy korpus migotał jak błyskawica wśród drzew, a wysoko, nad lasami ciągnęła ogromna procesja kaweł, słychać było łomot skrzydeł i krótkie przerywane krakania; to sarny szły gromadą do źródła, który szemrał pomiędzy kamieniami; przemykały się tak cicho wśród drzew, tak delikatnie stąpały, że najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy śpiącego lasu, chwiały się tylko lekko gałązki leszczyn, pod którymi się przesuwaly.

Bo las spał jeszcze. Słońce już było na widnokręgu i jego czerwone, zimne promienie ślizgały się po wierzchołkach i rozpryskiwały po szarych pniach i przesubtelnymi zaledwie przeczutymi dźwiękami zadzwoniły pod sklepieniami lasów.

Już był dobry dzień, bo już słońce trochę z góry zaglą-

dało do lasu, kiedy Jaśki się obudził. Zerwał się na równe nogi, ale się zatoczył i upadł z powrotem. Nie mógł złapać tchu, tak strasznie kłuło go w piersiach, nie mógł się ruszać, tak bolały go wszystkie kości, tak się czuł chorym, rozbitym i bezsilnym. Próbował czołgać się na czworakach, nie mógł, nie miał sił.

— O Jezu, o Jezu! — szepnął rozpaczliwie.

Łzy mu zalały duszę, łzy mu zalały oczy i jak groch sypały się na szarą, wynędzniałą twarz. Trząsł się cały w tej mecie niemocy i opuszczenia.

— Już mi zamrzeć przyjdzie! Już mi tu zamrzeć przyjdzie!... — szeptał z jękiem i taki strach śmierci go przejął, taki lęk i taka rozpaczliwa okropna tęsknota do ludzi, do swoich, do życia, że wydobył wszystkie siły i poszedł. Prędko się zorientował, gdzie jest i w którą stronę iść, i chociaż przysiadł co chwila, chociaż czepiał się pni, chociaż padał z niemocy i rozbijał obolałe ciało, podnosił się i włócił dalej.

— Aby ino tutaj nie zamrzeć, aby nie zamrzeć! — szeptał.

A potem czując, że to klucie się zmniejszyło, bo bok nie bolał go zupełnie, tak był zdrętwiały z zimna, przyspieszył kroku; zdjął czapkę i na głos cały, spieczonymi ustami i sercem pełnym łez, bólu i bezbrzeżnego oddania, pacierz mówił, żebrał zmiłowania...

Jeszcze przed południem wyszedł na krańce lasów, nad pola, które ogromną kolistą doliną rozwinęły się wśród lasami pokrytych wzgórz.

— Przyłęk! Jezus Maria! Przyłęk! Jezus! — wykrzykiwał w uniesieniu. Przykucnął pod drzewem i ogarniał ten Przyłęk rozpalonym spojrzeniem.

— Laboga! Moja wieś! Przyłęk, Przyłęk! — powtarzał tysiąc razy, upajał się tym dźwiękiem, upajał się widokiem, trząsł się, krzyczał jakieś niezrozumiałe słowa, wyciągał ręce do chałup stojących długim rzędem na środku doliny, żarł oczami te szeregi topoli, spośród których wychylały się szczyty słomianych dachów i te dymy, co się wlekły nad domami, i te drogi błotniste, i te łąki, co leżały z drugiej strony wsi. Obiegał krwawym, przemęczonym, a radosnym, jak

to niebo porankowe, spojrzeniem, pełnym słońca i szczęścia, puste poczerwiałe, przemiękłe pola; śniegi leżały po bruzdach, wody lśniły po rowach i wygonach, jak wypolerowane stalowe wstęgi: stare, przysiadłe grusze czerniały po miedzach, jak zmęczone ptaki. A tam wyżej, na wzgórzu, tuż za wsią błyszcząły w słońcu złote krzyże kościoła, majaczyły podarte mury klasztoru, a tam z boku klasztoru, niżej, nad rzeką, co przepływała koło jego chałupy, roztaczał się park pański i okna dworu błyszcząły jak tarcze polerowane, błyszcząły i stawy w parku, błyszcząły i wody rzeki, lśniły się w ostrym, wesołym świetle słońca, które wisiało na bladym niebie, tuż nad wsią...

— O Jezu! O Jezu! I na mszę dam, ochfiaruję Ci się do Częstochowy! O Mario, Matuchno najdroższa!

Szeptał, przejęty szczęściem nieopowiedzianym i żalnością. I już nic nie pamiętał: ani więzienia, ani kary, ani ucieczki, ani rany, ani przeszłych cierpień, bo miał wieść swoją przed oczami, a w duszy tylko radość szaloną i taką dobroć, tyle łez roztkliwienia, tyle upojenia, że tylko gorącymi ustami i sercem dziękował Bogu, modlił się.

Ale mimo to bał się w dzień przechodzić przez wieś, albo i okrążyć ją koło klasztoru, aby się dostać do matki. Musiał poczekać do wieczora, cofnął się do lasu, na łąki leśne, gdzie stały wielkie stogi siana, wkopał się w nie głęboko i tam się doczekał.

Wypogodziło się zupełnie na zachód, brał lekki przymrozek, mgły zimne, szare, rzadkie obsiadały pola, a niebo po zachodzie pokryło się purpurową łuską i jakby zatokami pełnymi krwi, błoto szybko tężało i pod nogami ugięło się, jak pasy rzemieńne. Ostry zapach mrozu mieszał się z surowym zapachem liści dębowych gnijących w lesie, a czasem z zapachem dymów, ciągnących z mgłami.

Jasiek szedł ku wsi, na przełaj, przez pola.

Przystawał co chwila, przysiadł na miedzach, przyczytał się pod drzewami i szedł coraz wolniej przyglądając się każdemu zagonowi.

— Wojtkowa! — szeptał nachylając się nad ziemią i dotykał jej palcami.

Nic już nie widział, prócz tych pól, tych długich za-

gonów czarnozielonych ozimin, popstrzonych gdzieniegdzie bruzdami pełnymi śniegów.

Krwawe zorze zachodu przygasały, ale jeszcze paliły się zamatawane w kałużach wody; ścierniska głuche, przemiękłe, wytarte leżały jak łachmany; podorówki jesienne sterczały skibami pokrywającymi się srebrnym szronem przymrozku; półka koniczyn gdzieniegdzie podobne były do starych, zielonych, przegniłych chust kobiecych.

Ale Jasiek witał to wszystko uniesieniem, skowytem radości.

Był tak samo wyczerpany, jak te pola smutne, tak samo odarty, tak samo nędzny, tak samo smagany przez deszcze a czuł się tysiąc razy bezbronniejszym, więc z jakąś dziką miłością przypadał do ziemi, dotykał się jej, jakby biorąc od niej siłę, mocy, wytrwania... jakby się jej oddając w niewolę... Że mroczniej było, więc coraz niżej pochylał się nad zagonami.

— Michałowe! pszenica, cie! — mruknął zdumiony rozpoznając żdźbła.

Mrok zapadał prędko, zorze zbladły zupełnie i zsiniały, niebo pokrywało się już rosą gwiazd, powietrze było czyste, mgły zniknęły, bo mróz brał dobry — tylko lasy w tym czystym powietrzu wydawały się bliżej, otaczały całą dolinę czarną, wysoką ramą.

Wieś była już o parę stajań. Jasiek szedł teraz przez kapuśnicka, popprzerzynane głębokimi bruzdami, pełnymi śniegów, przez bagniste łączki, zalane wodą, pod którą był jeszcze twardy lód.

Wieś już było słyhać, owce beczały... to rozlegało się beczenie cieląt, konie gdzieś rżały, skrzypiały wierzaje. Poczł w nozdrzach zapach dymów. Gdzieniegdzie wśród lasów, zabudowań i opłotków zamigotało światelko... piosenka zadźwięczała w powietrzu... ale ją zagłuszył turkot wozu, który galopem jechał przez wieś. Gęsi na jakimś podwórzu gęgały zawzięcie. Ktoś krzyczał na całe gardło:

— Pietrek! Pietrek!...

Ten głos uderzył go jak obuchem, aż się zachwiał! Szedł, wzdłuż wsi, tyłami, dróżką, co biegła za stodo-

łami.

Matka mieszkała w drugim końcu, za rzeką, pod wzgórzem, na którym stał klasztor.

— Poszycie dał nowe! — szepnął do siebie przyglądając się jakiejś chałupie.

— Wawrzon się spalił! — Przystawał chwilę i ze współczuciem patrzył na czarny komin, sterczący wśród spalonego sadu.

— Cie! nową chałupę softys se postawił. Z cudzej krywdy! — dodał po chwili idąc dalej.

Im był bliżej domu, tym wolniej szedł i ciężej, bo i bok zaczął go boleć, i ten gwar wsi go rozdrażniał, i radość go tak przejmowała, że każda kosteczka trzęsła mu się nerwowo. Byłby się rzucił na ziemię i całował ją z uniesieniem, byłby klękał przed każdą chałupą, przed każdym sadem, przed każdą stodołą i byłby się modlił do każdego kamienia, do tych topól, co stały nad domami, do tych świateł w oknach, do gwarów, do tej wsi całej, drogiej... kochanej... rodzonej... Ale już nie miał sił, to szczęście go wyczerpało do cna, włókł się jak umierający, nieprzytomny, a tylko resztkami życia, resztkami sił, aby się ino dowlec do chaty... aby się ino dowlec do progu i choćby tam zaraz zamrzeć.

— O Jezus! O Maria! — szeptał i już nie wiedział jak, nie wiedział kiedy dowlókł się pod chałupę matki, nie mógł już drzwi otworzyć, tylko upadł przed progiem i wybuchnął strasznym płaczem...

III

Kiedy ranne wstają zorze —
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże Wielki!

Jasiek uniósł głowę na pościeli i słuchał uważnie, głos szedł z niedaleka, jakby zza drzwi. Obejrzał się, ale nic nie

dojrzał, tylko przez szybkę maleńką, wsadzoną w ścianę, przeciskał się świt i rozkrzązał słaby brzask. Opadł na łóżko; nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał.

Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże Wielki!

— Matulu! — szepnął, słuchając tego powtarzania i leżał tak cicho bez oddechu, z oczami wlepionymi w ciemność, zasłuchany, powtarzał nie głosem, lecz ruchem warg ten śpiew i łyzy wolno spływały mu po twarzy, łyzy dziwnej błogości... Nie słyszał nawet, kiedy śpiew się skończył, ani, że drzwi skrzypnęły.

— Lepiej ci, synu, co? — zaszemrał jakiś głos nad nim.

— Matulu! Matulu! — wyszeptał, chwycił rękę, głaszczącą go po twarzy i trwał tak w tej niemocy, pełnej łez szczęścia.

Stara gładziła tylko z wielką miłością jego włosy spocione i twarz:

— Cichoj, synu... cichoj, robaku... cichoj... — Nie mogła mówić więcej ze wzruszenia i skoro tylko Jasiek zasnął, okryła go troskliwie i powróciła do izby. Wyjrzała przez okno, wyszła przed dom popatrzeć na ciemną jeszcze drogę i powróciła, siadła na stołeczku przed ogniem i raz w raz dorzucała na komin suchego chrustu. Na trzonie, obstawionym garnkami, buzował się wielki ogień i rzucał złocisty blask na całą izbę, na wybielone czysto ściany, na których czerniały rzędy obrazów świętych i na suchy, czarny szkielet warsztatu tkackiego, stojącego pod oknem od wschodu i obmotanego nićmi, niby pajęczyną.

Tekla, komornica Winciorkowej, siedziała na ziemi przed kominem i skrobała kartofle mrużąc półgłosem pacierz, a łaciasty duży pies leżał na środku izby i przez sen warczał na tłustego prosiaka, który łaził po wszystkich kątach i co chwila wsadzał krótki, ryj to w garnki stojące na ziemi pod piecem, to porywał Tekli kartofle z koszyka, to pokwikiwał i drażnił się z psem.

— Cicho, gadziny, o! — wykrzykiwała raz w raz Tekla.

A poza tym cicho było zupełnie w całej chałupie. Ogień trząsał wesoło i głośno, perkotała gotująca się w garnku woda.

— Kury pieją, niechybnie będzie odmiana! — mruknęła Tekla.

Jakoż istotnie koguty piałły jeden po drugim, na całej wsi.

Winciorkowa nie odezwała się, bo szła zajrzeć do alkierza, ale że jakieś trepy zadudniły na stwardniałym błocie przed chałupą, usiadła z powrotem. Z trząskiem, w obłokach pary, wbiegła smagła, młoda dziewczyna, okryta na głowę w zapaskę; pochwaliła Boga i przygrzewała ręce przy ogniu.

— Winciorkowo, a to pożyczcie namo bochenek chleba. Jutro pieczemy, to wam odnieś. Chłopaki jadą z drzewem do tartaku, a tu już ani skibki nie ma — gadała prędko.

— Które chłopaki jadą? — zapytała Tekla.

— A kto by! Walek i Michał!

— Ociec ostają?

— A juści, chciałoby mu się!... Pedają, co muszą iść do kancelarii... ale ino tak cyganią, bo im się chce pod pierzyną wylegiwać...

Przysiadła na trzonie komina, opuściła zapaskę na plecy i pytlowała:

— Wiecie?...

— Niby?...

— Martyna pobiła się z Grzelową...

— Jezus mój kochany! Pobiły się! Martyna z Grzelową! — wykrzykiwała Tekla.

— A juści, zaraz na odwieczerzu, Martyna pedziała, co Grzelowa oddała jej krowy. A Grzelowa pedziała: samaś złodziej i świnya. A Martyna ją trząsała przęślicą bez łeb, a Grzelowa chyciła za kijankę, a Martyna ją za kudły!... Zbiły się, jak nieboskie stworzenia, jaże je chłopcy musiały rozdzierać... Pójdą do sądu i pedziały, co mnie stawiają na świadka.

— Trza ci sprawiedliwie świadczyć przed sądem — odezwała się Winciorkowa.

— Przecie, co krzywda, to krzywda. Ano Martyna ma na łbie guz, kiej bułka, a Grzelowa ma pysk rozcięty i ślipie podbite. Sprawiedliwie będę świadcowała.

— ...Przęślicą, a Grzelowa ją kijanką! — Jezus mój Słodki! Pedaj, dzieucho, jak to było?...

— Dzieciak wam ano krzyczy! — zwróciła Tekli uwagę dziewczyna.

— Będzie mu na zdrowie, niech se ta popiuka!...

Przyciszyło się po wyjściu dziewczyny i płacz dziecka rozległ się wyraźniej, płynął on z drugiej strony chałupy, ale Tekla nie zwracała na to uwagi, płukała kartofle energicznie i namiętnie wykrzykiwała prostując co chwila długą, chudą postać:

— Chleba im zapowietrzonym potrzeba! Bidaki! aże pożyczają!... Gospodarze parszywe, ścierwy... A jakby biednemu było potrza, to może zdychać pode płotem — nikt mu kapki wody nie poda! Żebyśta skapiwały wszystkie, jak te psy!... Chleb ich rozsadza, to się tłuką kijankami i przęślicami. Da wam Pan Jezus jeszcze radę, da...

— Pleciecie trzy po trzy, ot co! — szepnęła Winciorkowa.

— A juści! ja pletę! A bo to mój nie mógł teraz spać pod pierzyną, abo i jechać z drzewem, zarobić parę złotych, nie mógł to, co? Wszystkie se siedzą po chałupach, a mój to co? gdzie?

— Siedziałby i on a po co dworskie konie wydał złodziejom...

— Wydał! przecie, że wydał! Abom to mało na niego dunderowała! ale co miał zrobić biedny sierota?... Gospodarski syn, powinien był siedzieć na groncie, na półwłóczku, co najmniej... a służyć musiał. Skrzywdziły go te piekielniki! A kto go namówił do zlego? Braciszki zapowietrzzone chciały się go pozbyć, aby procesu nie wygrał... A teraz wszystkie psy szczekają: Tomek złodziej... złodziej! A ścierwy! a psy! wołała namiętnie, z wielkiej żałości aż ryknęła płaczem.

Nie mówiły już, dziecko płakało coraz ciszej.

Za oknami po grudzie dudniło kilka wozów i ludzkie głosy brzmiały na mrozie.

— Powiedają we wsi, że za wodą siedzą dwie złodziejki! Ale niech im tego Pan Jezus nie pamięta — szepnęła Łzawo Winciorkowa.

Tekla, która wyszła na chwilę, powróciła z dzieckiem, usiadła przy kominie, wsadziła mu w usta chudą, obwiśniętą pierś i rzekła:

— Po połowie jest ino sprawiedliwo... bo przecie wasz Jasiak nie krałł...

— A na trzy roki wsadziły go do kreminafu... — szepnęła cicho.

— Bo sprawiedliwości na świecie nie ma, nie było i nie będzie!

— Przyjdzie Pan Jezus, przyjdzie a uczyni wszystkim sprawiedliwo...

— Hale! czekaj tatka latka, jak kobyłkę wilcy zjedzą...

— Nie gadajcie tak... to grzech... Pana Jezusowa sprawiedliwość, to nie ludzka...

Siadły do śniadania w milczeniu, ogień przygasł niepodsypany, bo już świt rozsińił szyby i wlewał się do izby różowym brzaskiem.

A potem Winciorkowa zabrała się do roboty i wolno, automatycznie tkła na warsztacie jaskrawy wełniak.

Słońce podniosło czerwoną głowę zza lasów i pokryło oszroniałą ziemię i drzewa takimi blaskami skrzeń, że oczy bolały patrzeć.

Winciorkowa pochyliła głowę, przymrużała oczy od światła, ale nie przestawała robić; różowy blask poranku pokrył jej chudą twarz, pełną śladów cierpienia; siwe kosmyki włosów wymykały się spod czerwonej chustki, którą miała nad złotym, pomarszczonym czołem. Wpadnięte, sinawe usta poruszały się nerwowo, w takt każdego ruchu ręki, pociągającej za płochę. Czółenko, wciąż zmieniane, bo tkła różnymi kolorami, ze światem przewijało się wskroś gąszczu szarych, lnianych nici wątku. Pochylała się automatycznie, warsztat sucho klekotał, pracowała zawzięcie, czasami tylko przystawała na chwilę, opierała głowę na ramię warsztatu i nadśluchiwała odgłosów z alkierza lub medytowała gorzko.

— Miły Jezu! Panienko Przenajświętsza! Trzydzieści

roków było tak samo! tak samo! — przypominała sobie z gorzkością nieopowiedzianą i choć jej ręce zajęte były robotą, oczyma zaglądała w przeszłość dawną, tak bolesną, że dusza się jej kurczyła i oczy zachodziły mgłą łez. — Trzydzieści roków temu chłop jej z młodszym dziecicem poszedł w las!... Poszedł, bo strzelec był dobry jako i Jasiak... Zatrzęsła się na to wspomnienie wyjścia a te przypomnienia niepokojów, szukania go po lasach... trwóg nieopowiedzianych... tak żywo wstały w jej duszy, że oparła głowę o płochę i zapatrzyła się bezmyślnie przez okno; oczy jej leciały od wzgórz pokrytych lasami, po runiach osrebrzonych szronem zbóż, po zamarzniętych kałużach, po tym całym świecie różowym od słońca, jasnym i cichym... I tak dobrze pamiętała przeszłość, tak pamiętała... Drgnęła nagle, trzask jakichś wystrzałów zbudził się w jej duszy! Tak samo było to na wiosnę, tak samo roztopy we dnie, a przymrozki w nocy. W taki sam poranek przynieśli go jej prawie nieżywego... Pamięta jeszcze te pokrawione jego szmaty!... W tym samym alkierzu chowała go i broniła przed śmiercią... i obroniła... I na co! O Jezu, o Jezu mój Słodki!... łzy pociekły po jej twarzy... Pognali go w tyły świat, że go już nigdy nie widziała... I zmarł potem i pochowali go — pewnie nie na poświęconej ziemi!... Taką ból ją zaszarpał, że spłótła ręce i zapłakane oczy podniosła do świętych obrazów, i modliła się gorąco, błagalnie... ale uczucia i świadomość tak się jej splątały, że zaczęła modlić się za męża a modliła się o zdrowie dla syna... Poszła potem do komory, zajrzeć do niego.

Na tapczanie, okrytym poduszkami i pierzyną, leżał Jasiak.

Przez małą szybą padało nieco światła do wnętrza i mrocznym blaskiem pokrywało twarz chorego. A Jasiak był śmiertelnie chory. Uciezka, rana, przeziębienie, strach, wszystko to zważyło go z nóg zupełnie, że ledwie zipał. Matka nie traciła nadziei. Leczyła go jak mogła i umiała, broniła go od śmierci miłością i rozpaczą, a że przy tym to leczenie i pobyt jego trzeba było ukrywać, więc się zacięła w sobie, wzmagała w siły, ale broniła; walczyła z chorobą, ze wsią, tak zwykle ciekawą, ze strachem, wiszącym wciąż nad nimi... Wzięli już jej męża i tyle dobra, i tyle łez, że tego jedynaka kochanego nie

odda... choćby własnym życiem zapłacić przyszło... nie odda...

— Jasiek! synu! — szeptała cicho pochylając się nad nim.

Jasiek otworzył nieprzytomne oczy, coś jak uśmiech pełen słodczy przemknął się po spalonych gorączką ustach i znów zapadł w senność.

Poobtykała go pierzyną, ułożyła mu wygodniej nieprzytomną głowę i zasłoniwszy szybkę, ażeby go światło nie drażniło, powróciła do roboty.

Ale nie mogła robić, drżały jej ręce i psuło się jej wszystko, to znów brakowało kolorowej wełny w czółenkach, więc zaczęła chodzić koło gospodarstwa i obrządzać. Nie wiele tego było: sześć morgów pola, stodołka, obórka, chlewik sklecony z desek, dwie krowy, maciora z prosiętami wczesnymi, kilka gęsi, które się już nieść zaczynały, kilkanaście kur i kaczek — to całe bogactwo. Ale wszędzie panował wzorowy porządek, znać było pracę i starania ciągle.

Winciorkowa właśnie karmiła gęsi przed progiem, gdy na mostku zadudniły kroki, podniosła oczy i przez nagie drzewa rosnące przed domem zobaczyła kobietę prędko idącą ku niej.

— Winciorkowo! — wołała tamta jeszcze z daleka przez kamienny płot — Winciorkowo, a biecicie no duchem do Sułków, bo Magda leda chwila zlegnie... Już od świtu krzyczy ano, nie dadzą se rady bez was... — zawróciła i zniknęła w opłotkach wsi.

A stara, która była i trochę znająca się na chorobach, i babką, i wszystkim po trochu, wróciła śpiesznie do izby, zająrzała do Jaśka, postawiła przy nim na ławce napój jakiś, ogarnęła się i pobiegła na wieś. Nie rada temu była, bo musiała chłopaka zostawić bez żadnej opieki, ale lecieć trza było. Któż ano pomoże kobiecie? Dochory? A juści; sprzedaj krowę chociażby a i to może mało... A potem... dowie się co na wsi... czy czasem już nie mówią czego o Jaśku... przepyta się coś nieco...

Przyśpieszyła kroku i przesuwała się prędko wzdłuż kamiennych płotów, obrośniętych krzakami ligustów, których ga-

łęzie długie, niby baty zwieszały się do ziemi i miejscami leżały na ścieżce, wdeptane w skrzepłe błoto.

Wieś rozłożyła się po obu stronach drogi, pod strażą olbrzymich topoli, które stały wielką, pochyloną nieco na zachód aleją. Chałupy niskie, o słomianych i o zielonych strzechach, stały gęsto w głębi wąskich ogrodów, poprzedzielane wjazdami. Prawie wszystkie miały bramy wjazdowe na podwórza, na sposób staroświecki, tj. z daszkami, pod którymi złożyły się święte obrazki. Kamienne płoty ciągnęły się wzdłuż rowów głębokich i otaczały szarymi ramami chałupy i ogrody. Szeroka droga pełna była stężalego błota i zmarzniętych kałuż wody; pod kamieniami, w sadach, po rowach leżały jeszcze kupy szerniałego śniegu, w którym grzebały kury. Gwar pogodnego, suchego dnia rozlegał się po wsi. Gromady dzieci boso albo w trepach ślizgały się po rowach i kałużach, a gdzieś tam, przed domami, to w opłotkach, stały kobiety i rozmawiały głośno. Zza domów, to z ogrodów dochodził odgłos rąbania, obróbki drzewa. Tracze w kilku miejscach kiwały się wśród nagich drzew sadów. Wóz czasem zaturkotał, albo od pańskich zabudowań, z daleka doszedł odgłos młocarni, krowy ryczały po oborach, jakby czując zbliżającą się wiosnę, a gęsi gromadami uciekały z ogrodzeń i gęgając, ciągnęły ku polom. Dzień był przesłiczny, słońce świeciło jasno i ciepło, więc i ludzie wychylali się z chałup i grzali pod ścianami.

Winciorkowa przyspieszyła kroku, witano ją wszędzie życzliwie, ale z pewną rezerwą, bo się jej nieco obawiano, że to, jak mówiono, znająca była: czy która zległa, czy jak się komu kołtun zwil, czy nawet wedle chorego bydłęcia, albo niech się dziecko posunęło, aby kiej kto był pogrzyziony przez zepsutego psa — dochtorka była rzetelna. A mówili po cichu, że miała złe oczy, bo jak na chłopca Jędrkowego spojrzeła za te gruszki, co jej oberwał, to bez całą zimę go ciągiem łamało po kościach; że mleko umiała odmawiać, że... ale tego dość było, dość. Ale że z księdzem była w zgodzie i kościelne szmatki pierała, że do bractwa należała, a jak się komu pomarło, to już nikt lepiej nie umiał od niej czy modłów, czy śpiewania, czy wypominków przy żałobnym chlebie — więc nikt jej

nie powiedział marnego słowa. Bo przy tym i cicha kobieta była, spokojna, pracowita, pobożna. Rano przede dniem, czy na odwieczerzu, to zawdy słycać było w jej chałupie pobożne śpiewania, a co już gruntu, to i najlepszy gospodarz nie obra-
biał lepiej.

— Mądra kobieta — mawiali o niej starzy chłopci.

— Kiej mruk a patrzy na ludzi, że i dziedziczka nie lepiej potrafi.

— A bo to ciągiem na plebanii siedzi, to się tak spano-
szyła.

— Taka mądra, taka pani, a chłopak siedzi w kreminale.

— Żebyś tak widłami rządząc przejechał po ziebrach, siedziałbyś ty jeszcze głębiej.

Tak sobie nieraz naród mawiał o niej: wiedziała o tym i uśmiechała się pobłaźliwie.

— Na to kuźden ma swój rozum, a żeby po swojemu kalkulował — odpowiedziała raz Tekli, gdy jej ta donosiła, co mówią o niej.

Nic ją to zwykle nie obchodziło, ale teraz przechodząc przez wieś, gdy posłyszała, że po jej przejściu szepcą, lub gdy ją doszły jakieś głosy z chałup lub drogi, zwalniała kroku i chciwie łowiła słowa, bo się jej wciąż zdawało, że mówią o Jaśku.

Ale nic nie usłyszała i weszła do chałupy Sułków.

W izbie było pełno starszych bab a pod oknem siedział mąż — młody, tęgi chłop i strugał bijak od cepów, ale robota mu wylatywała z rąk, bo z sąsiedniego alkierza rozlegał się nieludzki krzyk kobiety rodzącej; nie mógł usiedzieć na miejscu, co chwila podchodził do drzwi alkierza i chciał wejść do środka, ale że mu Winciorkowa nie dała, łaził z kąta w kąt izby, a że chłop był czujny wielce, więc ino kapotą raz po raz obcierał zroszone czoło i oczy. A baby, rozsiadłe przy kominie, gdzie się już gotował krupnik, pokpiwały z jego cierpienia i niepokaju.

— Nie bój się, Walek, Magdzie nic nie będzie. To ino pierwszy dzieciak, to jakby nowy garnek zbił a potem się wezwyczał.

— Ja ano dziesięciuro miałam i jakby orzech zgryzł

— Walek, trza ci ją było wyręczyć, kiejś taki miętki. Trza ci było nie zaczynać, to nie byłoby teraz krzyku.

— Hale! Wierzcie mu! Chłopskie litowanie, to tyła, co by pies napłakał.

— Cichoja. Tamta wydziera się do ostatka, a wy ino zęby szczerzycie.

— Do ciebie ano, kobiety teraz jakbyś nie miał, to cię która pod swoją pierzynę puści.

— Dosyć się on nawysypiał pod dziewuszynymi pierzynami, dosyć!

Naraz umilkli wszyscy, bo w alkierzu ucichło raptownie. Walek tam wbiegł, ale po chwili drzwi się otwarły na rozcież i pokazała się w nich Winciorkowa, z czymś okręconym w szmaty.

— Podziękuj Panu Jezusowi, chłopaka masz, Walek.

A Walek był nieprzytomny z radości; wziął dziecko na ręce i pod oknem przyglądał mu się ze zdumieniem.

— Laboga, jaka to pokraka, a to, kiej kociątko, abo co! — wołał i nie mógł się napatrzeć na tego człowieczka, który ledwie pisał, niby świeżo wyklute z jaja ptaszę.

— Musimy zaraz przepić — wołał oddając Winciorkowej dziecko.

— Poczekajta, dziecko jest pierwszą osobą, trzeba ją uhonorować! — Wzięła kieliszek z wódką i w trzech miejscach izby odlała z niego po parę kropli, wymawiając uroczysto:

— La pana Jezusa, la ciebie, la ojców twoich! — Przynęła kieliszek do skurczonych ssawek dziecka, ale że się wnet zachłysnęło nieco i rozkrzyczało, odniosła go matce z resztką wódki.

A Walek wciąż latał do alkierza, całował żonę, przyglądał się chłopakowi i powracał do kum, aby z nimi przepijać dla uciechy. Przynieśli wnetki miodu, a że to był post wielki, to ino przegryzali chlebem, a serem, a starymi gomółkami. Dla chorej tylko, że to ksiądz dał dispensę, gotowali kure.

Raz w raz ktoś nowy przyszedł, że izba zapełniła się ludźmi i gwarem, aż Winciorkowa musiała przyciszać, bo chora usnęła.

Dobrze już było wszystkim i serdecznie i po bratersku, gdy wszedł sołtys.

— To bez urzędnika, jucho, dziecko chrzczisz, co? — zawołał od progu.

— Napijcie się zaraz do mnie, to zgonimy!

— Ho, ho! sołtys jest ścisły we wszystkim, przegoni i w kieliszkach.

— Ciel mówili, że Maćkowej chłop wybił wszystkie zęby, a una ma jeden...

— Ino me nie ruchaj! Widzisz go! — wrzasnęła spostonowana.

— Kto by was tam ruchał, cheba kijaszkiem a i to trza zdrowego.

Ale że Maćkowa miała już w głowie, dalejże do niego z pięściami:

— Widzisz tego! Będzie tu wydziwiał na gospodynię, obieżyświat jeden, żydowski parobek, że w kieliszki zadzwonili, to go już, juchę, macie...

— Urzędnik jezdem! Miarkuj się, kobieto! — zawołał z powagą prostując się dumnie.

Ale to nie zaimponowało Maćkowej: powiedziała bardzo brzydkie słowo, co to ano sobie robi z takich urzędników, przepiła raz jeszcze do Winciorkowej, wzięła kawałek sera dla wnuczek i poszła.

Sołtys tylko splunął za nią i z wielką gorącością wziął się do wódki.

— Chłopaka masz, Walek, dobrze... Urzędnik jezdem, wiedzieć o tym powinienem... Beze mnie to by jego wcale nie było...

— A kiedy on już jest! — zauważyła jedna kobieta.

— Staracie, Marcinowo, a Pan Jezus nie zdążył wam jeszcze dać rozumu. Jest pedacie — a gdzie? W kołysce, to jakby go wcale nie było, to tego chudziaczka całkiem nie ma, bo ino się tak nazywa, że jest. Urzędnik wam to mówi, miarkujcie ino... a zaraz wam to wyłożę: Czy ten dąbek w boru? Kto jego rodził, w jakiej tabeli on jest, pod jakim numerem zapisany, w jakiej książce stoi, wiele ma grontu, kiej był, czy kiedy ma stawać do wojska, jakiej religii, z krześcijanów on? co?

— No jakże, w głowie się wam pomieszało, sołtysie, co to ma do dziecka.

— A ma, bo chłopak Walków teraz, to jak ten dąbek, co go se człowiek ino pomyśli, a jego ni ma, ale kiej go urzędnik zapisze w książki, kiej on będzie stojał w tabeli, kiej się go opisze, kiej się mentryki zrobi, kiej go wciągną w wykaz i pošlą do urzędu, to dopiero wtenczas chłopak będzie rzetelnie. Urzędnik to wam mówi, miarkujta.

Gadał jeszcze długo, ale nie słuchano go, bo ktoś zaczął mówić o tych, którzy tydzień temu poszli do Brazylii.

— Gadają, co na samą zwiesnę całe wsie pójdą...

— A wczoraj poszedł Jasiek Adamów.

— A z Woli trzech gospodarzy sprzedało grunt i pójdą.

— Na zatracenie ano idą, pomarnuje się ino naród i tyła.

— A nieprawda, grontu tam dają, co kto weźmie i na zagospodarowanie też pieniędzy.

— Hale, ksiądz na ambonie inaczej mówili.

— Ksiądz se gada, co mu potrza a jak ci urzędnik rzekł, to wier! — zawołał wyniośle, przysiadł na skrzyni, rozpiął kożuch, że to mu już po krupniku ciepło się zrobiło i dalejże pleść duby smalone o Brazylii, dalejże przedstawiać ją tak, że narodowi aż oczy wyłaziły z ukontentowania, aż ślina ciekła do tego dobra.

— Judaśz, chce on tu kogo sprzedać — mruknęła Winciorkowa, ale że nikt jej nie słuchał, a przy tym pilno było do syna, wysunęła się cichaczem z izby.

Zmierzch już gęsty był na świecie.

— Niech będzie pochwalony — powiedział ktoś w ciemności.

— A Nastka! Nastusia. Na wieki — odparła z pewnym zakłopotaniem.

Szły w milczeniu obok siebie nie wiedząc, co mówić.

— Cóż tam u ciebie słyhać? — zagadnęła Winciorkowa.

— Moiście wy, a cóż? nic.

Znów milczenie.

— Zwiesny ino patrzeć. Pono na łęgach za klasztorem już chodziły bocki.

— Prawda, samam widziała i aż mi dziw, co tak rychło...

Stara nie miała do niej zawziętości, ale zawsze to przecież przez nią Jasiek uderzył widłami rządzą... nie miała zawziętości, tylko głęboki żal, a Nastka to dobrze czuła, więc i mówić nie śmiała, szła ze spuszczoną głową i raz w raz przysuwała się, aby starej zajrzeć bliżej w oczy. Umyslnie przyleciała ze dworu i czekała na nią przed chałupą Sułków, bo ją trapiły złe sny, chciała się dowiedzieć co o Jaśku, a teraz ust otworzyć nie mogła, cosik ją ścisnęło za grdykę.

— Dziedzice wrócili? — zagadnęła znów stara.

— Wczoraj, ale pono niedługo pojedą za granicę.

— Im ta jeno jeżdżenie w głowie a zabawa...

— Nie mają na to?

— Prawda, prawda...

Nastka wzięła na odwagę, bo cichym, przełzawionym głosem zapytała:

— Nic nie wiecie?

— A bo co? — burknęła stara ostro, bo ją strach nagły przejął.

— Bo to widzicie, bez trzy noce nie spałam, ażeby mi się ciągiem nie śnił...

— Nie turbuj się o niego. Przez ciebie on marnieje, przez ciebie! No, cicho... nie mówię przez złość. Juści że wiem, coś tego nie chciała, nie płacz — uspokajała ją posłyszawszy w ciemności cichy płacz dziewczyny.

— A przyjdź kiedy do mnie... — rzuciła jej przed rozstaniem.

Nastka popatrzyła na chałupę i płacząc cicho zginęła na drodze ciągnącej do dworu.

Stara czuła się poruszona, w izbie nie było Tekli, tylko z drugiej strony dochodził ją monotony głos, jakim usypiała dziecko. Jasiek spał wciąż. Nie obudził się nawet, gdy go jeszcze przyodziewała kożuchem, bo w alkierzu zimno było.

— Winciorowo! — rozległ się głos w pierwszej izbie.

Ze strachem wypadła z alkierza.

— A to zabaczyłam powiedzieć, że pani kazała, abyście jutro przyszli, bo będą porządki robili w pokojach — mówiła Nastka.

— Dobrze, przyjdę, dobrze! — szeptała z trwogą i tak patrzyła srogo na dziewczynę, że ta, chociaż miała ochotę posiedzieć, pochwaliła Boga i odeszła.

Ale Jasiek się obudził.

— Kto tu był, matko?

— I... dziewucha Marcinowej...

— A juści, to była Nastka, Nastka! — powiedział mocno.

— Nie bajałbyś, co by tu Nastka robiła...

— Cyganicie, dobrze poznałem po głosie.

— Napij się ano tego likarstwa, to ci będzie lepiej.

Wypił i nawet poczuł pewną ulgę w piersiach. Stara przewinęła mu świeżą szmatką ranę i wysmarowała całe plecy jakąś maścią. Usiłował mówić.

— Cicho, synku, bo jeszcze kto usłyszy.

— A na wiare z nim mieszka?

— Kto? co ci się we głowie troi!

— Nastka z rządzą... Mówił mi jeden w kreminalu, mówił...

— Ludzie to zawdy, aby ino ocyganić...

— Już ja mu tam przeszkadzać nie będę... nie, ani tej suce słowa marnego nie powiem... nie... — szeptał z trudem, ale w oczach błysnęło mu co innego, straszna zawziętość i nienawiść.

— Leż cicho, leż... wykuruj się ino... Moje dzieciątko, mój synku najmilszy, jak będziesz zdrowy, to coś się zaradzi, a teraz nie bierz żadnej turbacji do głowy... Pacierz se mów do Przemienienia Pańskiego.

Do okna od drogi ktoś zaczął mocno stukać.

— A słowo ciałem się stało! — zawołała wybiegając z alkierza.

— Winciorowo! Przyjdźcie jutro do kancelarii, przyszedł jakiś papier o Jaśku! — krzyczał przez szyby stójka gminny.

Pomimo, że drzwi były przywarte do alkierza, Jasiek usłyszał — a gdy stara powróciła do niego, stał w koszuli i śpiesznie, gorączkowo, nieprzytomnie odziewał się.

— Nie pójdę do kreminatu, zabijcie, matulu, a nie pójdę... — wołał w gorączce.

— Jasiek! Jasiek! — ryknęła z rozpaczą i rzuciła się na niego jak wilczyca, bronił się, ale prędko uległ jej sile. Ułożyła go na łóżku i długo musiała przy nim siedzieć, bo się zrywał, krzyczał, chciał uciekać... zdawało mu się, że go gonia.

— Nie dajcie mnie, matulu! nie dajcie mnie... — i cisnął się do matki, obejmował ją za szyję a łzy palące ciekły mu strumieniem po twarzy, drżał cały... majaczył nieprzytomnie, aż dała mu jakiegoś leku, że wpadł w kamienny sen.

IV

Jak jej ta długa noc zeszła? Nic nie wiedziała prócz tego, że ją łamała nieopowiedziana męka. Świt już rozbielił mieszkanie a ona wciąż siedziała skulona przed dawno wygasłym kominem. Co pewien czas podnosiła się automatycznie, patrzyła przez okno i szła zająrzeć do chłopaka śpiącego i znów siadała. Łzy błyskały w jej siwych, przekrwawionych oczach, ale nie miały sił płynąć, więc zastygały na rzęsach i powłoczyły żrenice, jakby szkłem matowym.

— Jezus mój! Jezus! — szeptała chwilami.

Nie opowiedzieć, co przeżyła w tę noc długą, ile trwóżyło w jej duszy, ile bólów szarpało jej sercem, ile burz, buntów i rozpaczy trzęsło nią, jaki krzyk niemocy ją rozrywał! — nie opowiedzieć!

Czuła, że jest bez ratunku zgubiona.

Wzywali ją do kancelarii! Mieli jakiś papier o Jašku!

— Jezus! Jezus! — jęczała. — Już wiedzą, że uciekł... szukają go... i wezmą!... nie... nie... — wyła w niej matka. — Nie dam... to mój, to syn... to krew moja... to moje łzy... nie dam...

I znów spadała w głąb trwóży, słabości, rozpaczy, w stromą głąb niemocy i znów łzy szklily jej oczy krwawe...

Jak go wezmą, to już go nigdy nie zobaczy, nigdy...
O mój Jezus, o mój Jezus, czy to sprawiedliwie! czy to sprawiedliwie!

Jęczała bezsilnie, coraz mniej panując nad sobą.

I za co go ukarali? Że zgnął rządząc widłami! a za co zgnął? Prawy był... bo mu rządcą Nastkę ciągał do stodoly. Bronił ino siebie... I za to na caluście trzy lata! A to tyła chłopcy sobie łbów naskubią, tyła sobie kulasów naprzetrącają i nic, nie do kreminatu... A Jaśka wsadziły. Gdzie jest sprawiedliwość! A tamtemu nic?... Żyje se jak pan, i broj jak broił, bo co która dziewucha chodzi na pańskie, to juści, że potem przynosi małe w zapasce... Obraza Boska, a kary na to nijakiej... I kto mu mocny co zrobić?... Kogo się on boi?... Chciał, to i wsadził Jaśka... wsadził... ażebyście... ażebyście!... I taka straszna, nieubłagana, dzika nienawiść zawyla w jej duszy, że rozprężyła chude palce i darła zapamiętałe grubą zapaskę.

Wyrwała ją dopiero z tego zapamiętania Tekla.

Jasiek wciąż leżał nieprzytomny.

Nie wiedziała już, co robić. Po doktora było daleko a potem, zobaczyłby i powiedział... ludzie by zobaczyli a zaraz gadki, a pytania... Nie, nie...

— A jeśli zamrze? — Długo ważyła w sobie to pytanie, które kamieniem spadło na jej biedne, zropaczone serce.

— A niech zamrze, to i ze mną zaraz będzie koniec a nie pomogę go wydać, nie... A niechta zamrze!... — myślała ponuro.

Był już duży dzień, gdy się nieco przyoblekła lepiej, wzięła w chustkę mendel jajek i poszła do gminy.

Słońce świeciło wesoło i jakby z radością tarzało się po polach i kałużach drogi, którą szła do kancelarii. Po rowach, pomiędzy kamieniami stokrotki z łubością rozchyłały różowe rzęsy do słońca; skowronek się gdzieś wyrwał z zimnych jeszcze pól i jak dzwonek świergotał pod czystym błękitem nieba. Ostre a rzeźwe powietrze owiewało jej twarz zgorączkowaną.

Kancelaria była niezbyt daleko, bo tuż przy kościele, w olbrzymim zrujnowanym gmachu poklasztornym, stojącym na wzgórzu, pod którym ciągnęła się wieś długą linią ku lasom, stojącym dokoła.

W kancelarii nie było jeszcze pisarza, spał.

Stójka tylko kręcił się po kancelarii, zamiatał a potem poszedł obrządzać świnie, których natarczywy kwik dochodził z głębi długich korytarzy, porozgradzanych drewnianymi ścianami.

Winciorkowa siedła przed kancelarią na olbrzymich kapitelach, które pozlatywały z frontonu klasztoru, służąc teraz za stolki i czekała cierpliwie.

Wkrótce nadszedł i wójt, przywitała go i zaraz zaczęła:

— A to wedle tego papieru, co to jest o moim Jaśku, przyszedł.

— Jest ci ta coś niecoś, ale zaczekajcie, jaże pan pisarz wstanie.

— Nie wiecie, co w nim stoi?... — pytała.

— Mówił na dworze nie będę a potem pisarz jest od tego, co by czytał, zaraz mu każę, to wam powie.

Ratował swoją powagę, bo nic nie wiedział o żadnym papierze.

— Wójt, zanieście ze mną cebrzyk, bo sam nie uradzę a świnie chcą chlać — proponował stójka.

— Widzisz go! A nieś sobie sam! — oburzył się wójt, ale spojrzawszy w zasłonięte okna mieszkania pisarza, splunął i poniósł.

— Zawdy usłużyć po sąsiedzku jeden drugiemu powinien — powiedział powróciwszy usiadł na kamieniach z powagą i częstował tabaką chłopów, których kilku przyszło za interesami.

— Wójt! A to pan pisarz mówił, żebyście wóz nasmarowali i rychtowali konia — meldował stójka.

Wójt się opierał, bo widział, że chłopom gęby się już wykrzywiały ze śmiechu.

Ale wnet rozczochrana głowa ukazała się w lufciku i rozległ się głos.

— Wójt! sam tu! Naszykować wóz, jedziemy do Górek na śledztwo!

— Duchem będzie! Prawda... podwoda urzędowa rzecz, śledztwo też! prawda!...

— Wójt, a macaliście dzisiaj kury pani pisarzowej? — zakpił któryś z chłopów.

— Stuliłbyś pysk, widzisz go!

— Dziecko by też trza przewinąć...

— A bo i ten porcelonowy garnek wynieść...

— Buty wyczyścić...

— Paniomkom nosy poobcierać, abo co...

Kpili chłopci, ale wójt nie słuchał, narychtował wóz, wytoczył go przed kancelarię i poszedł po swojego konia, do pary z pisarzowym.

— Ogier, nie ogier? Sielny koń!

Zaczęli znów widząc jak wójt ciągnie za grzywę swego konia.

— Dobry koń, pocziwości koń. Dasz mu strzechę — zje; dasz żerdź, byle ino nie przeschnięta, też schrupnie jaż miło; szmaty z płota ściągnie i zeżre jak kuniczynę. Świniakowi samemu zjeść nie da w korycie, tak ano lubi na spółkę. Sielny koń.

— Koń jak koń, ale urząd jest i parada, że jaż ha!

— Patrza, jak to nogi stawia, niczym cielna krowa.

Ogon to ma jucha jak z paździerzy konopnych, cie jak zadziera... patrzy se na gospodarza.

— A łeb to ma całkiem podobny do dworskiego pachciarza.

— Moderunek kiej u ślachcica! i tu śnureczek i tam postronczek! porteczki mu ino, wójt, wdziejcie i do Warszawy na pokaz.

— A ścigły jucha musi być kiej krowa!

I pokpiwali sobie dalej z wójta i z jego konia.

Winciorkowa czekała, Z zamkniętymi oczami, z głową opartą o ścianę siedziała nieruchoma, jakby skamieniała. Nic nie słyszała z rozmów, bo wciąż dźwięczały w niej wczorajsze słowa stójki: — Jest papier o Jaśku.

Co tam może być w tym papierze? Co jej powie pisarz? Czy oni już wiedzą? Te pytania, niby błyskawice bólu i trwogi, przerywały wciąż jej mózg obolały.

Nie widziała, że słońce podnosiło się coraz wyżej i zalewało całą dolinę i wieś, i lasy stojące dokoła, złotawą po-

żoga. Mróz puszczał i po brzdach, po rowach, po kałużach błyskały wody, dymy z chałup były prosto, niby słupy białawego błękitu a we wsi, którą z tego wzniesienia widać było jak na dłoni, wypędzano bydło do wody. Nic nie widziała, nic nie słyszała, prócz tych głosów trwogi, jakie darły jej serce:

— Winciorkowa, do kancelarii! — zawołał stójka a zobaczywszy jej węzełek, dodał: — Idźcie przez kuchnię.

Poszła wolno, machinalnie w stary zrujnowany korytarz klasztorny, w którym grzebały się kury i prosięta.

A w kuchni olbrzymiej, sklepionej, oświetlonej gotyckimi oknami, na środku stała pani pisarzowa, z papierosem w zębach, który zapalała co chwila.

Winciorkowa schyliła się na przywitanie.

— Co powiecie?

— A to... wedle tego papieru... ino mendel jajków, bo jeszcze kury mało niesą... — szepnęła rozwiązując chustkę i kładąc ją przy jej nogach.

— Świeże, co?

— Parę dni mają.

— U was prośba jest? — pytała przeglądając równocześnie jajka pod słońce.

— A juści, juści... A to jakiś papier przyszedł o moim synu, tym, co to... co to siedzi... bo to pani wie... że...

— Idźcie do kancelarii... ja tam zaraz powiem mężowi.

— Bóg zapłać pani! — szepnęła i wyszła.

— Adam! powiedzieć mężowi, że u Winciorkowej jest prośba! — krzyknęła przez drzwi i powróciła, zapaliła papierosa i przeglądała dalej jajka.

Winciorkowa weszła do kancelarii, pochwaliła Boga, a że jej nikt nie odpowiedział, stanęła cicho przy drzwiach i czekała. Pisarz ubierał się dopiero, co chwila ginął w sąsiedniej izbie i powracał z jakąś częścią garderoby, którą wolno naciągał rozmawiając jednocześnie z chłopami.

Czekała z dobrą godzinę, bo chociaż pisarz się już ubrał, ale zaraz potem poszedł na śniadanie. W kancelarii pozostał tylko młody, piegowaty i rudy chłopak, który usiadł przed piecem i puszczał w ogień bardzo dyskretnie dym z papierosa.

— Panie! — odważyła się przemówić.

— Wam czego?

— A to pono przyszedł papier o moim synu, Jašku Winciorku.

— Aha, o tym złodzieju, co uciekł z więzienia!

— Mój syn nie złodziej! A tobie, ciarachu, wara gębę sobie nim wycierać! — krzyknęła wielkim głosem, bo ją ta nazwa przeszła jak nożem.

— Nie podnoś, kobieto, głosu, bo pójdziesz na osobność! — zauważył spokojnie chłopak, puszcżając wielkie kłęby dymu.

Już nie rzekła ani słowa, siedziała pod oknem na pół żywa z niecierpliwości, z tego denerwującego oczekiwania.

— Wy Anna Winciorkowa?

— Ja wielmożny panie... — powstała prędko, bo pisarz pytał.

— To wasz syn Jan Winciorek był skazany na trzy lata więzienia za pobój i usiłowanie zabicia, ha?

— Tak, juści tak, Jasiek mu jest na chrzestne imię, tak wsadziły go na trzy lata, ale to ino przez złość.

— Przysłali do mnie uwiadomienie, jako Jan Winciorek uciekł z więzienia tydzień temu.

— O Jezu! — jęknęła zataczając się na ścianę.

— I jest poszukiwany. Jeżeliby się do was pokazał, to powinniście go zatrzymać, zawiadomić sołtysa i odstawić do kancelarii.

— Moje dziecko rodzone!

— Tu o tym nie stoi. Jest tylko, że uciekł taki to i taki a kto uciekł, musi być złapany, a kto będzie złapany, pójdzie pod sąd i do więzienia. A kto jego będzie przechowywał, pomagał mu uciec, też karany będzie.

Skończył i wziął się do roboty.

A Winciorkowa, jakby gromem rażona, długo stała, nie mogąc zebrać sił do wyjścia.

— Pójdzie pod sąd i do więzienia!

— Pójdzie pod sąd

. i do więzienia

.

Jeno płkanie, jeno żalność, jeno umęczenie duszne chodzi po świecie, a ty, człowieku, cierp, a ty robaku baruj się z nimi, a ty sieroto, oganiaj się, a ty nieszczęśniku, uciekaj, choćby za bory, choćby za morze a ułapi cię za gardziel, gdziebyś się i nie schował.

O dolo! dolo! dolo!

A ludzie są, jak te wody: ani wiedzą skąd, ani wiedzą po co, ani wiedzą dokąd?

A ludzie są jak te chmurki, co je wiatr żenie to tu, to tam, po całym świecie... jak te listeczki, co je wiatr drzewom pokradł i wieje nimi na pola, na lasy i rzuca na zatracenie; jak ten dzień, co był wczoraj, a już go ani dzisiaj, ani nigdy nie ma.

I zmiłowania nie ma, i poratunku nie ma, i uciekania nie ma...

I gdzie uciekniesz przed dolą człowieku-sieroto, gdzie?

Chyba ułapiesz się, biedoto, tych gwiazdów i dufające serce oddasz Panu Jezusowemu Miłosierdziu!

O dolo! dolo! dolo!

Tak rozżalała się dusza Winciorkowej, sieroca, smutna dusza matki cierpiącej. A wiatr huczał na dworze i targał poszyciem chałupy, rozchwiewał drzewami i smagał nimi ściany, pogwizdywał w kominie i niby Zły, ciesząc się z nieszczęść ludzkich, chichotał, tańczył po drogach ciemnych, po tej nocy rozdeszczonej, smutnej, strasznej.

— O Jezu! — łkała Winciorkowa i wrzeczono wysuwało się z jej sztywniejących palców, a ze zmęczonych, wypłakanych oczów toczyły się łzy gorzkie po zapadłej, rozbolelej twarzy. Wyschnięta pierś podnosiła się w strasnym łkaniu a niemoc, straszna niemoc przygniatała jej biedne ramiona do ziemi, do poddania się, do niewoli...

Tekla sama dzisiaj oprzątnęła gospodarstwo i ugotowała kolację, zabrała dziecko z płachty, wiszącej u sufitu i poszła spać.

Ani spostrzegła tego stara, zajęta całą myślami i boleścią.

Raz w raz zaglądała do chłopaka, który leżał w gorączce a potem tylko nasłuchiwała wszystkich szmerów, wszystkich świstów, wszystkich głosów nocy... bo się jej strapionemu sercu wydawało co chwila, że już słyszy szcęk pałaszów, że już idą po niego...

Wtedy zrywała się zasłaniając drzwi do alkierza i takim strasznym, pełnym rozpaczny wzrokiem patrzyła, jakim tylko matka w obronie swego dziecka patrzeć może.

Ale nikt jeszcze nie szedł, to tylko noc szła i deptała świat wichrami.

Dobrze już przed północą zapukał ktoś delikatnie do drzwi i wsunęła się przemoczona, zziębnięta Nastka.

— Nie, siadać nie siadę, zaraz muszę wracać. Przyleciałam wam powiedzieć... Jezu, jakim się zatchnęła, że we dworze u państwa mówili... co Jasiek uciekł z więzienia...

— A ty go chcesz wydać, Judaszu! — szepnęła stara.

— Jezus Miłosierny! co wy powiadacie! Adyć zlitowania nie macie! Ja bym Jaska wydała, ja, co bym każdą kosteczkę dała za niego!...

Płacz nagły powstrzymał jej mowę, zaciągnęła chustkę na oczy i uciekła, tylko z ciemności słychać było coraz słabiej odgłos jej trepów...

— Nacierp się i ty, najedz się bolenia, jak i ja, najedz! — zawołała za nią stara i zaczęła chodzić po izbie i szukać jakiego poratunku.

Ale poratunku nie widziała. Przyjdą, zobaczą go, złapią i pójdzie pod sąd i do więzienia! I już go nigdy nie zobaczy... nigdy!...

Głowa zaczęła się jej trząść z nagłego strachu, obtarła fartuchem nos i oczy, i chodziła dalej medytując.

Żeby chociaż wychorzał, to by mu pomogła uciec, sprzedałaby choćby ano i maciorę... choćby nawet i krowę, albo i dwie... i pomogła, poszłaby z nim nawet na kraj świata, gdzieby go nikt nie znał, nie więził, nie karał.

Ale gdzie?...

I dusza przed tym pytaniem struchlała jej z trwogi.

Prawda, a gdzie uciekać?

Przecież na całym świecie są sądy, są strażniki, są więzienia!

Chwyciła się za głowę i przysiadła, tak ją przeraziło to odkrycie.

Prawda, są wszędzie... wszędzie... jak te żelaza na wilki... wszędzie...

Była przecież w Częstochowie, to i tam pokazywać musiała papiery; była na Kalwarii, za Krakowem, to i tam tak samo!

Obejrzała się dokoła bezradnie.

I jakby ujrzała wszędzie nieprzebyte mury, szeregi strażników, kancelarie, pisarzy i wyciągnięte do chwywania ręce!

— Laboga! i nigdzie, i nikaj nie może człowiek biedny uciekać od tej strasznej mocy, którą teraz dopiero zobaczyła w całej grozie, uosobioną w strażniku i w więzieniu.

Biedactwo, nie rozumiała tego słowa: prawo, i myślała, że to to samo co — sprawiedliwość!

Nie czekała odpowiedzi na to pytanie, ale natomiast wypełzy z jam zmęczonego mózgu wspomnienia lat dawnych, wspomnienia męża, wspomnienia starych nędz i krzywd starych, które sinymi, wykrzywionymi męką ustami wołały z głębin czasu: nigdzie... nigdzie...

Zaskowyczała z bólu, jak pies kopnięty, przygięła się, okręciła się koło własnej duszy i w skamienieniu zgrozy nieopowiedzianej siedziała przed oknem, zapatrzona w dręczącą ciemność duszy własnej...

I dopiero z tego gorzkiego poczucia niemocy i opuszczenia, z tego poczucia, stratowania przez los wstawał w niej zwolna bunt przeciw niesprawiedliwościom, srogi bunt duszy zrozpaczonej a silnej jeszcze.

— Jak to? Jasiek ma być złapanym, sądzonym i oddanym do więzienia, chociaż już dwa roky odsiedział niesprawiedliwie, chociaż nie winowaty?!... A tyła zbójów chodzi wolno po świecie! Oj, choćby ten Jadam Brzostek, o którym wszyscy wiedzieli, że trzyma spółkę ze złodziejami, albo ten Michałak, o tym też wiedzą, że zabił człowieka. A oni chodzą wolno! Dlaczego tak jest? To nie jest sprawiedliwie, nie. Dlaczego tak jest?

I długo snuła te nieskończone „dlaczego”, aż w końcu sen ją zmorzył, że ocknęła się dopiero o świtanie.

Ale dzień nowy nie przyniósł rozwiązania, przeciwnie, cierpienia jej wzrosły i bunt jej przeradzał się zwolna w nieświadomość do świata i wszystkich ludzi wolnych.

Jaśkowi nic nie było lepiej pomimo, że mu raz w raz stawiała bańki na plecach i bokach, i aby upuścić mu nieco krwi, przecinała te wzdęte pęcherze dobrze wyostrzonym kociakiem.

A Tekla w południe przyszedłszy na obiad z pańskiego, szepnęła:

— We dworze już wiedzą... na wsi gadają...

— I co? co?

— Hano co! Rządca powiedział do parobków, że kto Jaśka złapie i dostawi do kancelarii, to dostanie od niego dziesięć rubli i garniec gorzałki...

— A chłopcy?... — wyszeptwała starucha.

— Chłopy, jak chłopcy! Moiście wy, atoc dziesięć rubli to karwas grosza! Można by sporą maciorkę za to kupić... — dodała jakby do siebie.

Winciorkowa pilnie badała jej twarz i widząc z jakim pożądlivym zamyśleniem patrzy na jej prosiaki, zdecydowała się po prędkiej, ale i bolesnej walce na ofiarę.

— Tekla, dam wam tę maciorkę z łatą na boku...

— Ja ta nie żaden Judasz! — oburzyła się bardzo szczerze, ale oczy jej błysnęły pożądlivością.

— I... nie miałam tego w głowie, inom sobie dawno kalkulowała, żeby wam dać...

— Niby tak sobie, przez pieniądze...

— A juści, pomagaliście mi tyła i w osnowie, i w przędzeniu, to wam się rzetelnie należy.

— Prawda, ale wy rzetelnie mi ją dajecie?...

— A naprawdę. Maciorka, to możecie się dochować z niej czego...

— I to już całkiem moja świnia, co? — pytała oczarowana.

— Przecie że wasza...

— Jezus Maria! Rodzona by lepszą nie była — krzyknęła z radości i rzuciła się starą obłapiać za nogi i całować do rękach a potem poleciała do chlewa i przygnała ową ma-

ciorkę do izby swojej i tak chodziła koło niej, tak jej podtykała jeść, że chociaż dziecko ryczało w płachcie, uwieszona przy suficie, nie słyszała, olśniona szczęściem posiadania własnej maciorki.

— Jezus! jakie to śliczności! Loboga, jakie to sprawne a żarte! — wykrzykiwała co chwila.

Winciorkowa, słuchając tego entuzjazmu, uśmiechała się dosyć żałośnie, bo juści, że za Jaśka oddałaby całe życie, ale zawdy... zawdy prosiak wart był z półszosta rubla, albo i siedem, bo na wiosnę świnie płacą...

— Ha, trudno! Z czyjego woza zsiadaj i na pół morza! — myślała idąc zajrzeć do wczorajszej łożnicy.

Umyslnie przystawała, sama zaczepiała ludzi, gawędziła, aby się coś dowiedzieć, czy na wsi wiedzą, że Jasiek jest u niej. Ale chłopci nie dali się złapać, nikt się nie zdradził ani słowem jednym, ani spojrzeniem, że cokolwiek wiedzą o Jaśku. Gdy wreszcie sama powiedziała o ucieczce jego z więzienia, robili tak szczerze zdziwioną minę, jakby ta wieść, o której już wieść cała mówiła, była im naprawdę nowiną.

— Gramatyki juchy, żaden pary z gęby nie puści! — szepnęła zawiedziona.

— Szmat! szmat! szmat! — jęczał jakiś głos na drodze. — Gospodynie nie macie czego? nie potrzebujecie czego?

— zawołał do niej szmaciarz, niski, chudy Żyd, który człapał środkiem drogi obok starej bryczki, ciągniętej przez szkielek konia.

— Stańcie przed chałupą moją, ja tam zaraz przyjdę. Poszła do łożnicy, a Żyd włókł się wolno, popychał brykę, wyładowaną w łachmany, smagał konia i przed każdym domem jęczał:

— Szmat! szmat! szmat!

Kiedy niekiedy przystawał i zamieniał za garść łachmanów szpilki, nici, igły, wstążki, gliniane kuraski do gwizdania, a czasem robił i grubsze operacje, na mendel jajek, na ćwiartkę kartofli lub na starą, wypierzoną kurę.

Gromada dzieci na pół nagich gonila go z wrzaskiem i krzykiem:

— Szmaciarz. Waciarz! Dam ci gros, daj mi kuroś!

Ale Żyd nie zwracał uwagi na krzyki, tylko energicznie oganiał się batem od psów, które zajadłe docierały do jego długiej kapoty i napełniały wieś całą szczekaniem.

Krzyczał dalej, w przestankach bijąc konia, bo mu stawało co chwila, ale częściej jeszcze pchał wóz, podpierał go chudym ramieniem, aż mu zaczerwienione oczy na wierzch wyłaziły, świstał batem i wołał:

— Wio, wio! gniady! — Końce kapoty, gdy się pochylał przy popychaniu, wlokły się po błocie i tworzyły długą kolej a czasem zmęczony, przystawał, opierał się o wóz, zsuwał czapkę na tył głowy, obcierał czoło i dyszał tak ciężko, aż mu się broda ruda trzęsła i oczy napełniały łzami.

Dobrze już pod wieczór dowlókł się do domu Winciorkowej, dał koniowi siana i z batem w garści przyszedł do izby, ale był tak zmęczony, że długo siedział przed kominem nie mogąc słowa przemówić.

— Zmęczyliście się, co?

— Od rana już tak jadę... a że nic nie jadłem, to mi trochę słabo...

— Napijcie się mleka, to wam dam?

— Bóg zapłać, gospodyni, to ja zaraz przyniesę swój garnczek, to wy mnie w niego udoicie...

Udoiła mu w garnczek, przystawił do ognia, zagotował i wdrobiwszy suchą bulkę, nałożył czapkę i jadł tak łapczywie, że Winciorkowa przyniosła z alkierza trzy jajka i położyła przed nim.

— Zjedzcie i jajka, niech będą na zdrowie...

— Bóg zapłać! — wyszeptał z dziwną wdzięcznością.

Ugotował je sobie, ale zjadł jedno tylko, resztę niezłacznie schował do kieszeni, dla dzieci... A potem, jakby na podziękowanie za jej dobre serce, powiedział cicho:

— Mnie mówiły strażniki o waszym chłopaku, jego szukają!...

Winciorkowej ręce opadły od roboty, bezwiednie spojrzała na drzwi alkierza.

— Jego szukają! One mówiły, że przed tygodniem, to on był w nocy w karczmie Przyłęckiej, rozbił nos strażnikowi i uciekł!...

— Jezus, Maria! — krzyknęła, bo tego szczegółu nie wiedziała.

— Wy jego nie trzymajcie, jak on przyjdzie, bo jego złapią i no!... Ja to wiem, jak mój młodszy brat uciekł z wojska, to myśmy go chowali przez dwie niedziele a potem to jego w nocy wzięli i my go już nie zobaczyli; aj, aj! co to była za godzina!...

Zachlusnął się aż ze wzruszenia.

— Żeby on był pojechał sobie do Ameryki, to by jego nie wzięli...

— Gdzie to? — zapytała prędko.

— Do Ameryki, to jest daleko, to jest za morzem, to jest może za dwa morzem... Tam dużo jest i Żydki, i Polaki, i Niemcy... Tam jest dobrze, tam żadnych strażników nie ma... Ja wiem, od nas z miasta jest tam felczera syn i on ojcu co rok przysyła pieniędzy...

— A czemu Mosiek tam nie wysłał brata? — spytała podejrzliwie.

— Czemu? Nie było pieniędzy. Żebym ja miał tyle pieniędzy, co kosztuje droga dla mnie, dla mojej żony, dla moich dzieci, to ja bym i tu miał się dobrze.

— A siła pieniędzy potra? — zapytała spokojnie udając obojętność.

— Ja dobrze nie wiem... ale mnie mówił jeden Żydek, co całe sto rubli sama droga! To wielki majuntek, wielki geld!...

Zamilkli.

Żyd opasał się czerwoną chustką, za którą zatknął koniec kapoty, pozbierał pudełka, nadział czapkę i wychodząc, szepnął ciszej:

— Ja wam po przyjacielsku radzę... niech on zaraz ucieka do Ameryki... no, ostajcie z Bogiem.

— Jedźcie z Bogiem, Mošku.

— Wiecie, ten Herszlik, co un trochę szwarcuje ludzi za granicę... wy z nim pomówcie, un teraz jest w domu...

— Do Jameryki, za morza! Laboga! — myślała zostawszy sama. — To pewnie tam, gdzie teraz naród ten wychodzi!

Parę dni chodziła z tą myślą, obracała ją na wszystkie strony, przeżuwała i nie mogła się zdecydować puścić chłopaka w taki świat.

— Pojadę z nim! a co ja bym tu miała ostawać! Prawda! — Olsniła ją ta myśl i zaraz w niej się zbudziła ta niezmożona, chłopska ciekawość świata. Ale spoglądała przez okno na świat i ostygła, strach ją przenikał. — Odjechać chałupy, ziemi, kościoła?... Wszystko ostawić i już tego nigdy nie widzieć... Jezus, adybym zamarła chyba z tęskności! Nie kuś ty mnie, diable, nie kuś! — szeptała, ale mimo to robiło się jej w duszy coraz jaśniej. To pewność ocalenia Jaska tak ją rozwidniała.

— Do Jameryki! Prawda, że to i loni szły tam ludzie i latoś idą... Juści, juści, jaże ksiądz na kazaniu mówił, żeby nie szły, bo idą na zatracenie.

— E, księżę gadanie a złodziejskie przysięganie... to jest ta para... o...

Ale rychło zapomniała o wszystkim, bo Jaskowi coraz było gorzej. Rana nie chciała się goić i to rżenie w płucach nie ustawało. Robiła, co mogła i co umiała, ale wszystko nie pomagało. I okadzała go i odczyniała, i wszystko jedno, co nie. Rozpacz ją ogarniała coraz boleśniejsza, bo Jasiak, w chwilach przytomności, coraz rzadszych, szeptał:

— Zamrę, matulu, zamrę!

— Wyzdrowiejesz, synku, wyzdrowiejesz, nie bój się. Pan Jezus i ta Matka Częstochowska ci pomogą i wyzdrowiejesz.

— Zamrę, matulu, ja to już czuję, matulu... już się ino ostatni dech tłucze po mnie, matulu... Przyjdziec kostucha, przyjdziec... — skarżył się słabym głosem i lzy strumieniem płynęły mu po twarzy...

— Sprowadźcie mi księdza, matulu... Człowiek jest grzeszny, to niech ta ksiądz wstawi się za mną przed Pana Jezusowym sądem...

Matka, chociaż jej serce wyło i pękało z bólu, uspokojała go zapewnieniami wyzdrowienia.

Nie wierzył już i nie chciał, bo czuł w sobie znużenie zamierania.

— Co mi tam już żyć... jakby me wziemy, to bym wnetki poszedł do kreminafu... Matulu, ja już nie mogę, nie ścierpię tam, nie ścierpię... bo jak mę zamkną, to się powieszę, albo co złego sobie zrobię...

— O mój jedynaku, o moja sieroto biedna, o mój parobku kochany, ty nie odeńdziesz od matuli, nie ostawisz mnie biednej sieroty, nie ostawisz!... — jęczała, obejmując go sobą i płacząc krwawymi łzami rozpaczy...

— Kiej mi jest źle, matulu... kiej mi tak źle... tak źle... — skarżył się cicho, zapadając w półsen, pełen widzeń i majaczeń...

Przesiedziała przy nim noc całą z trwogą najwyższą, bo się jej wydawało co chwila, że już umiera, więc go chwyciła w ramiona, przyciskała do serca, ogrzewała własnym ciałem jego stygnące członki, szalała z rozpaczy, aż nad ranem padła na ziemię, rozkrzyżowała ręce i głosem, pełnym krzyków, skarg, żalów i prośb, pełnych krwi serdecznej, żebrała zmiłowania u Matki Najświętszej...

Na dworze była jeszcze noc ciemna, noc pełna deszczów brzęczących nieustannie po szybach, pełna zielonawych ciemności, które zalewały izbę smutkiem beznadziejnym i opuszczeniem, gdy Jasiek podniósł się na pościeli i wielkim głosem zawołał:

— Księżdz! Księżdz!... — i upadł bezwładnie na poduszkę...

Winciorkowa ledwie się dnia doczekała, zostawiła Teklę przy chorym, wzięła z grzędę kurę pod chustkę i pobięła na plebanię.

VI

Kościół był poklasztorny, ogromny i wspianiały, cały wewnątrz pokryty freskami, dziwnie tylko cichy i pusty. Pleśń czuć było wśród murów.

Ksiądz odprawiał cichą mszę przed bocznym ołtarzem.

dziad kościelny służył mu do mszy.

Wielkie drzwi były otwarte na rozcież, wpływało nimi słońce, a czasem wpadały ze świergotem wróble i wieszały się na gzymsach lub ołtarzach.

Winciorkowa klęczała przed ołtarzem i zamodliła się głęboko.

Cicho było zupełnie; czasem tylko dzwonek zadzwieczał, czasem głos ministranta się rozległ, a czasem potężny, basowy głos księdza zabrzmiał jak krzyk i znów była cisza i ledwie dosłyszalne szemranie modlitw, i szelest przewracanych kartek mszału, i dalekie, dalekie, głuche echa wsi drgały pod nawami.

Pod koniec mszy tylko ciężkie westchnienia Winciorkowej coraz częściej rwały tę ciszę głęboką i jak jęk huczały po kościele. A ona się modliła gorąco, kładła w tę modlitwę wszystko: wiarę całą, siły, nadzieję, życie całe; łzami oblewała zimną posadzkę, czółgała się do stóp krzyża, żebrała litości i zmiłowania.

Podczas ostatniego dzwonięcia na Baranek Boży kura, leżąca obok niej dotychczas spokojnie, rzuciła się gwałtownie i pomimo nóg związanych, tłukła się po posadzce i uciekała.

Złapała ją zaraz Winciorkowa i po skończeniu mszy poszła do zakrystii.

— Cześć! zaraz — burknął ostro ksiądz.

Stała wpatrzona z pokorą w księdza, wolno rozbiegającego się z szat kościelnych.

— Chodźcie za mną!

Przez puste, odrapane, porujnowane korytarze wiódł ją do swego mieszkania; głuchy odgłos kroków po zzieleniałej, starej posadzce biegł za nim echem.

Chmary gołębi uciekały przez powybijane okna, do których zagładały zielone gałęzie świerków.

Ksiądz pogwizdywał na ptaki, a Winciorkowa z nabożną tkliwością spoglądała na przegniłe, pozacierane oblicza świętych zakonników, malowane po ścianach, na resztki malowideł, widne między żebrami sklepień i rozmyślała, co mu powie:

— Można powiedzieć... przecież ksiądz... powiem, jak na spowiedzi, to nie wyda... — I tak chciała już wypowie-

dzieć swoje udęczenia, że pochyliła się, aby go ująć za łokieć i pocałować, ale ksiądz nie zauważył jej ruchu, szedł pędkiem i pogwiżdzywał, a za nim zaczęły podfruwyc gołębie i siadać mu na głowie i na ramionach.

— Loboga! A tam Jasiek zamiera! — rozjęczała się jej dusza.

— Co wam potrzeba? tylko pędkiem — zawołał otwierając drzwi do mieszkania. Była to dawna cela przeora, tak cała pokryta malowidłami, że wyglądała jak kaplica.

Ksiądz siadł do śniadania i słuchał.

Winciorkowa opowiadała beładnie, przerywała, aby księdza objąć za nogi, to żeby go w łokieć pocałować, to żeby tchu złapać i nie stracić wątku opowiadania...

— ...Jak na spowiedzi mówię... święta prawda... ciągał ją ano do stodoły... na rozpustę... a przecież była z nim już po zmówinach... chłopak pedział: puść... a tamten go jeszcze lachą bez łeb... to i chwycił za widły... same już wlażyły... co miał robić...

Płacz nią zatrząsł, aż się o drzwi oparła a potem mówiła twardo, ze srogością: — Kobietą jestem, a zrobiłabym to samo... trzy roky więzienia... to ino przez złość... bo nie winien... postawił świadków, że go chłopak chciał zabić... jego była prawda na wierzchu... taki ciarach... taki pisarek... taki zbój i rozpustnik... to ino ciągła obraza Boska... a chłopak je w kreminala!... Jezus!... Jezus!... taki wstyd... taki wstyd... a przecie jego ociec nie był byle kto... znali go, że uczciwy człowiek, a dziaduś byli jaże we Francji... a teraz chłopak za zbója, za złodzieja uważany...

— Czego chcecie? — zapytał miękko.

— Jest u mnie, taki chory... umiera prawie... Nikto nie wie, że jest u mnie, ochraniam jak mogę. Ojciec duchowny, jak na spowiedzi mówię...

— Dobrze, dobrze. Nie bójcie się... — zamyslił się chwilę. — Zaraz tam przyjdę, idźcie naprzód, nikt nie będzie wiedział o tym... No, marsz, a zabierzcie sobie tę kurę... głupia...

Winciorkowa w dyrdy pobiegła do domu i zanim jako tako wyporządkowała izbę, przyszedł ksiądz.

Wpuściła go do alkierza, a sama z godzinę klęczała przed obrazami w pierwszej izbie, zanim wyszedł od chorego.

Był bardzo wzruszony.

— Nie bójcie się, chłopak wyzdrowieje... trzeba mu tylko lekarstw...

— Ale skąd i jakich? a może ojciec duchowny napisalby do japteki.

— A no, dobrze, zaraz pojedę do miasta; przyjdźcie w południe do mnie, to już będą.

Winciorkowa aż dygotała z rozrzewnienia i wdzięczności, chciała ucałować jego nogi, ale ją odepchnął:

— Nie bądź głupia! Jezusa ano ułap za święte nóżki i podziękuj!

— Jakbym zwiosnę miała w syrcu! — szeptała do Tekli, po wyjściu księdza.

I po tylu dniach dręczących ciemności zaczęła w chałupie świecić nadzieja.

VII

Wiosna już przyszła.

Przez cały kwiecień padały ciepłe, obfite deszcze, ale pewnego dnia, pewnego niedzielnego majowego poranku wyjrzało słońce i świat cały stanął w zieleni, w kwiatkach, w śpiewie ptaszek, w radosnym, wiosennym rozmajeniu.

Jeszcze czarne role szklily się wodą, jeszcze po brzdach, wskróś zielonych runi i młodych zbóż błyszczały smugi wody, jeszcze drogi pełne były błota, jeszcze czasem chłodnawy wiatr pociągnął od lasów, a resztki brudnych chmur przewalały się po niebie — a już nad polami, nad lasami, w sercach ludzi i zwierząt, w szumie wiatrów, w szmerze strumieni, w młodej zieleni drzew śpiewała wiosna radosny, triumfujący hymn!

Przyłek podobny był do olbrzymiego klombu kwiatów.

Powietrze, przesycone zapachami kwiatów drzew owocowych, drażniło i upajało piesszczotliwym powiewem.

Jaskółki szalały pod czystym, bladawym błękitem nieba, przewijały się jak kule wskrós drzew okwieconych, wpa-
dały do pustych stodoł, zaglądały do okien mieszkań i wybierały miejsca na gniazda.

Trawy się bujnie puszyły aksamitnym kobiercem, zboża już się przeganiały z wiatrem jak fale, już szły ku kłosom, pięły się wyżej, do słońca. Bociany klekotały po pustych jeszcze gniazdach, brodziły po niskich łąkach wśród rozkwitłych kaczeńców, co jak drogie kamienie paliły się ostrymi barwami wśród traw. Po rowach, nad drogami, na miedzach i ugorach pełno było stokrotek i wczesnych ślazów i trzepotów ptasich. Radość odradzania, szczęścia, kwitnięcia buchała z ziemi, z drzew, ze słońca, z piersi ludzkich.

W Przylęku wiśnie już okwitły, ale kwitły natomiast bardzo obficie wczesne jabłonie, których były pełne ogrody. Szare, niskie domy ginęły pod girlandami i chmurami kwieciami, nad którymi brzęczały pszczelne roje.

Wieś pełna była cichości świątecznego odpoczynku.

Przed chałupami, wśród opłotków, na podwórzach, przy studniach myli się z powagą a dokumentnie chłopi, wiatr ich obsuszał ciepły lub obcierały obwisłe gałęzie kwiatów różowych. A w głębiach domów, po komorach, oborach, stajniach huczał rój ludzki radośnie.

Czasem pieśń jaka wyleciała jak ptak z okienka i utonęła w kwiatkach jabłoni; czasem wołanie jakie huknęło i leciało ku pastwiskom, pełnym śmiechów dzieci i porykiwań latujących się krów. A wszędzie radość brzmiała a wesele.

A gdy w cichym powietrzu zadygotał srebrny głos kościelnej sygnaturki, wychodziły z domów i ciągnęły sznurami na nabożeństwo; to starsi gospodarze w granatowych kapotach, przewiązani czerwonymi pasami, to gospodynie całe w czerwieni wełniaków i zapasek, to parobcy w spencerkach paśiastych, to dziewczyny w białych chustach na głowie, z książkami w rękę do nabożeństwa i z trzewikami w drugim, to dzieci...

Od lasów, bokiem drogi wchodziło do wsi dwoje ludzi.

Na kulach kusztykał stary, tłusty i ślepy dziad, przywiązany sznurkiem do baby, idącej przed nim.

— Śpiesz się, bo się opóźnim! — mruzczała pociągając go lekko.

— Głupiaś, jeszcze czas, do płotów nie będę się ano po próżnicy wydierał a i przed sumą nikt nie da grosika.

Pociągnął nosem i szepnął:

— Musi być, co kwitną jabłonki!

— Przecie, cała wieś jak umalowana.

— Czerwono?

— Hale! jabłonki! to juści, że nie modro.

— Kartofle wschodzą, co?

— Głupi! a kiedy to miały wejść, w te pluchy!

— Ludzie muszą być na drodze, bo coś niecoś miarkują.

— Wałą do kościoła.

Skoro minęli pierwsze chałupy, dziad przygarbił się bardziej, pochylił nagi łeb na piersi i żalonym, jękliwym głosem zaśpiewał litanię, baba dośpiewywała schryple i tak szli, nie wstępując nigdzie, ku kościołowi.

— Głośniej, kobieto! głośniej! Ludzie pobożne lubią, co by całym gardłem chwalić Pana Boga, a nie przez zęby.

— Wstąpimy to gdzie?

— Ni... po co? żeby ci dały skibkę chleba. Jeszcze prosiak ma co żreć!

Pozdrawiali ich ludzie przechodzący, bo znani byli wsi całej, a dziad przystawał, częstował tabaką, wypytywał, pogadywał to i owo i kusztykał dalej.

— Do Winciorkowej trza wstąpić.

— Acha, to do tej chałupy za wodą, a może po kościele!

— Prowadź! — i kijaszkiem szturgnął ją w bok.

Winciorkowa właśnie szykowała się do kościoła, ale ujrzawszy skręcających do niej dziadów, otworzyła drzwi na rozcież.

Dziad usiadł odsapnąć, bo się srodze już zmęczył..

— Kulasów ano nie czuję!

— Z daleka idziecie?

— I... milkę z czymś, z Górek... dla młodego to tyle, co nic, ale na mnie starego już za dużo. Winciorkowa, a chodźcie no bliżej...

Stara przysunęła się, niespokojnie patrząc na niego.

— Mają już oko na waszą chałupę — szepnął jej do ucha. — Spotkałem starszego, a ten mi rzekł: Wiemy, że Jasiak jest w domu, że się jeszcze lekuje, ale niech się jeno wy-lekuje, to my go znajdziemy! Tak słyszałem i umyślnie skre-ciłem bez Przyłek, co by wam po chrześcijańsku powiedzieć. Gadałem mu, że to nieprawda, jażem z nim trzy razy pił wódkę...

— A Bóg wam zapłać! — szepnęła strwożona głębo-ko i dalejże pchać w dziadowską torbę to jajek parę, to sło-niny, to kaszy jaglanej, a wreszcie wyciągnęła ze szmatki zło-tówkę i wetknęła mu ją w rękę. Wzbraniał się wziąć.

— Ja ta nie hadwokat, nie za zapłatę dobrych ludzi bronię, a za dobre słowo. Sieroty wyście biedne, ale kiedy ku-niecznie dajecie, to zmówię do Przemienienia Pańskiego pacierz rzetelny... Hale! pacierz juścić pomóc może, ale trza też i pacierzowi pomagać!

— Powiedźcie! a to bym wam za to dała nie wiedzieć co!

— Ni ma inszej rady, ino jak pozdrowieje, trza go pchnąć w świat, a czemu to do tej Brazylei nie ma jechać, co?

— Bogać! W tyli świat puszczać samego sierotę.

— A cóż to, ssie jeszcze, czy co? A to se z nim jedź-cie.

— Juści, ostawię chałupę i grunt na Boskiej Opatrz-ności?

— Loboga te kobiety! Sypiesz dobre radzenia, kiej do sakwy, a to wszystko przelatuje, kiej bez przetak! — zachnął się niecierpliwie. — A to sprzedać nie możecie, co?

— Hale! sprzedać! sprzedać! Myślałam ja i o tym, ale się bojałam.

— Bojacie się ino, co byście chłopaka bez to nie za-tracili... Powiem Herszlikowi, to przyjdzie do was, on wszy-stkich tam przeprawia, mądry jucha kasztan... powiedzieć?

— A... powiedźcie — odrzekła prędko.

— Tyla narodu tam idzie! A bo to im ta źle, ano po-szedł Antek Jadamów z Górek, będzie już temu dwa roki, to w przeszłą niedzielę przysłał czterysta rubli — na spłatę

siostram... Ho, ho! żebym ja miał z pięćdziesiąt lat mniej, że- bym ja miał ślepie i kulasy, nie siedziałbym tu z wami, ino tam poszedł. Przyślę wam Herszlika. Panu Bogu oddaję. Pro- wadź, kobieto, bo słyszę, że sygnują...

Po wyjściu dziada Winciorkowa wyprowadziła Jaska, który już zdrowiał szybko, do ogródka za dom, pod jabłonki. Położyła mu na trawie pierzynę i przykryła go na wierzch kożuchem.

— Co waju jest? — szepnął cicho, widząc jej twarz strapioną.

— Juści nie radośnie, nie!

— Wiedzą już? — Uniósł się na pierzynie.

— Leż se spokojnie, leż... Pójdę do kościoła... to się przepytam... posłucham, co gadają.

— Ino nie siedźcie długo, bo mnie samemu ckno — prosił cicho.

— Rychło przylecę... nie bój się...

W kościele było już narodu dosyć, śpiewali różaniec w oczekiwaniu na sumę, a przed kościołem, na cmentarzu chłopci stali kupami i poradzali sobie.

Dziad przed wielkimi drzwiami głośno odmawiał pacierz.

Cisza świąteczna leżała na całym wzgórzu i nadpływała od wsi i od pól zalanych przez słońce.

A potem zaczęło się nabożeństwo.

Winciorkowa, wciśnięta pod chór, usiadła na posadzce i rozmyślała o tym, co jej dziad mówił i radził. Tak się za-dumywała, że ani śpiewów, ani grania, ani dzwonekó w prawie nie słyszała, objęły się o jej uszy, jak szum niewyraźny i da-leki, jakby szmer tych krajów, o których teraz myślała.

Ocknęła się dopiero na ciszę, jaka się zrobiła nagle, bo ksiądz po skończeniu nabożeństwa od ołtarza przemówił do ludu.

Mówił z powodu emigracji do Brazylji; przedstawiał całą niedolę wychodźstwa, przestrzegał, prosił, błagał, wykli- nał prawie tych, co pójdą.

Chłopci słuchali w głębokim rozważaniu, tręcali się łokcia- mi, spoglądali na siebie, uśmiechali się nieznacznie, nic a nic nie wierzyli.

— A juści! a juści!... — myśleli.

A ksiądz dalej grzmiał swoim potężnym głosem i z takim zapałem przedstawiał tę zagubę dusz biegnących w obcy i zły świat, że wrażliwsi zaczęli wdychać głośno, ucierać nosy, a kobiety gdzieniegdzie szlochały; ale masa stała nieporuszona, zimna.

Wysuwali się potem tłumnie przed kościół i w zbitej gęstwie przystanęli prawie wszyscy, aby pogadać.

— A juści! ksiądz się zwęchał z panami i tak gada!...

— Przecież nie będą mieli orać w kogo.

— Markotność ich rozbiera, że będą musieli sami kunie paść albo i robić...

— A to by ksiądz cyganil, co? — ozwał się jakiś głos.

— Cosik w tym jest, że tak mówj — podparł go drugi.

— Cosik?... oto jest, żeśta głupie, jak te barany! Do Brazylii chceta lecieć! lećta! zostawcie grunty, chałupy, wszystko! Dostanieta tam po folwarku z lasem, z lewentarzem i z pałacem... Lećta... ostaną przecie Żydy i Niemce i dobrze im będzie na waszych gruntach! O jej! a potem, jak przyjedzieta nazad, to dycht na parobków do nich akuratnie... Będzie wam pasowało... Naród głupi, to gorszy od bydlaka, bo bydlę choć ano słowem i batem pokieruje... a to kiej cielenta... zadziera ogon i leci choćby w cały świat...

— Ano, Grzegorzu, przecież w książkach stoj i powiedają...

— Powiedają! powiedają... żeś głupi, a nie kuźden temu uwierzy, ani kuniecznie tak jest. W książkach stoi! A czytales?

— Ja juści nie, ale czytał ten ceglarnik z Woli... mie-mieć.

— On tak dobrze czytał, jaże od Banacha gront kupił, na to on czytał!

— A te, co poszły łoni, to pieniądze przysyłają...

— Jeden przysła, a wielu się zmarnuje!

— Grzegorz zły, że to ze starości iść nie mogą!...

— Barany juchy! jak te barany! — zawołał rozniewany Grzegorz, nacisnął czapkę, splunął i poszedł do domu. Niejeden się zamedytował, niejeden rozważał słowa sta-

rego, ale większość snuła dalej bałamutne wieści o Brazylii.

A najwięcej mącił umysły sołtys.

— Księdza będzieta słuchać, co? A jak urzędnik przyjdzie po podatek, to ci go ksiądz zapłaci? A jak jeść nie masz, ksiądz ci da, co? A jak grontu mało masz, doda ci go ksiądz, co? — krzyczał.

— Dać nie da, zapłacić za nikogo nie zapłaci, bo sam bidota, ale zawždy ksiądz pomysłonek ma inszy, gazety i książki czyta, to wie, co się we świecie dzieje i nie chciałby narodu gubić — zauważył Sułek, ten, co to niedawno miał syna.

— Tak się to mówi, a trzyma on z panami nie z nami.

— Przecież zmówily się, co by narodu nie puszczać!

— A pewnie, że tak jest. A co to, tyła ludzi wyjdzie, ani kto robić, ani podatków płacić, ani do wojska iść.

— Strach im jest, że same ostaną i przez to odmawiają.

— A że w Brazylii nijakich podatków nie ma, że rekruta nie bierą, że każdy jest sobie panem, to wierzta, bo urzędnik wam to mówi!

— A ziemi tyle, co człowiek ino zobaczy.

— Jeszcze i pieniędzy na zagospodarowanie.

— I sifkartę na drogę, za darmo.

— Pisał Antek Jadamów, że lasy okrutne, a wszystko

la naszego narodu.

— A dlaczego tam tak ciągną naszych?

— Nie wiecie, dlaczego? Urzędnik wam to powie dokumentnie, w powiecie tak mówiły panowie, a to cesarz brazylijski rozgniewał się na swych ludzi, że to katoliki nie są dobre i czarne na gębie, kiejby garnki żelazne, to zawołał największego urzędnika i powiada mu: już mi się przykrzy parzyć na tych smoluchów, bo to ani grontu uprawiać dobrze nie uprawiają, ani nic, to trza ich wypędzić w góry; a sprowadź mi polski naród, że to najlepsze chłopcy i słyszę grontu u siebie mają mało, chrześcijany to są dobre, słyszę... Z tego poszło wszystko, to jest prawda! — zakończył poważnie, a małe, chytne, lisie oczki jego biegały po twarzach, jak błyskawice. A że to jeść im się już zachciało i baby poszły naprzód, zaczęły się rozchodzić.

Winciorkowa szła w gromadzie i pilnie słuchała wszyst-

kiego, wzdychała głęboko i raz po raz spoglądała na wieś, na lasy, otaczające ciemną ramą, na pola zieleniejące, na rozkwitłe sady, na niebo tak czyste i niebieskie, jak na tym obrazie w kościele, na te słupy dymów niebieskich, które podnosiły się znad chałup i szły prosto w niebo, na ten lud cały rozgwarzony, różnobarwny, który szedł przed nią drogą; żał dziwny i jeszcze dziwniejszy strach ją ogarniał zwolna i przenikał dygotaniem. Ale znów te rozmowy chłopów, te olśniewające, słodkie obietnice gruntów, lasów, swobody chwytaly ją mocno za serce i tak rozjaśniały duszę, tak rozpały, że gotowa była jechać chociażby natychmiast!

Przed karczmą, która stała wprost jej domu, tylko wepchnięta w głąb nieco, na skrócie bocznej drogi do dworu, stał strażnik z kilku chłopami.

Winciórkowa zobaczyła go natychmiast i śpiesznie podążyła do domu.

Sołtys ją dogonił przed progiem samym.

— Wiecie... rządcą powiedział wczoraj w kancelarii, że żeby nie wiem co, to choćby sam złapie Jaśka, a wy tu... — szepnął cicho.

— A strażniki wiedzą, że... że?...

— We wsi całej już ano wiedzą, że jest u was!

Weszli do wnętrza domu.

— Słyszeliście, co to ludzie mówią o tej Brazylii? — zagadnął po chwili.

— Słyszałam, słyszałam! A bo to wiem, jak jest! Nie wiada kiej para, a kiej wiara.

— Hale! hale! Jedno tylko miarkuję, że tam Jaśkowi byłoby przepiecznie.

— Nie ma co, że inaczej już zrobić nie można, nie ma co!

— A z gruntem? — zapytał, i oczy mu rozblęły chciwością.

— A choćby i sprzedam! — odrzekła z determinacją.

— Kto to kupi, tyle chcą sprzedać, że nikt nie chce! — powiedział chytrze.

— A choćby i za pół darmo, to sprzedam. A przecie mój grunt dobry, w jednym polu a jest i łąka, i chałupa prze-

cież nie ostatnia, i stodołka prawie jest nowa. Grunt doprawiony, jak się patrzy...

— Ho! ho! wiadomo, żeście najlepsza gospodyni na wsi, co prawda, to prawda.

Nie odpowiedziała, poszła do komory i wyniosła stamtąd w garści pieniądze.

— Moiście wy! weźcie to... żeby się ano nie dowiedziały... prosiła cicho.

— Już ja to wszystko urychtuję... — Podniósł się i obciążał kapotę, a na odchodnym rzekł: — Jak wychorzeje, to zaraz jedźta! Panu Bogu oddaję...

— A z gruntem się nie śpieszcie i nie mówcie o tym nikomu.

— To się wie, zaraz by się domiarkowali.

— I tak już chłopcy odgrażają, bo rządcą powiedział, że całą wieś zaskarży, jako Jaśka wszyscy przechowują.

— Żeby on Boga przy skonaniu nie oglądał za naszą krzywdę! — zawołała namiętnie.

— Jakbyście potrzebowali kuniecnie, to ja bym kupił... nie dla siebie, bo człowiek grosza przy duszy nie ma, ale mówił mi Adam z Zacharek, co by mu się obejrzeć za gruntem dla syna, że to go żeni...

— Przyjdźcie którego dnia, to se pomówimy...

— To jest sześć morgów z łąką?

— Sześć morgów pola, a morga łąki.

— Statki gospodarskie macie jakie?

— Są wszystkie i prawie nowe, ale to już osobno byśmy się godzili...

— A grunt w tabeli nie stoi? — zagadnął już z progu.

— Nie, bo to mój nieboszczyk dostali jeszcze dawniej...

— Zostańcie z Bogiem!

Podali sobie ręce i sołtys wyszedł głęboko uradowany tą pewnością, że grunt kupi za byle co, dawno on już miał na niego ochotę.

Stara zajrzała pod jablonki do Jaśka i zakrzętnęła się około obiadu, bo Tekla siedziała w swojej stancji i co chwila wpadała z okrzykiem:

— A zobaczcie no, bo ledwie już dycha!

kiego, wzdychała głęboko i raz po raz spoglądała na wieś, na lasy, otaczające ciemną ramą, na pola zieleniące, na rozkwitłe sady, na niebo tak czyste i niebieskie, jak na tym obrazie w kościele, na te słupy dymów niebieskich, które podnosiły się znad chałup i szły prosto w niebo, na ten lud cały rozgwarzony, różnobarwny, który szedł przed nią drogą; żał dziwny i jeszcze dziwniejszy strach ją ogarniał zwolna i przenikał dygotaniem. Ale znów te rozmowy chłopów, te olśniewające, słodkie obietnice gruntów, lasów, swobody chwytają ją mocno za serce i tak rozjaśniały duszę, tak rozpałały, że gotowa była jechać chociażby natychmiast!

Przed karczmą, która stała wprost jej domu, tylko wepchnięta w głąb nieco, na skrócie bocznej drogi do dworu, stał strażnik z kilku chłopami.

Winciorkowa zobaczyła go natychmiast i śpiesznie podążyła do domu.

Sołtys ją dogonił przed progiem samym.

— Wiecie... rządcą powiedział wczoraj w kancelarii, że żeby nie wiem co, to choćby sam złapie Jaśka, a wy tu... — szepnął cicho.

— A strażniki wiedzą, że... że?...

— We wsi całej już ano wiedzą, że jest u was!

Weszli do wnętrza domu.

— Słyszeliście, co to ludzie mówią o tej Brazylii? — zagadnął po chwili.

— Słyszałam, słyszałam! A bo to wiem, jak jest! Nie wiada kiej para, a kiej wiara.

— Hale! hale! Jedno tylko miarkuję, że tam Jaśkowi byłoby przepiecznie.

— Nie ma co, że inaczej już zrobić nie można, nie ma co!

— A z gruntem? — zapytał, i oczy mu rozbłyły chciwością.

— A choćby i sprzedam! — odrzekła z determinacją.

— Kto to kupi, tyle chcą sprzedać, że nikt nie chce! — powiedział chytrze.

— A choćby i za pół darmo, to sprzedam. A przecie mój grunt dobry, w jednym polu a jest i łąka, i chałupa prze-

cież nie ostatnia, i stodołka prawie jest nowa. Grunt doprawiony, jak się patrzy...

— Ho! ho! wiadomo, żeście najlepsza gospodyni na wsi, co prawda, to prawda.

Nie odpowiadała, poszła do komory i wyniosła stamtąd w garści pieniądze.

— Moście wy! weźcie to... żeby się ano nie dowiedziały... prosiła cicho.

— Już ja to wszystko urychtuję... — Podniósł się i obciągał kapotę, a na odchodnym rzekł: — Jak wychorzeje, to zaraz jedźta! Panu Bogu oddaje...

— A z gruntem się nie śpieszcie i nie mówcie o tym nikomu.

— To się wie, zaraz by się domiarkowali.

— I tak już chłopcy odgrają, bo rządcą powiedział, że całą wieś zaskarży, jako Jaśka wszyscy przechowują.

— Żeby on Boga przy skonaniu nie oglądał za naszą krzywdę! — zawołała namiętnie.

— Jakbyście potrzebowali kuniecznie, to ja bym kupił... nie dla siebie, bo człowiek grosza przy duszy nie ma, ale mówił mi Adam z Zacharek, co by mu się obejrzyć za gruntem dla syna, że to go żeni...

— Przyjdźcie którego dnia, to se pomówimy...

— To jest sześć morgów z łąką?

— Sześć morgów pola, a morga łąki.

— Statki gospodarskie macie jakie?

— Są wszystkie i prawie nowe, ale to już osobno byśmy się godzili...

— A grunt w tabeli nie stoi? — zagadnął już z progą.

— Nie, bo to mój nieboszczyk dostali jeszcze dawniej...

— Zostańcie z Bogiem!

Podali sobie ręce i sołtys wyszedł głęboko uradowany tą pewnością, że grunt kupi za byle co, dawno on już miał na niego ochotę.

Stara zajrzała pod jabłonki do Jaśka i zakrzętnęła się około obiadu, bo Tekla siedziała w swojej stancji i co chwila wpadała z okrzykiem:

— A zobaczą no, bo ledwie już dycha!

Jakoż dziecko jej ledwie dychało — dusił je krup...

Nie zajmowała się nim wielce Winciorkowa; a bo to miała mało swoich zmartwień, a potem cóż by mu pomogła, kiedy już ostatnią parą piskała!...

Ugotowała obiad i zaniósła go chłopakowi do ogródka.

Jasiek szybko powracał do zdrowia; lekarstwa księżę, wiosna, no i młodość zwyciężyły w końcu chorobę; chodzić jeszcze nie mógł, jeszcze go czasem w piersiach okrutnie bolało, ale już rumieńce zaczynały grać pod wybielałą skórą twarzy i modre oczy patrzyły coraz weselej.

Leżał na pierzynach, pod kwitnącymi jabłonkami, które pachnącym baldachimem z kwiatów osłaniały go od słońca.

— Spałeś se? — zapytała siadając przy nim.

— Gdzie tam! Dzwonienie słyhać było, tom zmówił pacierz jeden i drugi, a potem, że to tak pszczoły brzęczą na kwiatach, że tak pachnie, tom leżał i czekał na was, matko...

— Wziął się do jedzenia.

— Dobrze ci, co?

— Dobrze matulu, dobrze!

— Bok cię nie bolał?

— Nie, matko. O! dzwonią już na nieszpory.

Przymilkli oboje, bo po świegotliwym śpiewie sygnaturki ozwały się wielkie dzwony i były tak potężnie, aż ziemia drżała i kwiaty jabłoni zaczęły opadać jak różowe motyle na Jaśkową głowę i trawę zieloną...

— Jasiek!

Podniósł zasłuchane oczy.

— Wiedzą, że tutaj jesteś!

Gwałtownie rzucił się na pierzynach.

— Połóż się, nie bojąj się, nie dam ja cię, synku, nie.

Czarna, spracowana ręka gładziła po jego twarzy i oczach, opowiadając mu o wszystkim, co słyszała w kościele i co powiedział jej sołtys.

— Ścierwy! Zapłaciłbym dobrze! Niech mnie ino wydadzą! — szeptał, zaciskając pięście i grożąc nimi wsi.

— Cicho, dziecko, cicho, pojedziemy se. — I opowiedziała mu, jako już dawno, jak tylko przyszedł do niej, światała w niej myśl, aby sprzedać grunt, chałupę, dobytek cały i wynieść się do tej Brazylji.

— Dobrze, matko, sprzedajcie wszystko, na wasze imię jest gospodarza, sprzedajcie i pojedziemy. A niechta te wszystkie przypadki, kiej człowiek pocziwy żyć nie może tutaj. Zabijaki ino same, a okpisy, a oszukańce, a Judasze. Jakby tylko najprędzej, matko! najprędzej! — wołał energicznie, twarz mu rozblęła nadzieją innego, lepszego i wolnego życia.

— Dobrze, chłopaku! Pójdę na wieś, to się przewiem pomiędzy ludźmi, abo i w karczmie rzeknę jakie słowo o gruncie, co powiedzą ludzie na to...

— A sołtysowi nie sprzedajcie, to Judasz najgorszy z całej wsi. Okpi was i jeszcze mnie wyda, żółtek ten zapowietrzony, a oczy to ma kiej u wilka...

— Leż se tu spokojnie, mów pacierz, a ja pójdę.

VIII

Jasiek pozostał sam w ogródku.

Nie mógł uleżeć spokojnie, różne myśli, różne przypuszczenia tak nim owładnęły, że kręcił się wciąż na posłaniu. Ten plan matki olśnił go i tak pociągał, że chciałby już, zaraz, w tej chwili rzucić wszystko i jechać w ten wielki świat. Uciec od tej strasznej myśli, która go wciąż prześladowała, że musi wrócić do więzienia, że musi odsiedzieć swoje... O, bo wiedział dobrze, że prędzej, czy później odnajdą go i wezmą. I tak mu było dziwno nieraz, że tak spokojnie leży już sześć tygodni u matki, że nikt go nie szukał!

To znów leżał spokojnie, patrzył w niebo prześwitujące pomiędzy kwiatami jabłoni i nasłuchiwał głosów wsi...

Jak mu się dusza rwała do tej szerokiej ulicy, obstawionej domami, do tych pól, które widział niewyraźnie przez gęste, wyplecione łożyną płoty ogródka, do ludzi znajomych, do kościoła, do pastwisk nad rzeką, gdzie tyle lat szczęśliwych przebiegał za bydłem, do karczmy, do Nastki wreszcie... ale to ostatnie imię wyrzucał z pamięci, chmurniał nagle i posępnym wzrokiem patrzył w bujną zieleń pokrzyw, co zieloną ścianą

przysłaniały płoty — i zmógłszy się, nasłuchiwał i wyobrażał sobie, jak to idzie już środkiem drogi, jak ludzie stają, aby go powitać, jak to okna się otwierają i wyglądają nimi kobiety, a zza węgłów wychylają się czerwone twarze dziewczuch... a wszyscy zapraszają do siebie... wysuwają ławki przed dom... częstują... a pytają... a cieszą się, że powrócił... że już zdrowy... a pomstują na rządce, przez którego siedział... Nie, nie wejdzie nigdzie, nie... obaczy tylko wszystkich... pogada... rozpyta to i owo... i zaprosi parobków albo i gospodarzy do karczmy, na poczęstunek... na przywitanie... Muzykę sprowadzą... dziewczuchy przylecą i dalejże... wesele będzie a uciecha... siedzą jak na odpuszcie...

Uśmiechał się do tych obrazów, przeżywał je wszystkie, pił rozkosz całym sercem... ale przyszło mu na pamięć to, co matka powtarzała za sołtysem.

— Wydałyby mnie! — jęknął cicho, blednąc śmiertelnie. — Wydałyby? — pytał jakby siebie. — Juści, żeby wydały... juści... Już ja bym wam zapłacił za to, żeby wasze dzieci jeszcze popamiętały... — szepnęła złowogo.

Ale że się zmęczył myśleniem, wziął książkę od nabożeństwa, otworzył tam, gdzie było założone różańcem i wodząc palcem po literach, żeby widzieć lepiej, półgłosem odmawiał nieszpory.

Słońce przygrzewało poczciwie; przez różowe kwiaty lało się dziwnie słodkie, rozpylone światło i drgało złotymi plamami po młodej trawie i po Jaśka twarzy i włosach jasnych. Przeogromna cisza leżała w powietrzu, tam wysoko nad jabłonią, gdzie tylko na tle błękitu przemykały jaskółki, a czasem ciągnęły sznurem kaczki dzikie...

Pod strzechą domu świergotały wróble, a małe omszone szaro gąsienki prznosiły się z miejsca na miejsce, pod wodzą dwóch gęsi i gąsiora, który wciąż syczał i gonił kury po ogródku, lub doskakiwał do maciory z prosiętami, która tak energicznie czochręła się o jablonie, że listki kwiatów, niby deszcz różowy, spływały na trawę.

Rzeczka płynęła tuż za płotem i oddzielając ich dom od wsi, bulgotała monotownie.

Było tak cicho, tak ciepło, tak dobrze...

Jasiek przestał się modlić i leżał jakby utopiony w słodkiej szczęśliwości tego dnia majowego. Patrzył poprzez rozchwiane nieco girlandy kwiatów, patrzył daleko, w niebieski błękit, patrzył i zapominał o świecie całym. Wiatr miękki, słodki, pieśczośliwy obwiewał mu twarz i chwiał nad nim ukwieconymi gałęziami, pochylał ku niemu zielone lodygi chwastów, a jego pierś rozszerzała się radością głęboką, czystą, radością życia, a oczy oczarowane, półsenne, tak niebieskie, jak błękit tam wysoko, pełne były cichych dziękczynień i błogości niewypowiedzianych.

Czuł tylko niewyraźnie, że przez niego przepływa jakaś przesłodka fala tych blasków, barw, błękitów, słońca, zbóż szumiących, ciszy pól — życia ziemi.

— Mroczy me jakoś! ćmi mi się w głowie! — Myślał chwilami o stanie swoim i nic nie widział i nie rozumiał, że Nastka przelazła przez płot od rzeki i stoi o parę kroków od niego i patrzy — była blada jak chusta, jak te kwiaty jabłonek, pod którymi schylała nisko głowę.

— Jasiek! — szepnęła cicho i oczami pełnymi strachu, oczekiwania i miłości patrzyła w niego.

Nie słyszał, nie zobaczył jej.

— Jasiek! — ach! tak trwoźnie zatłukło jej serce, tak trwoźnie.

Drgnął, powlókł oczami po trawie, po drzewach, po niej, przyciśniętej do jabłunki i przysłoniętej jej zwiślimi gałęziami, nie spostrzegł, zdawał mu się ten głos przywidzeniem.

Nie, już nie mogła wytrzymać, nie — przyklekła przy nim i dotykając palcami jego ręk, szepnęła cicho i łzawo:

— Jasiu! Jasiu! — Nie mogła więcej powiedzieć ze wzruszenia.

Aż usiadł na pościeli, zdumienie wyjrzało mu z szeroko otwartych oczów, chwycił ją za ręce, dotknął jej twarzy, włosów i opadł na poduszkę.

— Poszła... ty... — Nawet nie wiedział, jak mu się ta obelga wyrwała z piersi.

— Jaśku — adyc to ja!... Adyc ja do ciebie przyszła... Jaśku... loboga... — łzy rzęsiste popłynęły z jej oczów, trzęsła się cała, jak te kwiaty jabłoni, które wiatr rzucał na nich, zamierała...

— Chudziaku mój, mizeroto, sieroto kochana. Jasienu mój... — bełkotała przez łzy, dusiła się z bólu i nie mogąc już wytrzymać, rzuciła się na niego, objęła mu nogi rękami i wybuchnęła strasznym płaczem...

A w nim zniknęła zatwardziałość, te łzy ją roztopiły, tylko leżała jeszcze w twarzy surowość mocna i obawa, więc położył rękę na jej włosach i szepnął chmurnie:

— Nastka!

Dziewczyna podniosła się i zaczęła obcierać oczy...

— Tyś się zmówiła z rządcą, żeby mnie wydać, co?

Zachwiała się, jakby ją kto w pierś uderzył.

— U pani... u pani służę... służę...

— A nie mieszkasz to z nim!...

— Jezus Maria! Na tę Matkę Przenajświętszą! na tego Jezusiczka! — wołała, chwytając różaniec z jego książki.

— Jasiu, co ty mówisz! Jasiu!

Ale tak ją ból ścisnął za serce, że zbladła śmiertelnie, nie mogła słowa rzec, ino łzy jak perły toczyły się z jej oczów przerażonych.

A on uwierzył w nią od razu, ten jej krzyk przeszył mu serce taką radością, że się pochylał do niej i szepnął:

— Nastuś! Nastuś moja!

Dziewczyna padła mu na pierś, objęła go rękami i utonęła w mocnym, pełnym łez szczęścia uścisku...

Wiatr znów rozchwiał drzewa i sywał na nich jabłoniowym kwiatem — a potem stanęła cisza i ogarnęła takim spokojem, takim szczęściem ich dusze, że siedzieli na ziemi przy sobie, trzymali się za ręce i oczy ich przenikały się wskroś serc pełnych siebie...

— Dla ciebie uciekłem... dla ciebie... — zaczął urywanym głosem.

— O Jezu!

— Taka mnie tęskność rozbierała... taka tęskność...

— Wypłakiwałam ja oczy... wypłakiwałam!...

— Nastuś! Nastuś!

— Jasiu mój!

— Tyle roków...

— Ale już nie pudziesz, już cię nie puszczę...

I znów siedzieli w ciszy niezgłębionej serc, omdlałych ze szczęścia.

Wróble świergotały sennie pod strzechami, a w klasztornym ogrodzie, na wzgórzu zaczęły gdziegdzie odzywać się słowiki z kosami na przemian. Upał się już skończył, zawiewał przedwieczorny chłód, przesycony wilgocią i zapachem zbóż zielonych i kwitnących ogrodów.

Drzewa stawały w wielkiej ciszy i zadumaniu, trawy i zboża się pochylały — jakby wszystko zaczęło słuchać klekotania bocianów, szczebiotów jaskółek i tych dzwonów na Anioł Pański, których jasne, ogromne głosy leciały od kościoła i rozlewały się nad wsią.

Nastka ukłękła pobożnie, wzięła jego książkę i zaczęła przeławionym, rozstrzęsionym głosem czytać:

— „Anioł Pański zwiastował Marii Pannie”.

Jasiek usiadł, złożył ręce i sercem pełnym wiary powtórzył:

— „Zdrowaś Maria, łaskiś pełna”...

A dzwono długo wołał śpiżowym głosem i rozlewał hymn wieczoru — modlitwy — odpocznienia na wieś przycichłą, na lasy, które niby hufy potężne stały dokoła pochylone, na młode zasłuchane niwy, na strumienie i potoki, co niby srebrne sznury i zwierciadła wyblyskiwały z zieleni.

Skończyli Anioł Pański ale milczeli; mówiły im tylko serca i oczy rozplamienione, dusze zachwycone, a czasem tylko usta.

— Nie wezmą mi cię już, nie wezmą.

— Nie bój się Nastuś, nie.

Adybym cię we złoto i srebro ubrała, mój ty sieroto kochany.

— Ty mnie nie znasz, Nastuś, nie. Pobierzemy się, to zobaczysz — już ja cię nie tknę nigdy ręką, i marnego słowa nie powiem i zarabiać nie dam, nie... Dziewkę se ano weźmiemy, żeby ci łatwiej było...

— Nie, Jasiu, nie, sama robiła będę, umiem ja wszystko... Zobaczysz, jaka ja robotna a już porządek w chałupie miał będziesz taki, że i matka lepiej nie robi. A i kole słoń, czy kole krów, też chodzić umiem.

— Gospodyni moja kochana! — pogłaskał ją miłośniczo po twarzy.

— Ino jest to... że ja biedna sierota, a ty gospodarz, ino... — zaczęła nieśmiało.

— Głupiaś, a chcesz mnie, co?

— Jasiek! Ja bym cię nie chciała, ja! — rzuciła mu się na szyję.

A potem mówiła niskim, urywanym ze wzruszenia głosem:

— A pani powiedziała, że za to, co ja dobrze jej służę, to jak pójdę za chłopą, dadzą mi krowę z cielęciem i maciorekłę młodą, i sześć gęsi, i statków ździebko, i obleczenie do ślubu.

— Powiedziała tak dziedziczka, Nastusiu, powiedziała?

— A juści, abo to raz. Jeszcze ze dwie niedziele temu mówiła to przy gospodyni.

— To za twoją poczciwość, Nastusiu! a widzisz, Nastuś, za twoją poczciwość!... Będiesz ty gospodynią lepszą od tych wszystkich paparuchów we wsi... będziesz, Nastuś, zobaczysz... A już się ino mojej matki nie bojaj!

— Ale! adyc i rodzonej więcej nie miłowałam! ale ona taka, że dziedziczka powiedziała, co Winciorkowa mogłaby być dziedziczką, że taka mądra, jak żadna kobieta we wsi...

— Mówiła tak, Nastuś! Mówiła? Niech jej Pan Jezus da najlepsze!

— Mówiła, Jasiu, mówiła to nawet przy rządcy... kiedy... — urwała nagle, bo to słowo, niebaczenie wymówione, powlokło chmurą twarz chłopaka, zasepił się, patrzył na nią bacznie i zapytał nieśmiało:

— Nie napastował cię... co? — oczy mu zabłysły nienawiścią.

— A juści... ażem się poskarżyła pani... to pani go zawołała na pokoje... to wyszedł stamtąd taki zły, jak ten pies... to potem pomstował, że loboga... na mnie... — mówiła cicho, jakby się skarżąc przed nim...

— Już ja go przyrządzę... już... już ja mu zapłacę za siebie i za ciebie... już on mnie popamięta... — syczał przez zęby i taka dzika zawierucha zawziętości nim zatrzęsła, że aż posiniał.

— Jasiek! bacz na siebie... on się zna z urzędem, to... a jakby cię znowu wzieny, to już bym ja sierota, choćby i do studni się rzucić...

— Żebym miał zgnić w kryminale, a swojej krzywdy nie daruję...

— Jasiek, pomiarkuj się! pomiarkuj! — prosiła błagalnie, pełna trwogi.

Nie odpowiadał, milczeli.

Mrok już ich nakrywał, siedzieli przy sobie, ale dusze ich były daleko od siebie, rozbiegły się jak ptaki spłoszone nienawiścią i trwogą.

Cudny obłok szczęścia się rozwiął i roztopił w tej szarości zmroków, jakie spadały na ziemię. Życie ohydną swoją rękę znów położyło na ich doli...

Siedzieli tak długo, nie mogąc się uspokoić.

Naraz wpadła Winciorkowa i szybko ku nim przemknęła wśród drzew.

Drgnęli oboje przestraszeni.

— Już cię wydały chłopcy! już cię wydały! — szepnęła stara cicho. — Byłam na wsi... byłam potem w karczmie... narodu pełno, jak zwyczajnie przy niedzieli... pili sobie... strażniki siedziały... Banach mnie zobaczył, a że to już był pijany... rozpuścił ozór i powiada: — Winciorkowa, a Jasiek już zdrowy, czas mu wracać do kamienicy... do pokojów... — Strażnicy słuchali pilnie... uważałam... a ten pijanica, jak nie zacznie gadać, że teraz wszystkie zbóje mogą se chodzić spokojnie, bo się sołtysowi oplacają... tak strażniki po cichu zaczęły pytać... a drugim chłopom w to graj... powiedziały wszystko o tobie... Jużem zmartwiła... ino me sołtys, że to już był mrok, pociągnął i powiedział, że może być rewizja!... że... — umilkła wyczerpana.

— Które to chłopcy? — zapytał cicho.

— Ano, Banach, Kubik ten z końca, Sikora ze środka, ten bez ślipia, Wójcik i wszystkie, i wszystkie...

— Banach, Kubik, Sikora i Wójcik! — powtarzał wolno, bardzo wolno, wbijając sobie te nazwiska w pamięć, ale nagle zalała go zapamiętałość tak szalona, że zerwał się na nogi, pochwyił za jakiś kołek i krzyknął:

— Niech tu przyjdą, niech mnie chcą wziąć, niech!... — i osłabł tak bardzo, że nogi mu się ugięły, aż się chwycił jabłonki, żeby nie upaść.

— Cicho, synu... cicho... trzeba cosik radzić.

— Trzeba stąd go wyprowadzić! — szepnęła Nastka budząc się z przerażenia.

— Prawda, tak najlepiej, nie znajdą go, to i nie wezmą, ale gdzie?

— Gdzie? a choćby i do tych dołów za klasztor, na górę... teraz są już puste.

— Dobrze, juści, że ino tam, trzeba tylko parę pacierzy przeczekać, żeby całkiem zmrozczało... jeszcze by kto zobaczył.

Zajęła się Jaśkiem, bo ledwie dyszał, taki kaszel gwałtowny go pochwycił.

— Nastuś, wyrzyj przed dom, czy kto nie idzie...

I zaczęła się nieskończenie długa chwila oczekiwania nocy.

Stara przez płot patrzyła na mostek, ale nic nie widziała, powracała też co chwila do Jaśka, który skurczony, jakby zmartwiały, siedział na pierzynie.

Noc zapadła prędko, cisza rozpościerała się nad światem głęboka, tylko od karczmy szły pijackie podśpiewywanie, a dźwięki muzyki i głosy schrypięte; a od łąk ciągnęły na pola krzyki czajek i tumany niskich, białych mgieł podnosiły się nad trawami.

— Nie bój się, Jasiek! Już ja cię nie dam, jedynek, nie dam — uspokajała go matka.

Ubrała go przy pomocy Nastki w kozuch, wzięły pierzynę w płachtę i ujawszy pod pachy mocno, bo ledwie szedł i potaczał się, wyszli z ogródka na podwórze, a stamtąd na ścieżkę, biegnącą tuż pod samą górą, na której stał klasztor.

Szli cicho i bardzo wolno, bo Jasiek męczył się i odpoczywał co chwila, a czasami stara kładła się na ziemi i przyłożywszy ucho do ścierni, nasłuchiwała.

— Przy chałupie nikogo nie słyhać!

— To nic, trzeba iść prędzej — szeptała Nastka niecierpliwie.

— Nie mogę już... nie mogę... o Jezus! — szeptał Jasiek i coraz mocniej opuszczał się na Nastkę, która go prawie niosła.

— Cicho, Jaśku, cicho! Zaraz tam już będziemy — odpowiadała dziewczyna.

Jakoż dociągnęli się do dołów wielkich po kartoflach, które kopano w boku wzgórza, od strony lasu. Stara wyszukała najlepiej zachowany, a wydobywszy skądciś wiązkę przegniłej słomy, spuściła się z nią do wnętrza i zrobiła na dnie posłanie, pokryte pierzyną. Wzięły go za ramiona i nogami naprzód spuściły do dołu.

— Nie bój się, Jasiek, niczego... tutaj cię już nie znajdą... a jak ci będzie markotno, że to w ciemności, to zmów sobie pacierz. Nad ranem przyjdę, to ci jeść przyniosę. Już pójdę, parobku kochany, bo trza mi być, jak te psy przyjdą, żeby czego nie zmiarkowały... Nastka też musi bieczyć, żeby we dworze nie gadali czego na nią.

— Nie dajcie mnie matko... nie dajcie... — zawołał łzawym głosem i jak dziecko ułapił matkę za szyję; ten dół i noc przerażały go.

Uspokoił się jednak wkrótce, był bardzo zmęczony.

— Nastuś! to i pójdziesz, co?

— A pójdę, Jasiu! pójdę... ale zaraz, jak państwo spać pójdą, to przylecę i ostanę.

Już nic nie rzekł, ale matka gładząc go na odchodem, poczuła, że mu łzy płyną po twarzy.

Szły śpiesznie z powrotem, a już niedaleko domu, na rozstaju ścieżek, bo jedna szła do Winciorkowej chałupy, a druga pięła się wyżej i po wzgórzu spadała ku dworskim zabudowaniom, stara rzekła:

— Nastka, a jak wydasz, to ci już Pan Jezus za to zapłaci...

— Ja bym wydała Jaśka! ja? adyćbym w ogień, ady w wodę, ady z największej góry skoczyłabym dla niego... — Rozplakała się serdecznie.

— No, cicho... cicho... wierzę ci... A zajrzyj do niego. Dziewczyna za odpowiedź całą objęła ją za nogi...

— Ady ja jestem taka wasza, jak ten pies. — Stara

objęła ją za głowę i tak się pobratały na śmierć zmieszawszy łzy swoje, uczucia i ukochania.

— A niech tam ją sobie bierze, dobra dziewczucha — myślała stara biegnąc do domu.

IX

Nie było jeszcze nikogo w domu.

Stara zapaliła światło i starannie pousuwała z alkierza wszelkie ślady pobytu Jaśka. Czuła się o tyle spokojną, że krzątając się około gospodarstwa, odmawiała dawnym zwyczajem pacierze.

Tekla siedziała u siebie, wołała jej przez sień, ale nie przyszła.

— Pewnikiem śpi — pomyślała zaglądając do jej izby.

Tekla nieruchoma, wpatrzona w ogień, siedziała z dzieckiem na ręku.

— Co to wam?

— Ano ledwie już zipie... musi być kona... — szepnęła.

— Jezusie Nazareński!

A dziecko już konało; sine, wyprężone, nagie leżało na jej kolanach, z trudnością rżąc i co chwila biło rękami powietrze, jak ptak tonący; ogromny ogień na kominie okrwawiał jego brzuch rozdęty i chude nóżki zwieszające się bezwładnie.

— Już mu się tylko pacierz należy! — szepnęła Winciorekwa ze współczuciem.

— O moje dzieciątko kochane, o moja kruszyno! — wyłkała z płaczem Tekla ogarniając dziecko rękami, jakby w obronie przed śmiercią.

Winciorekwa omroczył ten widok, bo pomyślała o Jaśku, że może i on tam w dole czuje się tak samo.

Nie mogła lecieć do niego, bo mogli przyjść lada chwila, więc z niecierpliwością, coraz bardziej denerwującą, oczekiwiała.

Co chwila wybiegała przed dom patrząc na drogę.

Noc była jakaś posepna i duszna, bez gwiazd, wiatr wilgotny zawiewał z łąk i muskał jej twarz rozpaloną, zgorączkowaną oczekiwaniem... Tłukła się wprost po izbie z udręczenia. To siadała na progu i zapadała w półsen, pełen czuwania, w jakąś martwą ciszę zmęczenia.

Na wsi cicho było, tylko Tekla ryczała wciąż płaczem, a chwilami rozlegał się jej rozplakany, monotony głos:

— Już ty mnie sierotą ostawisz, już ty sobie idziesz do Jezusiczka, na niebieskie pokoje... na radowanie... o Jezul! Jezul! Jezul!...

A od karczmy lały się przyciszone odgłosy muzyki i skłębione, głuche odgłosy tupotów i krzyków, a chwilami gdzieś z pastwisk dalekich, gdzie na noc wypędzono konie, migotał brzask ogni i leciał smutny, bezdźwięczny śpiew.

Winciorekwa przesiedziała na progu do świtania z tym ciągłym niepokojącym uczuciem, że zaraz przyjdą.

Ale nie przyszli.

Muzyka w karczmie umilkła, śpiewy scichły, noc jakby zapadła w głuchy sen, a potem zaczęły pisać kury coraz gęściej na północ a i na odmianę, bo przed świtaniem ustał wiatr i zaczął kropić drobny, ciepły deszcz.

A ona wciąż czuwała na progu, była zdrętwiała z chłodu i trwogi, nie obcierała nawet łez, które od czasu do czasu perlistymi zdrojami płynęły z oczów i zastygały na poczerwieniałej z zimna twarzy. O świcie miała tyle tylko sił, że uklękła przed domem i wpatrzona w zorze blade, co z trudem przeciskały się przez gęste, brudne chmury, modliła się żarliwie.

Tekla z okrzykiem wypadła z izby.

— Umarło! Umarło! Ratujta, ludzie! Loboga ratujta! — I w tym przerażeniu bolesnym chwyciła nagie dziecko na ręce i chciała z nim lecieć na wieś, po ratunek.

Ledwie poradziła ją wstrzymać Winciorekwa, zajęła się zmarłym dzieckiem, a Tekla skuliła się przy kominie i płakała głośno, spazmatycznie.

Winciorekwa tak tym była zajęta, że ani spostrzegła, jak już o dobrym dniu dom otoczyli chłopci, a do środka wchodzili strażnicy z wójtem i sołtysem na czele.

— Jasiu Winciorek u was jest?

— To go sobie szukajcie — odparła zimno.

— Prowadźcie! gdzie on jest?

— Pod fartuch go schowałam, bo to maluśkie dzieciątko jest! — wykrzyknęła z nienawistną ironią i najspokojniej w jakiejś niecce zaczęła myć dziecięcego trupka. Ale naraz Tekla zerwała się i ze szczapą w garści rzuciła się na chłopów:

— Czego tu chceta! Wy psy wściekłe! Oddajta mi męża, oddajta mi dziecko! Ażebyśta pod płotem pozdychały! ażebyśta się pierwszą strawą potruły, za moje sieroctwo i umęczenie.

Obezwładnili ją rychło, bo darła się do bicia, i poszli szukać Jaska po domu i po zabudowaniach.

— Szukajcie wiatru w polu! szukajcie! — wołała za nimi.

Juścić, że nie znaleźli a odchodząc, zapowiedzieli starej, że skoro chłopak się zjawi, ma dać znać sołtysowi.

— Juści! juści! w dyrdy polecę do sołtysa i zaraz go wam wydram! — wołała za nimi odprowadzając ich oczami aż do karczmy, do której wszyscy weszli.

Ale mimo to nie pobiegła do dołów, bo się obawiała, że może ją kto szpieguje, nie poszła przez dzień cały, pomimo, że się na dobre zachmurzyło i smutna szarość zalała świat.

Dopiero o dobrym zmroku zabrała garncezek z jedzeniem i chyłkiem pobiegła.

Nachyliła się nad otworem dołu i zaczęła niespokojnie wołać:

— Jasiu! Jasiu!

Nie odzywał się, zsunęła się do środka, odszukała go rękami i z trwogą niezmierną potrząsała.

— To ty, matko!

Przebudził się z ciężkiego snu.

— Podnieś się żdziebko.

— Byli?

— Byli, ale dopiero rano. Nie przychodziłam, bo się bojałam, że w dzień łatwiej może kto wypatrzeć...

— Już tu w południe była Nastka,

— Niech jej Pan Jezus da zdrowie!

Podsunęła mu garncezek, wsadziła w rękę łyżkę i pojadła sobie wolno.

W dole ciemno było jak w grobie i stęchłe, przegniłe powietrze ciężło na piersiach. Deszcz pluśkał monotannie i przez otwór niezakryty zacinął do środka i sączył się po ścianach.

— Jakże ci?

— Lepiej. Czekałem tak was, że aże myślę, pójdę, albo co!

— Ani mi się rusz krokiem! — zawołała przestraszona.

— A juści, przecież ciągle tu leżał nie będę.

— Wyzdrowiej tylko...

— To pojedziemy! — szepnął cicho, jakby do siebie.

— Pojedziemy. Jużem wszystko obmyśliła.

Namacęła jego głowę, przycisnęła ją do swojej piersi i obcierając mu twarz i głaszcząc szeptała:

— Nie bój się, będzie nam tam dobrze...

— To gdzieśik za morze, co?

— Za morze podobno, za morze — powtórzyła wolno.

— Grunty dają darmo...

— Darmo pono i z lasami i z lewentarzem...

— A choćby i nie dawały, to sobie kupimy...

— Juści, ale zawsze lepiej dostać, co dają a za to, co mamy, można by dokupić więcej...

Starą zmorzył sen, umilkła na chwilę.

Bór niedaleki szumiał głucho, jakieś ptaki krzyczały, a deszcz wciąż monotannie pluśkał, jakby ta noc szara i mętna płakała po dniu wczorajszym.

— Ino mi żal, że to, co dziedziczka obiecała Nastce, jak za mąż pójdzie, to nic nie weźmie, bo przecie ślubu tu brać nie możemy, a potem wziąć to bydłatko za morze!

Mówił wolno, ale stara już nie słyszała, zmogło ją zmęczenie i ukołysała cisza, spała oparta plecami o ścianę dołu. Jasiu przykrył ją kożuchem swoim i chwilę jakby czuwał nad nią, ale i jego sen wkrótce zmożył.

Noc płynęła, deszcz ustawał, natomiast podnosił się wiatr i przewalał się po polach i świstał w otworze dołu. A potem wyłaniał się z ciemności świt i zapłakany, zrudziały od

zórz oczami rozwidniał i zaglądał do dołu do śpiących przy sobie ludzi.

Pierwszy ocknął się Jasiak i zaraz obudził matkę.

— Idźcie już, bo was kto zobaczy. Ale, Nastka mi mówiła, że kiedyś dziedzic powiedział, że kupiłby łączkę, bo mu się wrzyna w jego pole. Możebyście poszli do dworu, co? Zawsze lepiej zapłacić, niż chłopi.

— Prawda, a że też mnie to do głowy nie przyszło. A to ze dwa roki temu, to nawet dziedzic przysyłał z tym eko-noma...

— I trzeba to wszystko duchem robić... — powiedział energicznie...

— Niech ino Herszlik przyjdzie, on przeprowadza ludzi...

— Prawda, sam widziałem. A jakby nie przyszedł do niego żaden...

— Mówili w karczmie, że za dwa tygodnie wychodzą ludzie z Woli...

— Za dwa tygodnie! To ja już będę całkiem zdrowy! — wykrzyknął wesoło.

— Zajdę tu do ciebie wieczorem.

— A idźcie do dziedzica, abo i do księdza po to lekarstwo, ino go dużo przynieście, to prędzej wychoruję — mówił energicznie, prawie rozkazująco, aż stara zatrzęsała się z radości, że jej parobek kochany już tyle sił ma w sobie.

I zaraz po południu tegoż dnia Winciorkowa przyoblekła się w świąteczne szaty i poszła do dworu z tą propozycją sprzedania łączki.

Trochę jej było jakoś nijako iść do państwa z interesem, więc wzdychała nieco markotnie i idąc układała sobie wszystko, to znów obliczała, co mogą dać dziedzice za łąkę, a ile weźmie za grunt i za wszystko...

...Sześć morgów pola choćby i po sto rubli... łączka z tysiąc złotych!... a teraz dwie krowy... a świnie... a ciele... a porządki... Chałupę też trzeba liczyć osobno... a stodołkę też... stodołkę kupi Sulek, chciał już to na zwiosnę...

Dwór był z boku wsi, wciśnięty pomiędzy wzgórze, na którym stał klasztor, a rzeczkę, płynącą obok chałupy Win-

ciorkowej, która przepływała dworski park, rozciągnięty na sto-ku wzgórze i dotykający klasztorne ogrodu.

Winciorkowa poszła do kuchni, ale tam jej powiedzieli, że państwo są „w ogrodowym pokoju”.

Dwór był parterowy, na podmurowaniu, ogromny, ze spiczastym i bardzo wysokim dachem, ozdobionym dymnikami; od strony ogrodu miał terasę, szerokimi stopniami opadającą do trawników, obwiedzionych niskim, przedziwnie zielonym żywopłotem. Po obu stronach terasy, wskroś trawników, aż do rzeczki, biegły alejki czerwonych głógów i bzów fioletowych — a z okien widać było wielki pas łąk przyłęckich, zamkniętych lasami, i wieś całą, trochę skośnie leżącą w dolinie.

Winciorkowa stanęła przed szklanymi drzwiami wejścia z terasy i zajrzała nieśmiało do wnętrza.

— Czego to?

— Do dziedzica! — odparła chmurnie cofając się nieco, bo po schodach szedł rządca ciężkim krokiem.

Był to ogromny, czerwony, ordynarny mężczyzna, z krzaczastymi wąsami i porcelanowoniebieskimi oczami.

— A! Winciorkowa! Moje uszanowanie! — zawołał ironicznie. — A cóż, dobrzeście schowali tego zbója, co? Ale go znajdą, ja już tego przypilnuję i pošlę go tam, skąd drugi raz nie uciecze...

— Jak Pan Jezus da, w Jego mocy to wszystko, a nie w panowej...

— Do dziedzica macie interes, a jaki?

— Nie panowa do tego głowa, nie... — powiedziała urągliwie.

Trzasnął drzwiami i poszedł.

A ona oparła się plecami o balustradę terasy, ozdobionej wazonami pełnymi kwiatów i czekała, zapatrzona w zamglony świat i w niebo zachmurzone; zbierało się na deszcz.

W dobry pacierz przybiegła do niej Nastka.

— Dziedzic kazał, co byście przyszli! — szepnęła całując starą w rękę.

— Byliście? — zapytała cicho otwierając drzwi przed sobą do wielkiego przedpokoju.

— Całą noc przesiedziałam. Bóg ci zapłacić, coś o nim nie zapomniała...

— A dybym ja mu... wszystko... wszystko... — powiedziała gorąco otwierając wielkie drzwi szklane do pokoju ogromnego, pełnego krzewów zielonych.

Dziedzice siedzieli przy stole okrągłym, na biegunowych krzesłach.

Winciorkowa skłoniła się od drzwi ręką ku ziemi obojgu i zaczęła opowiadać, z czym przyszła.

— Dobrze, kupię od was łąkę. W jesieni będzie geometra, to przemierzy.

— Wielmożny panie, mnie zaraz potrzeba sprzedać, zaraz.

— Dlaczego wam tak pilno! Wyjeżdżacie, czy co?...

— Zaraz mi potrzeba pieniędzy.

— No, przecież jeszcze nie umieracie...

— Kto to wie, komu dzień, abo i godzina przyjdzie, kto to wie...

I tak jej nagle duma zmiękła, tak ją za serce coś ścisnęło, że łzy posypały się po jej twarzy bardzo obficie.

Dziedziczka, że to była tkliwa pani, zerwała się i rzekła:

— Co wam jest, czego płaczecie?

— Tak mnie jakoś zamroczyło... tak... — słowa uwięzły jej w gardle, w tym łkaniu, które nią wstrząsało.

Dziedzice byli zmieszani.

A ona oparła się plecami o ścianę i płakała; chustka zsunęła się z jej siwej głowy na kark i wystąpiła ostro jej twarz bardzo szlachetna, ale tak zmięta, tak szara, taka przegrziona bólami, tak napiętnowana męką, że miała wyraz maski tragicznej. Te łzy, których powstrzymać nie mogła, wyrwały z jej duszy całą jej troskę, całą jej historię. Płacząc, obejmując państwa za nogi, wypowiadała cichym, przebolełym głosem wszystkie swoje cierpienia. Wyżałało swoją dolę to biedne, obłąkane cierpieniem serce matczyne. Nie miała przed kim dać folgi uczuciom, a przed państwem mówiła wszystko, bo przecież jej biednej sieroty nie wydadzą na zgubę.

A dziedziczka, że to tkliwa wielce była pani, tak się przejęła tym smutkiem, aż łzy zwilżyły jej szafirowe oczy i twarz.

— Niobe! Chłopska Niobe — szeptała przez łyzy do męża po francusku.

— Jakie skamienienie bólu ma w twarzy! Jaka ekspozycja! Co za ton tych siwych włosów, tej twarzy rżniętej jakby w starej miedzi, jaka wspaniała w tym ruchu zniekania! Cudowna! Cudowna!

— Nie przerywajcie sobie... Płaczcie dalej — zawołała w ekstazie i przyniosła wielki aparat fotograficzny, bo namiętnie zajmowała się fotografią i malarstwem, ale uważała fotografię za rzecz donioślejszą.

Winciorkowa nic z tego nie rozumiała, oparta o ścianę, płakała cicho, a pani ociągając perły łez, z szafirowych oczów płynące, zdejmowała jej twarz kilka razy.

A dziedzic, kiedy stara uspokoiła się nieco, rzekł łąskawie:

— Zapomniałem, że mnie nie wolno kupować chłopskiego gruntu. Szkoda, bo kupiłbym waszą gospodarkę, na całej długości przylega do moich gruntów.

— Może, wielmożny panie, bo nasz grunt nie jest z ukazu, nie stoi w tabeli...

— Dlaczego?

— A bo grunt z łąką ociec wielmożnego dziedzica dali z dobrej woli mojemu nieboszczykowi. Są na to papiery...

— Nie wiedziałem o tym zupełnie.

— Mój to wywiózł starszego pana do obcych krajów, lekował, bo chory był... O, wielmożny pan był wtedy jeszcze przy pierś... maluśki...

— Sierotą zostałam z moim Jaśkiem, sierotą!... — zaczęła znów płakać.

Dziedzic, wzruszony jej opowieścią, chodził nerwowo po pokoju.

— Nie płaczcie, matko! Zrobię wszystko, co chcecie... Kupię od was i łąkę, i gospodarstwo natychmiast... Nie wiedziałem zupełnie, iż tyle wdzięczności jesteście wam winni... Teraz sobie nieco przypominam, jak przez mgłę, co nieboszczka moja matka mówiła mi przed śmiercią o was... Mały byłem... miałem osiem lat, jak umarła!

Dziedzic aż miał łzy w oczach ze wzruszenia i z dziwienia starej.

— Ależ nie znaleźmy was zupełnie! — wykrzyknął zdumiony.

— Juści, a skądby wielmożni państwo mogli nas znać! Przecie ino ciągiem we świecie, a to w jenteresach swoich.. jak każdy!...

Tak się dobrze porozumieli, że gdy wychodziła, dała jej dziedziczka butelkę wina i ciasta jakiegoś dla Jaśka, a dziedziec powiedział, że w ciągu trzech dni każe zrobić akt kupna i zapłaci.

Odprowadzili ją oboje państwo aż do ogrodu.

— A niech wam Pan Jezus błogosławi na dzieciach, na majątku, na honorze! O dobrzeście wy ludzie, dobre!... — szeptała, upojona ich dobrocią i rozradowana. Aże jakby wiosnę miała w duszy, bo nie poszła do domu, ale obeszła z drugiej strony wzgórze i klasztor i krzakami, chyłkiem dostała się do Jaśka.

Pilno jej było opowiedzieć mu wszystko i dać to pańskie wino.

A Jasiek z błyszczącymi oczami wysłuchał opowiadania i rzekł:

— Na mszę świętą na ich intencję trza dać.

— A przecie! Jak tylko zrobimy akt i pieniądze zapłacą, zaraz dam na wotywę.

— Pójdę i ja na nią.

— Hale! żeby cię kto zobaczył — zawołała przestraszona.

— I... jak będę zdrowy, to ja się tam nikogo bojać nie będę.

Nie rzekła nic, bo się nie chciała mu sprzeciwić, ale na odchodnym rzekła:

— Zmów se pacierz, Jasiek, bo cię już hardość rozpiera.

Ale i ona bezwiednie uległa tej samej hardości, bo ją opuścił lęk o wszystko, wracała do domu śmiało, z podniesioną głową. Przesłoneczniła jej duszę ta pewność uratowania Jaśka.

Z zapałem uwijała się koło gospodarstwa, tylko od czasu do czasu nachodziły ją jakieś ciężkie myśli, niby cienie kładły się na jej duszę i trapiły niepokojem, więc z głuchym bólem

patrzyła na pola, na lasy, na wieś... Nie mogła jeszcze uwierzyć, że to naprawdę trzeba będzie to wszystko pożegnać na zawsze!

Szklify się jej oczy łzami dziwnego żalu, opierała się na płocie i patrzyła w ten świat, w te pola, w te łąki, w to niebo — patrzyła, patrzyła, a w duszy miała ból, jaki czuć muszą drzewa, wrywane z korzeniami.

— Raz kozie śmierć! — szeptała z determinacją. — Co będzie, to będzie — dodawała ciszej i robotą głuszyła w sobie takie myśli. I dla nadania sobie odwagi namawiała Teklę do jazdy z nimi.

— A jak mój wróci z więzienia, to co? — odpowiedziała tamta krzątając się około dziecka, które zaraz miano chować.

— Przyjedzie za nami.

— Co mi po tym! wszystkie dobroci mi znane, chłopca nie mam, gruntu nie mam, dziecka nie mam, maciorkę, com od was miała, sprzedałam, aby chłopcu co grosza posłać — to ta już o siebie dbała nie będąc. Sierota ja biedna, sierota, jak ten kolek we płocie!

I już nic nie mówiły, bo przyszedł dziad kościelny, trumienkę zabił, wziął pod pachę i poniósł do kościoła, do kruchty.

Ksiądz po mszy wyszedł, odmówił modlitwę, pokropił święconą wodą, a dziad na postronek trumienkę wziął, zarzucił na plecy, w drugą rękę ujął krzyż i ruszyli na cmentarz.

Deszcz mżył znów uparcie. Kilka kobiet przyłączyło się do nich i powlekli się bokiem drogi, rozmięklej i pełnej kałuż i obsadzonej wierzbami.

Śpiewali „Kto się w opiekę”, ale tak jakoś cicho a niemocnie, że pieśń rozlegała się nad ziemią i opadała jak żałość na przyczerniałe zboża i obwijała się dokoła krzaków cierniowych, obsypanych obmokłym kwiatem.

A na cmentarzu było jeszcze smutniej. Drzewa stały bez ruchu z pospuszczanymi gałęziami, zmoknięte i drżące od zimna, a żółte mogiłki, po których pięły się rozchodniki, rozpościerały się przy ziemi, jakby pod ciężarem tych prostych, czarnych krzyżów, pozatykanych w ziemię. Kilka wron, spłó-

szonych przez idących, zerwało się z drzew i cicho połopotało do lasu. Dół już czekał gotowy, dziad spuścił trumienkę, aż ziemia jęknęła i rozprysnęła się woda której tam dosyć naciekło i zasypywał śpiesznie.

A Tekla, co jak martwa była cały czas, ocknęła się nagle, rzuciła na rozmiękły piasek z ogromnym krzykiem lamentacji:

— O sierota ja, sierota! Ani mnie chłopca, ani mnie gruntu, ani mnie pocieszenia nijakiego... O ty Jezusieczku kochany, wzięłeś se wszystko, wzięłeś. Wzięłeś mnie tego robaka kochanego!... Odeszła se ona dzęcina do Ciebie... odeszła, odeszła... Ostawiłeś mnie sierotę jedną, a w płakaniu ino, a w sieroctwie ino, a w ucierpieniu ino! O Jezu! Jezu! Jezu! O! o! o! — lamentowała rwąc włosy i zanosząc się od płaczu.

A wtórowały jej te pacierze i modlitwy, i westchnienia kobiet, klęczących dokoła mogiłki zasypywanej i szum brzoź zielonych stojących dokoła w białych, żałobnych koszulach i ten głuchy jęk trumienki spod padającej na nią ziemi, i ten deszcz, co siekł nieskończonymi włóknami, i to szarozielonawe, rozdeszczone powietrze.

A że deszcz się wzmagął, szybko się załatwili i poszli.

A na drodze, tak w połowie drogi, Winciorkowa spotkała sołtysa, który zawrócił i szedł z nią do domu.

— Byłem u was, ale mnie powiedzieli, żeście poszli na pogrzeb.

— Stamtąd idziemy, chowaliśmy dzieciaka Tekli, wiecie?

— A niechta marnieje, to złodziejskie nasienie!

— Hale! Hale!

Nie śmiała mu się przeciwiać.

— A ja do was wedle tego gruntu... — zaczął cicho i wolno.

— Jakiego gruntu? — zakłopotana się nieco.

— Waszego. Kupiłbym... A że krześcijan też jestem dobry, to bym was nie ukrzywdził. A ma kupić kto drugi, to lepiej niech swojak kupi... a to przecie my i ździebko powinowate, bo przecie wasza matka była mojego ojca rodzoną

wujną, nie baczycie to?... —

— Juści, że baczę... — odparła cicho, zaniepokojona jego propozycją.

— A sprzedać musicie. Sami przecie na gruncie nie zostaniecie, a Jasiek jechać musi jak najprędzej, bo chociaż urzędnik jestem i robię, co mogę, ale się sam ano nie rządę... Sprzedacie mi, co?

Nie odezwała się, tylko przyspieszyła kroku.

— Zapłaciłbym wam zaraz, gotowym groszem i mieliście z czym jechać... no, Winciorkowa, zgodzimy się, co?... —

— A no, jest tak, że już grunt to jakbym sprzedała. — powiedziała prędko.

— Komu?

— Dziedzicowi.

— Sprzedaliście! Dziedzicowi! To tak! — wykrzyknął rozwścieklony zawodem, bo już był pewnym, że mu się za pół darmo grunt dostanie. — To tak! Poczekajcie! To ja całą noc stawałem w karczmie, żeby rewizje zrobiły rano! to ja ochraniałem jak rodzonego syna, a wyście tak zrobili! Zwąchałaś się ze dworem, to niechże ci dwór pomoże, ty, ty małpo dworska, ty lakudro! ty! — krzyczał coraz wścieklej.

— Stul pysk ty ukrzywdzicielu! — wrzasnęła nagle.

— Ty złodziejska gębo!

— Ja złodziejska! Ja?

— A ty stara, ty...

— A ty oszukańcze, ty złodzieju! ty zbójcu. A strażnika w boru kto zabił?

— Widziałaś ty zapamiętała, widziałaś, co? — przyskoczył do niej z pięściami.

— A kto kowala spalił, może nie ty!

— A ty czarownico piekielna, adyć zamknę ci tę gębę, zamknę.

— Zamknij, spróbuj! Jeszcze są sądy... jeszcze jest sprawiedliwość... trafię ja wszędzie, trafię...

Tak się zaczęły przezywać, tak rwać z pazurami do siebie, tak przyskakiwać, że aż ich kobiety idące z pogrzebu, rozdzielić musiały, bo sołtys miał już twarz podrapaną, a Winciorkowej chustka nurzała się w błocie.

Zabrały Winciorkową pomiędzy siebie i prowadziły do chałupy, a sołtys szedł za nimi i krzyczał:

— Już ty mnie popamiętasz całe życie. Już ja wam zapłacę! Będziesz ty skomleć jak pies, jeno Jaska zakują w kajdany i posła na Sybir. Już ja wam zapłacę. — Charczał jak pies, duszony wścieklistną.

XI

Wszystko w Przyłęku szło koleją zwykłą.

Po paru dniach słoń wiosennych zajaśniało słońce, wypiło wody z pól i wysuszyło nieco drogi; pogoda ustaliła się na dobre i wypędzała ludzi do roboty. Kto wychodził z pługiem, kto dosadzał resztkę kartofli. Kto dosiewał jarzyn, a kto znów z pól nizinnych spuszczał nagromadzone wody i kopał przegony; cała wieś była w ciężkiej rolnej pracy a w znoju. Ale robota szła niesporo i jakoś opieszale; nie słychać było w polach gwarów wesołych, a śmiechów, a podśpiewywań.

Ludzie poruszali się wolno, ociężale, jakby zwarzeni smutnymi myślami, opuszczali ręce, wstrzymywały konie w pługach, stawali na roli i przez miedzę, przez zagony, przez zielone półka żytnie prowadzili rozmowy.

— Wiecie! Wczoraj sześcioro z Bieżywód poszło do Brazylii.

— Prawda! A mówią, że z Malowanej Woli pół wsi się wybiera.

— To komornicy! a w Górkach trzech gospodarzy sprzedało grunta, sprzedali chudobę, sprzedali wszystko i poszli.

— Moście wy, a co to z tego będzie!

— A co ma być!

— Pan Bóg karę na naród spuścił i rozum mu odebrał.

— Zmarnuje się naród i tyła! — zajęczała jakaś stara.

— Stareście, a pomiarkowania nie macie! Dlaczego się ma zmarnować!

— A to w tyli świat iść, na niewiadome. Pedają, że tam mowy naszej nikt nie rozumie, że wiara insza, że gorąc taki, co garnek z kartoflami, aby ino w piach wrazić, to zaraz się ugotuje!... A na morzu powiadają...

— Ale, nie wszystkie przecie idą za morze.

— Do miemców na robotę idą.

— A bo to u nas roboty nie ma, co! Idą ino próżniaki, a pijanice, a obieżyświaty, idą ano na rozpustę i zatracenie.

— Żebyście, Antoni, cepem tak bili mocno, jak ozorem, zaraz bym was najął do młocki, a dobrze zapłacił.

— Żebyś ino co miał młócić! Wio, gniada, wio! — zawołał stary, świsnął batem, ujął pług w ręce i pochylił się, orał dalej.

— Ale, mają robotę, a gdzie? Może u chłopów? Każdy by dwa razy tyle zrobił, co robi, żeby tylko miał, nie potrza mu najemnika. Może we dworze? adyc i tam robią, bo co mają biedaki robić! robią i w kopaniu, to dobrze, jak dostaną pieniądze na Boże Narodzenie, abo i na zwisnęq. A może do fabryków iść! na zmarnowanie! Naszemu człowiekowi potrzeba gruntu, dają im w Brazylii, to tam i idą... Żyją tam inne, to czemu by nie miał żyć nasz naród! A już jak iść na robotę, to przecież lepiej do miemców, jak do swoich! Zapłacą, uhonorują i jeszcze się tyli świat zobaczy.

— Prawda, prawda! — potwierdzili prawie jednogłośnie.

— I każdy z groszem powraca z Prus.

— I wystrojony kiej dziedzić.

— Kara Boska to wszystko razem, nic więcej! — mruzczała niechętna.

Takie i tym podobne rozmowy ciągnęły się codziennie po polach, chałupach, drogach, gdzie się tylko ludzie zeszli; a codziennie prawie zjawiał się w jakiejś wsi Herszlik i cichaczem, pod osłoną ciemności leśnych zamawiał na robotę do Prus lub do wyjazdu do Brazylii. A jako skutek jego roboty żarliwej, co parę tygodni wychodziły całe gromady ludzi. Szli młodzi i starzy, szły kobiety i wyrostki, z węzełkami na plecach przesuwali się cichaczem, odprowadzani przez rodziny wśród płaczów i tysięcznych pożegnań. Nie pomogły kazania

księży, oddziaływania dworów, ani pilnowania policji, lud powstawał i olśniony obietnicami lepszej doli, rozpalony ciekawością nowych krain, rzucał wszystko i szedł.

Tak było przez parę tygodni, że Przyłęk cały żył w ciągłej gorączce wychodźstwa i w posępnym tajemniczym nastroju cichych gawęd o emigrantach, o nowych krajach, o przyszłej doli.

Tak byli wszyscy tym pochłonięci, że mało zwracano uwagi na Jaśka Winciorka, który wyzdrowiawszy, przestał się ukrywać i bardzo zuchwale pokazywał się w różnych miejscach.

To go drwale w lesie widzieli, to pastuchy na łąkach, to dworscy ludzie w parku, to był w karczmie, to szedł przez wieś, w biały dzień, hardo spoglądał na ludzi, rzucał pozdrowienia, widać, że nie bał się nikogo. Imponowało to wszystkim.

— A niech sobie chodzi spokojnie, dopóki może! Co to! zabił kogo, okradł, podpalił! Że ta trafił widłami pod rządcowe żebra, to i co? Mógł mu dziewczuchy do stodoły nie ciągać.

— Powinien teraz rządcy zapłacić za siebie i za wszystkich, a to mnie złapał w lesie z siekierą i zaraz do sądu. Zapłaciłem 15 rubli! A co uciąłem, chojaczka kiej ręka! Żebyś, ścierwo, Boga przy skonaniu nie oglądał!

— Ja tam nie Judasz, co bym go wydawał.

— To raz, a potem to on by darował, co?

— Przecie, żeby nie darował, zawzięta jucha.

— Bez dwa roki siedział w kreminalu, to on już praktyk!

— Przecie, z takim to trza kiej z jajkiem...

Tak wieś mówiła o nim, a on jakby wiedział, że nikt się nie ośmieli go wydać, pokazywał się we wsi coraz częściej, aż raz na środku drogi spotkał się z sołtysem.

Wilcza twarz sołtysa ściągnęła się jak do kłania, rzucił się do Jaśka.

— Te, kundlu! nie ruchaj, bo ci kulasy poprzetrącam!

— mruknął Jasiek.

— Złodziej! Łapać! Chłopcy, dawać postronki! Łapać

go! — krzyczał rozwścieklony, ale nikt mu nie śpieszył z pomocą, wszyscy pochowali się za węgly.

— Sołtysie, idźcie sobie swoją drogą, nie zaczepiajcie — prosił chłopak.

— Do kancelarii, do kryminału, ty złodzieju! — rzucił się na niego.

Jaśkowi zbrakło cierpliwości, uderzył go w łeb raz i drugi, rzucił na ziemię, skopał po bokach co się zmieściło i poszedł.

A sołtysa zanieśli do domu i chorzał parę dni.

— Pono was, sołtysie, gąsior potłukł, czy co? — kpili chłopcy potem.

— Juchy! żadnego pomiarkowania nie mają dla takiej honornej osoby!

— Ale! tak zbić sołtysa, kiej prosty gliniany garnek!

— A to baba kijanką szmat lepiej nie spierze...

A sołtys nie rzekł nic, tylko gnany wściekłością i wstydem, pobiegł do kancelarii, a potem długo konferował z rządzą. Za to najbliższej niedzieli, przed kościołem, ogłoszono przy bębnie:

— „Ze kto złapie Jaśka Winciorka i dostawi do kancelarii gminnej, ten dostanie pięćdziesiąt rubli nagrody”.

— Kawał grosza, a czy to ino rzetelnie dadzą! — mówiono przed kościołem.

— Taki zbój! Co do grosza wypłaca! — zawołał sołtys.

Parę dni wrzało o tym we wsi, we wszystkich chałupach, nikt wprawdzie wydawać Jaśka nie myślał, ale pięćdziesiąt rubli... zawsze to kawał pieniędzy. Jaki taki z chciwszych obliczał już, co by można kupić za te pieniądze... i oglądał się posępnie.

A sołtys przy tym nie próżnował, zacięła mu się dusza zawziętością taką, że ino pił dnie całe, jak wilk tropił nocami Jaśka i podburzał chłopów, tak skutecznie, że po paru dniach już po chałupach mówiono:

— Kiedy tyła pieniędzy za niego dają, to musi być, co to zbój!

— Podobno dziedzicowi z Woli wziął cztery konie.

— Żeby to tyle... ano w Koziełkach pono przenocować

go nie chcieli, to przez złość podpalili stodołę... pół wsi się z tego skurzyło...

— Prawda! Na Miły Bóg, prawda! Przyjeżdżały pogorzelałki do kancelarii i mówiły, że ich ktosik spalił.

— Jezus! taki zbój, taki podpalacz!

Juści, że w tym wszystkim nie było ani źdźbła prawdy, lecz tylko sołtysowa złość. A że zdarzyło się w tym czasie, iż kilka partyj, emigrujących cichaczem przez granicę, schwytano i zawrócono do domów i trochę do kozy, to sołtys głośno już krzyczał, że to robota Jaśka.

I tym ostatecznie rozstrozył wieś na niego.

Odczuła to najpierw Winciorkowa, bo odsuwali się od niej, jak od zapowietrzonej, a gdy przechodziła przez wieś, leciały za nią głosy:

— Złodziejska mać!

— Ludzie to są, jak te świnie, co by im nie rzucić, żrą wszystko — myślała z goryczą, bo żarło ją to niezasażone postpowanie. Ale zapominała o tym, zajęta przygotowaniami do wyjazdu.

Sprzedawała dziedzicowi gospodarke, wyprzedawała z wolna różne ruchomości i czekali już teraz tylko na Herszlika, który miał ich przeprowadzić do Prus.

— Żeby to już najprędzej. — Myślała pełna trwożnej niecierpliwości, bo przecież wiedziała, co sołtys gada po wsi, jak się odgraża a potem, to chociaż serce jej rosło na widok jedyńka zdrowego, silnego jak młody koń, bała się jego junactwa, jego nieustępliwej natury.

— Jak się spotka ze strażnikami, to nie ucieknie, tylko będzie bił! to już taki gatunek! Jego ojciec był taki sam! — mówiła do Tekli z dumą i obawą.

— Sielny parobek. Powiedali, co ino raz sołtysa wyciął a tamten już w błocie, a przecię sołtys kawał chłopca! Loboga, taki parobek!

— Dał ci mi Pan Jezus pociechę, dał!

— A gibki w sobie, jak i mało która dziewucha! — mówiła Tekla z zapałem.

— Juści, gibki on, ten dzieciak mój kochany, gibki...

— A jak popatrzy na którą, to już nogami przebiera ją, jak te źrebice...

— Ale, nie przebierałyby... chłopak kiej malowanie...

— Obetrze się o człowieka, to ażę cosia mroczy i skóra cierpnie...

— Nie ma takiego drugiego, nie ma! — wykrzyknęła z dumą stara.

— Oj, nie ma takiego... nie ma!... — szepnęła ciszej Tekla i umilkła, opuściła głowę, aby ukryć twarz rozpaloną i oczy rozgorzałe. A bo ona wiedziała, co się z nią działo od czasu, jak zobaczyła Jaśka po wyzdrowieniu?

Siedziały w milczeniu, zajęte myślami o nim, aż on wszedł do izby.

— Chłopaku, co ty robisz! w biały dzień się pokazujesz!

— Cichoście, matko, nic mi nie będzie.

— A to sołtys dzień i noc wypatruje cię tylko, jak ten jastrząb.

— Niech przyjdzie mnie wziąć!

— Sam on nie przyjdzie, a z całą wsią...

— Z całą wsią! — wykrzyknął zapamiętałe. — Niech przyjdą, niech mnie bierą... niech mnie wydadzą... aby kamienia na kamieniu we wsi bym nie zostawił. — Aż poczerwieniał ze wzruszenia.

— Jasiek! Niech cię Bóg broni. Jasiek! — uspokajała matka.

— Cała wieś, to jak te psy wściekłe, aby ino człowieka zagryźć! — szepnęła Tekla.

— Nie powiadajcie byle czego! — burknął na nią ostro i zabrał się do miski, którą matka przed nim postawiła.

A Tekla nie rzekła nic, tylko patrzyła długo na tę głowę, okrytą gęstą, bujną czupryną spadającą mu aż na czoło, które ruchem stałym odrzucał na bok, na tę twarz rumianą, pełną sił i młodości, na ten długi nos, jakby ze sznura upleciony, na te modre oczy połyskliwe, na te czerwone, pełne usta, poza którymi połyskiwały białe, drobne i ostre jak u psa zęby, na te brwi czarniawe, kieby węglikiem umalowane, na te bary rozrośnięte — patrzyła... patrzyła... patrzyła... i dusza jej napełniła się dziwną słodkością i boieniem, wszystka krew zbiegła jej do serca, a wszystkie łyzy cisnęły się do oczów, aż w końcu wytrzymać nie mogła, porwała się gwałtowniej i uciekła z izby.

— Bąk ich jakiś ukąsił! — zauważył jedząc i spoglądając w okna na przemian.

— To po dziecku tak ją jeszcze ciska. Kiedy jedziemy? — zapytała się ciszej.

— W niedzielę. Już ja czekał Herszlika nie będę. Kto inny przeprowadzi.

— Loboga, w niedzielę, to już za dwa dni!

— Pojutrze.

— Jezu mój Miłościwy. Już w niedzielę! — i płakać zaczęła.

— Nie bójcie się, matko, przecież razem i z Nastką pojedziemy, pieniądze mamy, to co nam może źle być. Nie frasujcie sobie ano głowy po próżnicy... Gospodynią wy tam będziecie na włókach, nie na morgach!

— I to już w niedzielę trza iść? — pytała nie wierząc jeszcze sobie.

— W niedzielę z wieczora, przyjdzie szwarcownik i powiedzie nas...

Stara jak mogła tłumiła płacz, ale mimo to całe sznury łezoczyły się po jej twarzy i lęk pełen żalu rozrywał jej serce.

I on nie mógł spokojnie usiedzieć i patrzeć na matkę, zjadł z miski, wziął chleba w kieszeń i poszedł.

Włóczył się jak pies bezpański po polach i po lasach, przystawał, patrzył, rozglądał się dokoła i ruszał dalej.

— O Jezu! o Jezu! — jęczała mu dusza w strasznym żalu!

— I... raz kozie śmierć, co będzie, to będzie! — dodawał sobie odwagi.

Ale dusza coraz bardziej mu miękła ze zgrzyzoty, nie chciał już myśleć o wyjeździe, kładł się po brudach i godzinami leżał wpatrzony w niebo, w śpiewanie skowronków, w pokrzyki, co leciały ode wsi, nisko nad zbożami, w brzęki owadów — usuwał się w tę ziemię czarną, pulchną, okrytą zielenią, w tę ziemię rodzoną, w tę ziemię kochaną!...

— Jezus! Jezus! — krzyczał z bólu i płakał jak dziecko.

A nazajutrz, w sobotę rano, wsunął się cichaczem do domu i już suchymi oczyma patrzył, jak matka oddawała Tekli wszystkie domowe sprzęty, których ani zabrać, ani sprzedać nie było można.

Stara chodziła po wszystkich kątach z zapuchłymi od płaczu oczami.

— Tekla! Weźcie i te ławki, wszystko, co jest w chałupie, wszystko... — wołała, gorączkowo wyciągając sprzęty na środek.

Tekla brała, ale bez wylewów radości, obojętnie patrzyła na tyle dobra, nawet dar ogromnej pierzyny nie wrzucił jej martwej, zmizerowanej twarzy. Poruszała się jak automat, to szła po wodę, której przynieść zapomniała, to zaczynała szorować naczynia, to długo bezmyślnie przypatrywała się wszystkiemu, była jakby niespełna przytomności.

Milczenie ciężkie, smutne, pełne łez niewypłakanych i żałości panowało w izbie.

— To już jutro, synu? — rzucała cicho stara.

— Jutro, matko, jutro... — odpowiedział cicho.

Już wszystko było ułożone, musieli do dnia wyjść, skryć się w dołach pod lasem i poczekać na przewodnika, który mógł przyjść przed południem jeszcze, a może dopiero wieczorem.

A potem w świat! w szeroki, obcy świat!

A tymczasem to oczy ich wciąż ślizgały się po tych kątach drogich, po obrazach, po ścianach, wybiegały przez okna na zabudowania, na wieś, na pola, na wieżę kościoła — spotykały się chwilami, tonęły w sobie i w tej gorzkiej żałości rozstawania i zasłaniały się powiekami prędko, prędko, żeby powstrzymać te ciężkie, ołowiane łzy...

— Pójdę do Nastki, muszę przypomnieć, żeby nie zaspiała... — porwał czapkę i uciekł z izby.

Okrzyknął klasztor i chyłkiem przelazłszy mur, wsunął się do parku dworskiego, skrył się w wielkim świerkowym klombie, rosnącym w szczycie dworu, a tak gęstym i osłoniętym od ziemi gałęziami, że żadne oko nie mogło go dojrzeć.

Czekał długo, aż w końcu zobaczył Nastkę, wybiegającą po terasie.

Zagwizdał, bo był to sygnał umówiony dziewczyna wkrótce przysła.

— Nastuś! to jutro do dnia, a nie zaśpij — szepnął.
— Tak już czekam, tak czekam, że już ścierpieć nie mogę...

— Nie boisz się, co?

— A czego się mam bać! a bo to nie z tobą, nie z matką, co?

— Dobrze, Nastuś! A ten, co nas przeprowadzi, mówił, że zaraz za granicą to będziemy mogli wziąć ślub. Już ty się niczego nie bój, krzywda ci przy mnie nijaka nie będzie.

— A bo to ja nie wiem... dobryś taki Jaśku, że... że...

— A powiedziałaś pani, że dopiero w poniedziałek.

— Powiedziałam... Pani mi dała dziesięć rubli i złoty krzyżyk, o ten!

Odwróciła się nieco i wyciągnęła zza stanika krzyżyk na czarnej tasie.

— Niech jej Pan Jezus da co dobre.

— I dała mi pani tę książeczkę, tu pono stoi wypisane wszystko: którądy i gdzie jechać, wiele płacić i do kogo w tej Jameryce iść... wszystko... a tu jest także malowanie już tak zrobione, że tam jest każda woda i góra każda, i drogi... Pani mi wszystko pokazywała i uczyła. — Wręczyła mu mapę i książeczkę: schował ją do kieszeni i rzekł:

— Obejrzę sobie potem.

— A znasz się to na tym?

— Hola, bo mnie to ksiądz mało lachą smarował, jak mnie uczył! a potem to i uczyli mnie tam... nie mógł wykrztusić słowa: Więzienie.

Od dworu rozległ się głos jakiś, wołający: Nastuś!

— Już polecę, bo ino wypadłam po agrest dla kuchacza...

— A pamiętaj! Ino świt, o drugich kurach. Wszystko ostaw, weź tylko na siebie, co masz najlepsze, nie żałuj, już ja ci kupię lepsze... Przychodź do matki.

— O samym świtanium! Ano koszule to zabierę i tę spódnice, co od pani, i tę chustkę dużą, com ją też dostała, i wełniak, bo jakby ziąb był...

— Dobrze, Nastuś, dobrze, a ino nie zaśpij!

— Zaspalabym!... ty... mój... ty najmilszy! — Obję-

ła go rękami, zwarli się w uścisku i rozerwali natychmiast, bo znów wołano Nastki.

Jasiek wy dostał się z gęstwiny, przeczłogał się do grabowej starej alei, okrążając park cały i zmierzał szybko do swojego przejazdu, gdy na skrócie spotkał się oko w oko z rządcą.

— A tuś mi, braciszku!

Jasiek wzdrygnął się cały ze strachu i zmartwia. Przejazd miał o dwa kroki, jeden skok, a byłby na murze, ale nie ruszył się, przykuły go rządcy rozgorzałe oczy i tak obezwładniły, że dopiero potężny cios kijem, jaki dostał w głowę, obudził go — i już nie uciekał, zawrzała w nim krew, ożyła pamięć krzywd, zapragnął się pomścić.

Napiął się cały jak wilk i osunął na rządcę.

Zawiązała się krótka, straszna walka.

Rządca krzyczał na ludzi, ale ucihł, schwycony za gardło, przewalili się na ziemię i tarzali się jak dwa psy gryzące się na śmierć.

Rzężenia, ryki chrapliwe, przekleństwa, ciosy rąk i nóg — wszystko to migotało, jak błyskawice i przewalało się po wyżwirowanej alei...

Jasiek słabł, czuł, że nie zmoże, więc z siłą szaleństwa i rozpaczony wy dostał się na wierzch i z całej siły uderzył go kolanami w brzuch — rządcą żygnął krwią i opadł nieprzytomny.

Nadbiegli ludzie, ale Jaśka już nie było, gnał jak jelen do lasów.

XII

Noc była ciepła, cicha — wiosenna.

Gwiazdy świeciły bladawo w przepaściach nieba a z ziemi, pokrytej mgłami, podnosiły się śpiewy ptaków, a czasem chór żab zarechotał na łąkach. Wieś spała cicho, prawie bez oddechu.

Tylko Jasiek czuwał. Skoro noc głucha zapadła, wysunął się z kryjówki swojej, gdzie siedział od wczoraj, od tej ucieczki z parku.

Nic, ani światełka nigdzie, ani głosu żadnego słychać nie było.

Do świtu było jeszcze daleko.

— To już jutro, za parę godzin i w świat daleki... daleki... — myślał — i jakby zahypnotyzowany, wyszedł na drogę przy klasztorze i poszedł do wsi.

Nie wiedział przecie, po co idzie, zapomniał o niebezpieczeństwie, zapomniał o wszystkim i wolno szedł środkiem drogi.

Wieś spała tak głęboko i spokojnie, że przez pootwierane okna słychać było chrapania, a gdzieś tam, pod przyzbami w sadkach bielily się postacie śpiących na świeżym powietrzu.

Przyglądał się każdej chałupie, każdemu obejściu z uporem dziwnym człowieka, który się skupić nie potrafi. Opierał się często o kamienne płoty — przystawał, a potem znów szedł, ale szedł wolniej — ciężej.

Czasem pies jakiś warknął przez sen na niego, czasem koń w stajni zarżał, lub zakrzyczało domowe ptactwo na podwórzach — i znów była cichość taka, że Jasiek oglądał się na wszystkie strony, jakby z przerażeniem.

Nie mógł nic myśleć, nic — trzęsło mu się serce i dziwna słabość go ogarniała. Za ostatnim domem usiadł na drodze, pod starym krzyżem bez ramion i bezmyślnie patrzył na pola omglone.

Czuł się tak źle, jakby w umieraniu...

Dobrze już po pierwszych kurach gwiazdy zmętniały, a wkrótce na wschodniej stronie głęboki granat nieba rozjaśnił się nieco. Stamtąd szło słońce, ale było jeszcze daleko... daleko...

Jasiek siedział, jak martwy, nie spał, ale i nie czuwał, nie myślał. Pochylał się w sobie coraz bardziej, jakby patrzył i zwolna się zsuwał w jakąś głąb bezdenną, w pustkę, która się rozwarła nagle w jego duszy.

Noc się rozjaśniła zwolna; już mgły zeszkliły się bardziej i opadały nieco, wieś przyciemniała, a w polach i nad

drogą zaczynały się wyłaniać z mroków kontury drzew, potem zamajaczyły sznury zagonów, a potem droga coraz wyraźniej pokazywała swój obraz.

Jasiek bezwiednie się podniósł i wolno powracał przez wieś, do matki... już było tyle przedświtowego brzasku w powietrzu, że dobrze widział puste podwórza, pootwierane wierzeże i ludzi śpiących na dworze. Wszystko spało tak głęboko i cicho, że słychać było szmer rosy, spływającej z liścia na liść.

Matka siedziała na progu z różańcem w ręce, a Nastka drzemała na ławie.

— Już czas... — szepnął ledwie dosłyszalnie.

— Czas... czas... czas...

Przebudziła Nastkę, wzięli węzełki na plecy i wyszli.

Tekla zanosila się od płaczu, a pies, nie spuszczonej na noc z łańcucha, zaczął skomleć żałośnie, że Jasiek powrócił go odwiązać, ale pies nie poszedł za nimi, uciekł na drogę i zaczął wyc przeraźliwie.

Przeszli podwórza i miedzę wśród zbóż, ruszyli ku lasowi.

Nikt się nie odezwał, nikt się nie obejrzał na wieś, ni na dom własny, nikt nie zapłakał głośno, szli prędko, jakby uciekali, tylko kiedy niekiedy wyciągnęła się którą ręką i przesunęła dłonią po kłoszących się zbożach... tylko kiedy niekiedy któreś oczy zmętniały nagle łzami... tylko kiedy niekiedy któreś piersi zaczęły się trząść rozrywaniem żalem...

A wiatr przedwschodni powiał po polach i rozkołysał zboża, że chyliły się na miedze, przed nimi, jakby do nóg...

Ostańcie gospodarze... ostańcie... ostańcie... jakby szemrały, płacząc rosami.

A te drzewa po polach, te tarniny, te grusze stare wyciągały gałęzie przed nimi, wysadzały drogę i szumiały głucho: o! o! o!

A światła zórz drgały nad polami, przebłyskiwały w rosach krwawo, jak oczy zrozpaczone, jak oczy zaszkłone łzami, odbijały się w wodach, jak oczy szukające, obłąkane, — rozsiewały po świecie trwogę i niepokój...

A oni szli coraz prędzej, pełni żalu, pełni męki, pełni łez.

Pod lasem, już na rozstajach dróg, gdzie Chrystus na krzyżu wyciągał swe ofiarne ciało i umordowaną głowę pochylał na piersi, pękła ich moc panowania nad sobą. Rzucili się na kolana, do stóp krzyża i wybuchnęli płaczem rozdzierającym.

— O mój Jezu, mój Jezu! mój Jezu! A ochfiarujemy my się Tobie... a oddajemy się, sieroty biedne, Tobie, Cze-
stochowska, pod Twoją świętą opiekę, pod Twoją... — wołały ich serca pełne żalu...

A potem odpoczęły trochę, bo już im sił brakowało z utrudzenia i płaczu.

— Już ja cię nie zobaczę, ty ziemio rodzona, już cię nie zobaczę, ty, mój świecie, już cię nie zobaczę... — szeptała Winciórkowa i ostatnimi spojrzeniami leciała na pola, na wieś, na ten jej świat cały, rozwidniony światem, i brała go obficie w siebie, jak Ostatni Sakrament, jak namaszczenie ostatnie na drogę daleką...

A potem na ostatnie pożegnanie, bo już iść trza było, przywarli piersiami do tych zagonów rodzinnych, do tej matki-ziemi, i spieczonymi ustami całowali jej łono święte... po raz ostatni...

— Chodźcie, matko, chodź, Nastuś! bo już biały dzień, jeszcze kto zobaczy! — przynaglał Jasiek, bo kobiety nie mogły się utulić w płaczu, ni oderwać od ziemi.

I wkrótce pod osłoną lasu dostali się do dołów po kartoflach, w których Jasiek czas jakiś przepędził; tam, wedle umowy z przewodnikiem, mieli czekać na niego.

A że byli pomęczeni, usnęli wkrótce snem kamiennym.

Przebudzili się późno dosyć, bo akurat dzwoniło na nieszpory.

Stara rozwiązała tobołek i zaczęły się pożywiać, bo sro-
dze byli zgłodnieli.

— Na nieszpór sygnują.

Coś długo nie widać szwarcownika.

— A pewny to człowiek, synu, co?

— Przecie, na pewnoś, że przyjdzie, to dał mi dzie-
sięć rubli.

Jedli dalej w milczeniu spoglądając w błękitne niebo, którego skrawek widać było przez otwór dołu.

Naraz Jasiek się zerwał, jakieś splątane głosy rozległy się nad nimi.

Wziął kij, przysunął się do otworu i słuchał długo...

— Jest dużo ludzi... słyhać, że idą... cichojcie... — szepnął — wspiął się nieco, żeby wyjrzeć na świat, ale natychmiast opadł na dno...

— Chłopy nasze ze strażnikami... obława... to na mnie... Jezu! — wyrzucił prędko z siebie... gorączkowo... — Siedźcie tu cicho... nie ruszajcie się do nocy... ja... ja wyjdę... Bór o parę kroków... żeby nie wiem co, to się do niego dostanę... a tam mnie już nie dostaną... nie... jak się... ściemni... będę was czekał kiele przyłückiej karczmy... Idą... szukają po dołach... o... o... — szeptał cicho, coraz ciszej... przysiadł nieco, bo dygotał cały ze strachu i niepokoju, kobiety zmartwiałe oniemiały także... wszyscy słuchali tych głuchych głosów, które były coraz bliżej... bliżej...

Jezus! Jezus. Już słyhać było ciężkie stąpania i stuk kijów o kamienie.

Jasiek zapiął kapotę, ścisnął kij, wypatrywał się czas jakiś w otwór.

— Przy karczynie... pamiętacie... — szepnął, przeżegnał się nerwowo i nie obejrzawszy się nawet na kobiety, wyskoczył z dołu na światło...

Zatrzymał się na chwilę, bo oślepiło go słońce.

— Trzymaj, łapaj! trzymaj! — podniósł się nagły wrzask dookoła.

Był otoczonym zupełnie, ze wszystkich stron posuwała się ku niemu zwarta falanga chłopów z ogromnymi kijami w rękach. Byli od niego o kilkadziesiąt kroków, wchodzili już na wzgórze, w którym były pokopane doły.

— Do boru! — pomyślał i rzucił się z największym impetem w stronę lasu na ścianę ludzi, najeżoną dziesiątkami kijów i rąk wyciągniętych; ściana się zachwiała, pękła i w połowie runęła na ziemię razem z Jaskiem. Zawiązała się krót-

ka a sroga walka. Kilkadziesiąt ciał skłębiło się w gwałtownym wirze i potoczyło po spadku wzgórza.

Jasiek się nie dał, z taką wściekłością i szaleństwem się bronił, z taką zapamiętałością prał kijem, kopał, gryzł, szarpał — że wyrwał się ze szpon i pognął ku wsi, bo drogę do lasu zastąpili inni chłopci, biegnący na pomoc pierwszym... Uciekał, jak wilk, goniony przez całą psiarnię obławy, która się rozwlekła za nim i z ogromnym wrzaskiem goniła.

Uciekał jak wichur... aby tylko do wsi i na drugą stronę pól... do lasu...

Wydobywał wszystkie siły, leciał na skrzydłach szaleństwa i rozpacz, a zaczynał ucywiać, że uciec nie potrafi, że zbraknie mu sił, bo las był jeszcze daleko... pogoń coraz bliżej... a jemu brakowało tchu... mroczyło go... potykał się... zboża już bujne płątały mu nogi...

— Trzymaj... łapaj!... — wrzało coraz bliżej za nim:

Podrzucał się jak piłka, ostatnimi wysiłkami... jeszcze parę stajań... jeszcze... O Jezu!... aby do ogrodów... pomiędzy drzewa... Jezus!... o Mario!... o! o! Piersi mu pękały z wysiłku, nie miał już sił — krew zalewała mu oczy... nic nie widział.

Dopał ogrodów, biegł nimi jeszcze przez chwilę i upadł pod jakąś stodołą.

— Nie strzymam... — pomyślał po chwili zobaczywszy przez drzewa twarze goniących.

Był tak zmęczonym i rozbitym w sobie, tak wyczerpanym, że poruszyć się nie mógł.

— A niech tam! A niech tam! — snuło mu się ciężko w mózgu i ogarnęła go taka straszna apatia, takie zniechęcenie, że już mu było wszystko jedno...

Dyszał tylko, obcierał podartą w bójkę twarz, i z jakimś spokojem obłąkania, nieprzytomności, wpatrywał się w sylwetki ludzi nadbiegających.

Był tak śmiertelnie zmęczonym, tak strasznie zmęczonym, że już nie miał sił, ani woli, ani myśli jednej...

Jęczał jak dziecko umierające i lzy zdenerwowania płynęły mu strumieniem i obmywały twarz pokrwawioną, a serce przenikać zaczął straszny, nieopowiedziany żal...

Naraz uniósł się nieco, ludzie byli już o kilkadziesiąt kroków, fala krzyków rozbrzmiała w ogrodach!

— Nie, nie daruję! nie daruję — wyszeptał — ożywił się nagle, myśl zemsty wstrząsnęła nim jak huragan, zapaliła błyskawice w oczach, dała moc.

Porwał się na nogi, wyrwał pęk słomy z poszycia stodoły, podpalił zaparkę i skoro buchnął płomień — przytknął go do poszycia i rzucił na dach!...

Dach w tej chwili stanął w płomieniach!

— Nie daruję! nie daruję! — szeptał dziko i taką zawziętością cały się przepoił, taką radością zemsty przesycił duszę, tak w niej skamieniał, że wolno, obojętnie poszedł wzdłuż zabudowań, a potem zapadł w żyto już wykłoszone i czołgał się na czworakach ku lasom...

Pogoń ustafa.

Po paru minutach odwrócił się i spojrzał na wieś.

Stodoła była cała w ogniu, płonęła jak pęk słomy, a zajmowały się już sąsiednie zabudowania i domy!

— Popamiętają mnie, ścierwy! Popamiętają! — szepnęła z mściwością i nie mogąc już na czworakach, chyłkiem biegł, przyspieszał kroku...

Krzyk ogromny rozległ się nad wsią i biegł po polach... za nim...

— Gore! gore! gore!...

Do lasu było już niedaleko, więc się wyprostował i nie ukrywając już, biegł śpiesznie...

Już widział czerwone pnie sosen, zielen liści, już wionął na niego uroczysty, jakby kościelny chłód lasów, pełen głębokich szumów.

Jeszcze chwilę, a będzie wolny zupełnie, wolny i nasycony zemstą...

Zadrżał nagle i przystanął.

Dzwony zaczęły bić głucho, ponuro, na trwożę...

Odwrócił się i aż krzyknął mimo woli.

Pół wsi stało w ogniu.

— Popamiętajcie mnie! Popa... — nie skończył, jakaś groza straszna targnęła go za serce, słowa zamarały mu w gardle, z rozszerzonych źrenic wyjrzał strach, przerażenie... zdumienie okropne.

— Wieś w ogniu! cała wieś! — zaskowyczał sinymi wargami — Jezus! Jezus!

Zaczął uciekać, ale nagle odwrócił się znów do ognia.

Dzwony były wciąż, były potężnie, rozpacznie, a razem ze spizowymi głosami biegł od wsi straszny krzyk, jęk przerywany i rozlewał się po zielonych, szumiących zbożami polach i leciał w przestrzeń, ku słońcu jasnemu...

Jasiek powracał tą samą drogą, nic już nie wiedział, co się z nim stało, wpatrzony w szalejącą groblę płomieni i dymów, usypaną nad wsią, szedł martwy z przerażenia i zgrozy.

Cały środek wsi, po obu stronach drogi już był w ogniu. Płomienne grzywy podnosiły się coraz wyżej, opadały na ścianę, przerzucały się, pieniały gęstym czarnym dymem i chlustały czerwoną, straszną falą ognia z budynku na budynek, z chałupy na chałupę, poprzez drogę, poprzez ogrody, które również palić się zaczęły.

Dzwony uderzyły na trwogę, a wieś całą zalał okropny krzyk rozpacz, lamenty i płacze.

Ludzie biegali oszaleli zupełnie, nikt nie ratował, a ogień z triumfem szedł coraz dalej, ogarniał coraz szerzej, żarł coraz potężniej, szedł jak zły duch w chmurze dymów, przewalał się po domach, a gdzie stąpił, gdzie jego ognisty blask padł, tam buchały strugi ognia, szło nieszczęście i były krzyki rozpacz ludzkich.

Nikt nie ratował, bo nie było czym, nie było narzędzi, nie było wody, nie było rąk, nikt nie miał przytomności, a przy tym połowa męska ludności wyszła na obławę za Winciorekiem, a kobiety były w kościele na niesporach. A gdy się zbiegli, nie było już mowy o ratunku. Pół wsi płonęło.

Dzwony huczały żałośnie, a ksiądz wyszedł z kościoła z monstracją, pod baldachimem, w otoczeniu świec zapalonych, dzwonów jęczących, ludu zrozpaczonego — szedł środkiem wsi.

„Święty Boże!”

Buchnęło jak wulkan z piersi nieszczęsnych:

— Święty a Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!

Skowyczały serca i szli zbitą gęstwą pomiędzy ścianami ognia, w zgiełku padających ścian, w deszczu ognistych żagwi i iskier, w chaosie szumów, świstów i syków żywiołu — którzy tarzał się po wsi, podnosił tysiączne, rozwichrzone łby do słońca, zapadał we wnętrzu chałup i z wściekłością pożerał i tratował wszystko...

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny! — intonował ksiądz uroczystym głosem, a łzy lały mu się strumieniem po twarzy. Dzwony wciąż huczały mocno... pośpęnie.

A lud cały w krzyku, w obłąkaniu, w męce, wył setkami głosów:

Zachowaj nas Panie!

Procesja obchodziła teraz wieś dookoła, szła ogrodami.

Wójt i pisarz zaczęli też organizować jakiś ratunek.

— Kto podpalił?

— Winciorek! Winciorek!

Widziano przecież, jak się zapaliła stodoła tam, gdzie się schował.

— Winciorek! Podpalacz! Dawać go! — rozległ się taki krzyk, że ogłuszył na chwilę śpiewy procesji.

Zemstą zawrzały wszystkie dusze, straszną zemstą.

— Szukać go, łapać! zabić! — wołano ze wszystkich stron.

Ale nikt nie wiedział, gdzie on jest.

Cała gromada rozwścieczonych, oszalałych rzuciła się do jego domu, za wodę, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo.

Na progu siedziała Tekla i na widok chłopów biegnących, podniosła się, jak widmo, pochwyciła jakiś kołek i wrzeszczała obłąkana:

— Nie dom! nie dom! nie dom!

Za nią, z wnętrza domu, ukazała się wysoka postać Jaśka...

— Jest! jest. Dawać go! — wrzasnął tłum.

Rzucili się na dom, w gnieniu oka rozturbowali Teklę, bo jak suka broniła przystępu do drzwi, ale Jasiek jakimś ostatnim ruchem przytomności skoczył na górę, pod dach i rzucił za sobą drabinę.

— Spalić, spalić! — zaryczano.

Zamknięto drzwi, pozabijano kółkami, podparli okna deskami, zawalili wyjścia płotami, czym kto mógł i podpalili dom ze wszystkich stron — otoczyli go dokoła i czekali...

Słomiany dach zajął się prędko a w parę minut był już cały dom w ogniu, w kłębach dymów.

Jasiek teraz dopiero oprzytomniał, gdy się dach przepalał i na głowę zaczęły się lać strugi ognia, skoczył do szczytu, wybił deskę i runął na dół prawie na ręce pilnujących chłopów.

Już się nie podniósł, bo kilkadziesiąt nóg, rąk i kijów spadło na niego.

— W ogień go! Za krzywdę naszą! W ogień — wrzeszczeli.

Kilkanaście rąk pochwyciło go za nogi i głowę, rozkołysało i jak tłumok rzuciło na dach.

Dach się zapadł i buchnął ognistym tumanem iskier.

Rozległ się tylko straszny, nieludzki krzyk z wnętrza domu.

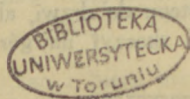
Odpowiedział mu drugi, na drodze...

To matka powróciła do palącej się wsi, powróciła w chwili rzucania syna w ogień.

Patrzyła martwym wzrokiem w płonący dom, stała z wyciągniętymi rękami, pochylona, jakby biec chciała na zabicie.

— Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! — powtarzała wolno, coraz ciszej... — rozkrzyżowała ręce, posiniała nagle i runęła martwa na ziemię.

Suchodębie, 12 sierpnia 1899 r.



Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1394057

Biblioteka Główna UMK



300021016210

2783/PP & TJ/K 10.44.